

**MAYNARD ALLINGTON**

# **ZABIĆ STALINA**

**PRZEKŁAD IZABELA BUKOJEMSKA**

**TYTUŁ ORYGINAŁU THE GREY WOLF**

## Prolog

Tylko połysk wilgotnego przeciwdeszczowego płaszcza świadczył o tym, że ktoś stoi na moście. Kryjący się w mroku nocy mężczyzna patrzył w czarny nurt rzeki. Lubił ciemności, bo osłaniały go. Jego próżność nie cierpiała wtedy tak bardzo.

Rzucone na początku wojny niemieckie bomby zapalające nie pozostawiły chirurgom zbyt wiele pola do popisu. Ogień spalił mu wargi, ucho, wypalił do korzeni część włosów. Teraz mężczyzna nosił perukę, chociaż była marnej jakości, tak jak tyle innych rzeczy w początkach tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku.

Londyński East End, rozpościerający się po drugiej stronie Tamizy, wyglądał jak makietka nieudolnie wykonana przez dziecko. Domy odcinały się ostro na tle blednącego porannego nieba. Mężczyzna cofnął się głębiej w cień przed narastającym blaskiem dnia.

Po Victoria Embankment szły dwie kobiety. Głośno rozmawiały, chwilami wybuchały radosnym śmiechem. Najprawdopodobniej urzędniczki z jakiejś rządowej instytucji, które spieszyły się na dzienną zmianę, rozpoczynając ją o szóstej rano. Zauważyły mężczyznę kryjącego się w mroku i na widok jego twarzy śmiech zamarł im na ustach. Niezgrabnie przyspieszyły kroku. Mężczyzna patrzył za nimi, dopóki stukot ich obcasów na bruku i rozmowa nie ucichły w oddali. Spalone wargi wykrzywiły się w ponurym, gorzkim uśmiechu. Pamiętał, że kiedyś podobał się kobietom.

Ale nie miał czasu na uzalanie się nad sobą. Na wezwanie Churchilla człowiek stawia się punktualnie, nawet jeżeli wiadomość przychodzi w środku nocy. Ruszył więc żwawym krokiem. W punkcie kontrolnym okazał dokumenty i zagłębił się w labirynt dróg, ciągnących się pod ulicą Whitehall. To właśnie tu w specjalnie wybudowanych podziemiach pracował premier. Słowo „Whitehall” było nie tylko synonimem brytyjskiego rządu, lecz także oporu przeciw hitlerowskiej nawale.

Mężczyzna szedł przez ciemną, oświetloną słabymi żarówkami korytarze, wypełnione stęchłym powietrzem. Od czasu do czasu słyszał z daleka jakieś głosy, matowe i senne o tak wczesnej porze. W przewodzie poczty pneumatycznej nad jego głową zabrzączał pojemnik z przesyłką. Pomijając to nowoczesne urządzenie, panowała tu atmosfera właściwa raczej dla epoki Ryszarda III czy średniowiecznej Wojny Róż, tak odległa w czasie od warkotu bombowców i pochodu niemieckich pancernych armii przez Europę.

Drzwi gabinetu stały otworem. Churchill siedział samotnie przy stole konferencyjnym, zarzuconym mapami i dokumentami. Ubrany był jak zwykle w koszulę z wykrochmalonym gorsem, zapiętą pod samą szyję. Po jego zmęczonej twarzy trudno było poznać, czy wstał

bardzo wcześnie, czy też w ogóle się nie kładł. Słyszac poruszenie przy drzwiach, spojrzal znad oprawek okularow.

- Rosewall? Gotowy do rozmowy?

- Przyszedlem, gdy tylko otrzymałem wiadomość.

Mężczyzna nazwany Rosewallem wszedł do pokoju cuchnącego wypalonym tytoniem i potem zmęczonych ludzi. Nie siadał, póki premier nie wskazał mu krzesła.

Na stole przed Churchillem leżały trzy teczki osobowe, które Rosewall kilka dni temu dostarczył na Downing Street, do oficjalnej siedziby premierów brytyjskich. Każda z nich zawierała dane zawodowego oficera służącego w SIS, Tajnych Służbach Wywiadowczych. Mieli jedną cechę wspólną: wszyscy trzej biegle mówili po rosyjsku.

- Przejrzałem te akta - powiedział Churchill. - To naprawdę wspaniali chłopcy.

- Podjął pan decyzję?

- Myślę, że Kanadyjczyk będzie najlepszy.

Premier otworzył jedną z teczek. Zdjęcie ukazywało mężczyznę nieco po trzydziestce. Opalona twarz, wydatne kości policzkowe, blizna przecinająca policzek, czarne włosy zgarnięte za uszy, domagające się strzyżenia. Taka twarz, pomyślał Rosewall, mogłaby się spodobać Churchillowi, gdyby nie wzierająca z oczu melancholia.

Pod zdjęciem figurowało nazwisko i imię: RYDER Antony.

- Urodził się w Rosji - zauważył Churchill, czytając akta.

- Jego ojciec był oficerem kawalerii w Białej Gwardii. Usiłował uratować cara i jego rodzinę, więzionych w Jekaterynburgu. Gdy mu się to nie udało, uciekł z kraju z żoną i synem.

- Jego prawdziwe nazwisko to Rydorow?

- Zmienił je na Ryder, gdy uzyskał obywatelstwo kanadyjskie.

- Zgodnie z tym, co tu piszą - Churchill stuknął ręką w akta - Antony, ten syn, wrócił do Rosji.

- W trzydziestym trzecim - potwierdził Rosewall. - Przebywał tam trzy lata.

- Jako inżynier?

- Radziecki rząd importował ich na pęczki, przeważnie Amerykanów, do budowy kompleksów przemysłowych wokół Stalingradu. Ryder znał doskonale język, więc oczywiście go zaangażowano.

- Gdzie jest teraz?

- W Beaulieu - odparł Rosewall. - Przeniesiony do operacji specjalnych. Wie sporo o materiałach wybuchowych, a także uprawia wspinaczkę. Wykłada na kursach dla Polaków,

którzy zamierzają zostać agentami wywiadu. Okazało się, że większość Polaków ze wschodu zna rosyjski, ale po angielsku nie mówią.

- Jak rozumiem, pan wybrałby jego - powiedział Churchill.

- Tak.

- Dlaczego?

- To ma związek z jego żoną - wyjaśnił Rosewall. - Ożenił się z Angielką. Byli małżeństwem zaledwie dwa tygodnie, gdy ją stracił. Nalot na Coventry...

Premier zmarszczył czoło. Wyjął nowe cygaro i zapalił je. Unoszący się w górę dym przesłonił na chwilę jakiś głęboki smutek czający się w podpukniętych oczach.

- Coventry - mruknął.

- Trzeba do tego podchodzić pragmatycznie - kontynuował Rosewall. - Gdyby doszło do najgorszego, nie zastanawiałby się, czy pozwolić się złapać, czy też zażyć cyjanek. Widzi pan, on nie ma do kogo wracać, podczas gdy rodziny pozostałych kandydatów nadal żyją.

Premier nie odpowiedział, ale jego spojrzenie zdawało się mówić: „Rosewall, jesteś zimnym draniem”. Jednak wesoła iskierka w oczach świadczyła, że to milczący komplement.

- Rozumiem go. - Rosewall wzruszył ramionami. - Jego żona została zraniona odłamkami bomb zapalających. Przeżyła jeszcze dwa dni w szpitalu. - Uśmiechnął się taki sam sposób jak wtedy, gdy dwie urzędniczki mijaly go nad rzeką. - Do pewnego stopnia coś nas łączy.

- Ciągłe pan mówi o cyjanku - rzucił szorstko Churchill. - Nie wierzy pan, że misja się powiedzie?

- Panie premierze, zawsze należy brać pod uwagę, że coś się nie uda.

- Czy nie jest to więc zbyt ryzykowne dla rządu Jego Królewskiej Mości?

- Jedynym kłopotem byłoby to, że mogliby złapać naszych ludzi żywych.

Premier wstał i podszedł do mapy wiszącej na ścianie. Przez chwilę jego tęga postać pozostała nieruchoma. Potem pulchna ręka powoli przesunęła się przez Ukrainę, poprzecinaną niebieskimi żyłami rzek, aż wreszcie zacisnęła się w pięść i uderzyła w Moskwę. Objaw frustracji? A może znak, że decyzja została podjęta?

- Kontynuujemy operację „Szary Wilk”? - spytał Rosewall.

Premier odwrócił się. Nad jego ramionami rozpościerała się radziecka północ.

- Jak możemy kontynuować coś, co nie istnieje? - warknął. - Przecież nie ma niczego takiego jak operacja „Szary Wilk”.

- Oczywiście panie premierze. - Rosewall też stał. Nie był pewny, jak rozumieć to dziwne zaprzeczenie. Jako żart? A może premier usiłował uwolnić swój rząd od

odpowiedzialności w razie porażki? Sukces zawsze jest cnotą. Tylko klęskę traktuje się jak grzech.

Churchill wrócił do stołu, odsuwając się od wielkich przestrzeni papierowego kraju, od Uralu, od zielonych lasów Syberii. Przesunął teczki w stronę Rosewalla.

- Lepiej niech pan to zanieś z powrotem do MI-6.

- Tak jest. - Rosewall potraktował te słowa jako pożegnanie. Włożył papiery do aktówki, pochylił głowę w uprzejmym ukłonie i ruszył do drzwi.

- Rosewall! - Warknięcie premiera dobiegło już zza jego pleców. Oficer SIS obejrzał się. Premier znów siedział przy stole; jeszcze raz zerknął na niego znad oprawek okularów.

- Proszę mnie informować na bieżąco o przebiegu operacji „Szary Wilk”.

Antony Ryder wysiadł z metra przy Queensway. Na dworze już zmierzchało, wiał ostry wiatr. Ryder podniósł kołnierz płaszcza. W mżawce tak delikatnej jak pajęczka nici szybko szedł po Bayswater Road.

Szyld pubu „Pod lwią głową” kołysał się nad wilgotnym brukiem, mgła moczyła kwaterowe okna. Ryder wszedł do zatłoczonego lokalu. Było tu wręcz gorąco. Nad barem zobaczył belkowany sufit, w powietrzu unosiła się zastarzała woń taniego piwa i dymu. Zamówił whisky i rozejrzał się za Rosewallem. Z kąta, w którym siedzieli mężczyźni w roboczych ubraniach, dobiegł dudniący wybuch śmiechu. Trochę im zazdrościł, bo sam już nie potrafił się śmiać. Od czasu Coventry...

Wokół rozstrojonego pianina stali żołnierze i śpiewali wojskową piosenkę:

Ona tam przyjdzie... przyjdzie tam, Do fontanny na małym placyku. We włosach będzie miała kwiat, I będzie twoja już za godzinę. Lecz sierżant powie twojej żonie...

Kelnerka przyniosła zamówioną whisky. Jej ręce były szczupłe i białe, takie, jak ręce żony Rydera. Znów wróciło przykre uczucie, które tak go męczyło. Złość albo może żal? Ostatnio ich nie rozróżniał.

Ponad czarnym dębowym barem białe ręce odliczały resztę z funta. Nagle poczuł chęć dotknięcia ich, ale u podłoża tego impulsu leżała zazdrość, że barmanka żyje, a jego żona umarła.

- Tony, musisz zapanować nad swoim bólem - poradził mu kiedyś znajomy. Kiedy to było? Rok i trzy miesiące temu? Ale istnieje taki rodzaj bólu, nad którym nie można zapanować. On zachował swój ból w stanie nienaruszonym, tak samo jak zachował w szafie ubrania zmarłej żony.

W pubie zasłona oddzielała ogólnodostępną salę od łóż, w których dżentelmeni pili tę samą whisky, ale za wyższą cenę. Miało to świadczyć o ich pozycji społecznej. Chociaż

wśród ludzi takiego pokroju trudno o różnice klasowe, pomyślał Ryder. Odsunął zasłonę i zobaczył Rosewalla. Jego partner grzał się przy kominku. Spojrzeli na siebie przez długość sali. Płomienie oświetlały zeszpeconą twarz mężczyzny i Ryderowi przyszedł na myśl Strach na Wróble z bajki o czarnoksiężniku Ozie. Pozwolił, by zasłona opadła, i wrócił do baru, gdzie wesołe rozmowy żołnierzy rozbrzmiewały na tle rytmicznej piosenki:

Ona tam przyjdzie, przyjdzie tam...

Chwilę później Rosewall wyszedł z łoży. Przecisnął się przez tłum i stanął obok Rydera, ale nawet na niego nie spojrzął. Pochylił się tylko nad ladą i poprosił o zapalki. Ryder obserwował go w lustrze wiszącym za barem. Odbicie Rosewalla było zamglone i zniekształcone od refleksów wypolerowanego mosiądzu lady. Potem zniknęło tak, jakby nigdy nie istniało. Ryder zdążył się odwrócić na tyle szybko, by zobaczyć, jak Rosewall wychodzi z pubu.

I będzie twoja już za godzinkę...

Skończył swoją whisky. Przez chwilę patrzył jeszcze, jak żołnierze rzucają strzałkami do tarczy, a potem wyszedł. Rosewall czekał na niego przed drzwiami.

Na ulicy rozbrzmiewała dość głośno melodia grana na pianinie, ale w miarę jak oddalali się od pubu, dźwięk słabł. Po chwili słyszeli już tylko trzeszczenie huśtanego wiatrem szyldu. Poszli Bayswater Road do Hyde Parku, gdzie przy tej pogodzie nie było nikogo.

- Tony, co u ciebie słychać? - spytał Rosewall.

- Opowiedz mi o misji - zażądał Ryder, nie bawiąc się w uprzejmości. Zgodnie weszli pod osłonę drzew. Ciemne, bezlistne gałęzie wyciągały do nich pazury w cichym, szarym zmierzchu.

- Możesz mi powiedzieć - odezwał się Rosewall - co pamiętasz o ostatnim carze Rosji?

- O Mikołaju II? Moim zdaniem, to nieszczęśliwa postać.

- A może był szaleńcem?

- Może i to, i to.

- Czy wiesz, że w młodości miał romans z aktorką o nazwisku Anna Kryłowa?

- Wszyscy książęta krwi miewali romanse z aktorkami.

- Zapewne. Ale z tego romansu urodził się syn, Maksym Nikołajewicz Kryłow.

- W podręcznikach historii nie ma o tym ani słowa.

- Historia często przemilcza niewłaściwe postęпки władców - powiedział Rosewall. - Po ślubie z księżniczką Aleksandrą z Hesji Mikołaj odesłał Annę Kryłowa i dziecko do Paryża.

- Jeszcze żyją?

- Tylko syn. Jest teraz w Londynie. Zdołał uciec z Francji w ostatniej chwili, unikając niemieckiej okupacji.

Szli przed siebie, głowy mieli spuszczone, pod ich nogami mlaskała mokra trawa. Rosewall nagle stanął i rozejrzał się, by się upewnić, że są sami. W pewnej odległości, pod drzewem, obok pomnika Piotrusia Pana, stał jakiś mężczyzna w płaszczu, szaliku zakrywającym twarz i kapeluszu z rondem opuszczonym na czoło. Karmił gołębice. Z tak daleka nie można było rozróżnić jego rysów.

- Kilka tygodni temu - kontynuował Rosewall - do Kryłowa zgłosił się pewien uciekinier z Łotwy. Powiedział, że jest w kontakcie z jednym z wysokiej rangi oficerów spiskujących w Moskwie przeciw Stalinowi.

- Przeciw Stalinowi? To nie jest najzdrowszy sposób spędzania wolnego czasu.

- Wiemy, że w rosyjskim Sztapie Generalnym są ludzie, którzy wierzą, że Związek Radziecki przegra wojnę, jeżeli Stalin pozostanie u władzy. Dlatego właśnie opowiadka tego Łotysza wydaje się nam taka intrygująca. Generałowie nie ufają Stalinowi, a Stalin nie ufa generałom...

- Zabił większość z nich podczas czystki w trzydziestym siódmym. Nie może się teraz spodziewać fanatycznej lojalności - wtrącił Ryder.

- ...zwłaszcza że oficerowie polityczni na froncie odwołują rozkazy swoich dowódców i rozstrzelują ich bez sądu - ciągnął Rosewall tak, jakby Ryder mu nie przerwał. - W każdej jednostce frontowej jest przynajmniej jeden szpicel Stalina. Dochodzi do straszego bałaganu i generałowie nie chcą tego dłużej tolerować.

- A co to ma wspólnego z Kryłowem?

- Ci cholerni generałowie go potrzebują.

- Pragną przywrócić monarchię? - zdziwił się Ryder.

- Niezupełnie. Chcą mieć z powrotem monarchię, ale taką, w której monarcha nie będzie miał żadnej władzy. Generałowie nie są głupi. Potrzebują czegoś, co odwróci uwagę od nich samych.

Na Ukrainie sentyment wobec monarchii jest silniejszy niż kiedykolwiek. Kryłow mógłby stać się symbolem, wokół którego się zgrupują. Poza tym trzeba również zadowolić

aliantów. Nie sądzisz, że łatwiej pogodzą się z rządem wojskowych, jeżeli na jego czele stanie car?

- Ale dlaczego Kryłow? Zostało przecież jeszcze kilku Romanowów pochodzących ze ślubnego łoża.

- Z tego, co wiemy, już przedstawiano niektórym taką propozycję, ale tamci odmówili. Kryłow może być ostatnią nadzieją generałów.

- Jak MI-6 się o tym dowiedział?

- Kryłow zawiadomił Scotland Yard o swojej rozmowie z Łotyszem. Przypuszczam, że będąc gościem Brytyjczyków, czuł się do tego zobowiązany.

Ostry wiatr nagle zamarł i zza chmur wyjrzało chłodne słońce. Mężczyzna rzucający okruchy gołębiom chwilami znikał w oddali, ale uparcie szedł w tym samym kierunku, co oni.

- Wszystko to stawia nas w dość niezręcznej sytuacji - mówił dalej Rosewall. - Radziecki rząd jest naszym sprzymierzeńcem, chociaż niezbyt przychylnym. Nagle otrzymujemy informację sugerującą, że może zostać obalony.

Na dłuższą metę zmiana rządu w ZSRR byłaby dla nas korzystna. Trzeba się zastanowić, czy ostrzeżenie takiego sprzymierzeńca jest naszym moralnym obowiązkiem, czy nie.

- Fatalnie, że Kryłow nie trzymał buzi na kłódkę.

- Ale niestety nie trzymał. Ten facet z Łotwy też tego nie zrobił. Generałowie poinformowali go, że wiemy o całej sprawie.

- Jak zareagował Kryłow?

- Kryłow... - usta Rosewalla wykrzywiły się w cynicznym uśmiechu. - Oczywiście wykorzystują go. Ale on się chętnie na to zgadza.

- Dlaczego więc nie przemyśleć drugiego rozwiązania?

- To było możliwe dawniej. Teraz generałowie chcą, żebyśmy się zobowiązali do pomocy. Potrzebują jakiejś gwarancji, że ich nie zdradzimy. Bez tego nie przeprowadzą swojej akcji.

Ryder milczał. Wiedział, co może się stać i jakie to ryzyko dla króla i Commonwealthu.

- Tak więc wypracowaliśmy kompromis. - Rosewall mówił tak, jakby chodziło o jakiś nieważny drobiazg. - Gdy Kryłow tam pojedzie, będzie mu towarzyszył nasz człowiek. To coś w rodzaju zastawu dla generałów, gwarancji, że dotrzymamy słowa. W pewnym sensie pasywne zobowiązanie.



Ryder wiedział, że musi się kryć za tym coś więcej. To, co mu wyjawiono do tej pory, było jak pierwsze odrętwienie po zastrzyku prokainy w dziąsło, by znieczulić nerw przed borowaniem zęba.

- Przecież nawet wtedy nie mogą mieć pewności, że ich nie oszukamy - powiedział.

- Rzeczywiście, nie mogą. Przypuszczam, że stawiają na znaną niechęć brytyjskiego premiera do komunizmu. Od dwudziestu lat wszyscy o niej wiedzą, bo nie ukrywa swoich uczuć - wyjaśnił Rosewall i szybko dodał: - Oczywiście Churchill nie jest tego świadomy.

- Jak wysoko doszło to wszystko w Whitehallu?

- Byłoby lepiej, żebyśmy o tym nie mówili, nie sądzisz?

- Na wypadek gdyby coś poszło źle? - Ryder uśmiechnął się po raz pierwszy. - Zastanawiałem się, dlaczego spotkaliśmy się w parku, jak postacie ze szpiegowskiej powieści.

Rosewall pochylił głowę. Zażenowanie czy troska o dobór właściwych słów?

W końcu powiedział:

- Gdyby nos Kleopatry był krótszy, całe oblicze ziemi wyglądałoby inaczej\*[\* Blaise Pascal: „Myśli”; przełożył Tadeusz Źeleński (Boy)]. To chyba Pascal. Oczywiście miał rację. Bieg historii często zmienia się z powodu takich drobiazgów. Splot okoliczności, który umożliwia zrobienie czegoś w danej chwili, może już nigdy więcej nie zaistnieć. - Rosewall zatrzymał się i chwycił Rydera za ramię. - Tony, zrobisz to? Pojedziesz z nim?

Rydera zadziwiło to nagłe okazanie emocji.

- Czy możesz podać mi choć jeden powód, dla którego miałbym jechać?

- Nie - odparł Rosewall. - Natomiast mogę przedstawić co najmniej tuzin powodów, dla których nie powinienes się zgodzić.

Kolejny podmuch zimnego wiatru uderzył w ich twarze. Mężczyzna rzucający okruszki gołębiom podszedł trochę bliżej. Ryder zmarszczył czoło, próbując rozróżnić rysy pod kraciatym szalikiem osłaniającym twarz nieznajomego, ale odległość nadal była zbyt wielka. Mężczyzna nagle zgniół papier i rzucił go na ziemię.

- Tony, co się stało?

- Przez chwilę myślałem, że go znam. - Ryder patrzył na postać oddalającą się w szary zmierzch. - Przypomina mi faceta o nazwisku Philby\*[\* Kim Philby, właśc. Harold Adrian Russell Philby (1912-88)- agent brytyjski, w latach międzywojennych zwerbowany przez wywiad radziecki. Gdy brytyjski wywiad dowiedział się, że jest agentem radzieckim, również go zwerbował jako podwójnego agenta. W 1963 roku Philby uciekł do Związku Radzieckiego, gdzie otrzymał obywatelstwo. Do tej pory stanowi to plamę na honorze kontrwywiadu państw zachodnich. Postacią, na którą powołuje się wywiad Stanów

Zjednoczonych, gdy twierdzi, że Brytyjczykom nie można ufać, jest właśnie Kim Philby (przyp. tłum.).]. Do zeszłego roku był w szkole agentów w Hampshire.

- Kim Philby?

- Więc ty też go znasz?

- Widziałem jego teczkę, a kiedyś chyba wymieniliśmy uścisk rąk. Ale ten tutaj to nie mógł być Philby, bo on został przydzielony do MI-5. Widziałem rozkaz. Cała grupa znajduje się w Prae Wood, koło St. Albans.

Znów ruszyli przed siebie.

- Powiedziałem Kryłowowi - odezwał się po chwili Rosewall - że może będziemy chcieli się z nim spotkać. Nie masz nic przeciwko temu?

- Gdzie?

- Jest gościem lady Waring. Rozmowa z nim może ci pomóc podjąć decyzję.

- Decyzję?

- Czy jest wariatem, czy też postacią tragiczną.

Kamerdyner w spodniach w prążki i fraku - gatunek niemal już wymarły - wpuścił ich do domu w Mayfair. Na lady Waring czekali pośród kolumn w marmurowym holu. Gdy do nich podeszła, Rosewall przedstawił Rydera jako pana Browna.

- Drogi Max gra w brydża. - Przy uśmiechu nad górną wargą lady Waring poruszył się pieprzyk. Jej bystre spojrzenie wydawało się mówić: „Och, kolejny pan Brown?”

- Proszę mu nie przerywać - powiedział Rosewall.

- Chyba zaraz skończy. Zaprowadzę panów do gabinetu i pójdę po niego.

Szli za wysoką panią domu. Minęli salon z kryształowym żyrandolem. W jego świetle Ryder kątem oka zauważył graczy i człowieka, którym, jak przypuszczał, musiał być Kryłow. Może odróżniał się od innych z powodu brody albo tym, jak siedział, wyprostowany, w wieczorowym stroju, patrząc na karty z pewną obojętnością, jakby większość życia spędził w salonach.

Lady Waring zostawiła ich w gabinecie, który prawdopodobnie został oddany Kryłowowi na prywatny salon. Ogień z kominka rzucał blask na ściany. Rosewall wyciągnął obie ręce w kierunku płomieni.

- Jest chyba dobry - powiedział.

- W czym?

- W brydżu. Przed wojną brał udział we wszystkich międzynarodowych turniejach. Salzburg, Genewa...

- Jak sądzę, i stnieją bardziej pożyteczne umiejętności.

Na gzymsie kominka stały fotografie w połączonych ramkach. Niektóre przedstawiały członków rodziny Romanowów. Ryder zobaczył zdjęcie Mikołaja, jeszcze sprzed koronacji; wyglądał trochę jak oszust w mundurze z mnóstwem medali, epoletami oplecionymi złotym warkoczem i wstęgą biegnącą przez pierś od prawego ramienia do talii. Wydawał się zbyt smutny jak na żołnierza, a tym bardziej monarchę. W brodatej twarzy brakowało tej odrobiny okrucieństwa, potrzebnej nawet łagodnym władcom.

- Mój ojciec - rozległ się od drzwi spokojny głos. Ryder odwrócił się i zobaczył mężczyznę uderzająco podobnego do zamordowanego cara. W jasnych oczach widniała ta sama wrażliwość, a uśmiech zdradzał podobny smutek. Nic dziwnego, że generałowie go potrzebują. Mając do czynienia z tak przesadnym narodem, wykorzystanie tego nadzwyczajnego podobieństwa byłoby sprytnym pociągnięciem.

- To nasz pan Brown - przedstawił Rydera Rosewall.

Kryłow podał mu rękę. Potem popatrzył jeszcze raz na zdjęcia. Jego spojrzenie zatrzymało się na młodym carewiczu Aleksieju, który stał z trzema księżniczkami, ubranymi w grube ciemne spodniczki, swetry zapięte od góry do dołu i zimowe czapki. Carewicz miał na sobie uniform podobny do munduru ojca i prawie tyle samo medali. Wojskowa czapka ze lśniącem daszkiem tkwiła na głowie pod zgołą niewojskowym kątem. Chłopiec uśmiechał się.

- Jedno z jego ostatnich zdjęć - powiedział Kryłow. - Zrobiono je, gdy byli internowani w Carskim Siole. Aleksiej miał zaledwie dwanaście lat, za mało, by umierać za swój kraj.

- Pan chyba chce zrobić to samo - odezwał się Ryder.

- Szkoda, że nie mogłem znaleźć się na jego miejscu. - Kryłow pokiwał głową i Ryderowi wydawało się, że te słowa są odbiciem jego własnych bolesnych wspomnień: szpital koło Coventry, żona leżąca z obandażowaną twarzą i rękami. Gaza przykrywała jej oczy, grube warstwy maści lśniły na spalonej skórze, kroplówka i igła doprowadzały plazmę do żyły. Pielęgniarka dała mu chirurgiczną maskę i siedział godzinami, wpatrując się w nieruchomą twarz żony. Cały czas po głowie chodziła mu jedna myśl: „Gdybym mógł się z nią zamienić...”

- Ale to nikomu nie przywróci życia, prawda? - powiedział Kryłow. - Inaczej wszystko byłoby zbyt proste. Napiją się panowie koniak?

Ryder przyglądał się, jak ten wysoki mężczyzna nalewa alkohol z karafki. Cały pokój poświęcono przeszłości. W połączonych ramkach stały zdjęcia zmarłych Romanowów, francuskie wydania Tolstoja i Turgieniewa tłoczyły się na półkach, a rysunki Corota i Daubigny'ego na ścianach. To otoczenie tylko wzmocniło wrażenie, jakie odniósł Ryder, że

Kryłow jest człowiekiem z minionej epoki, należącym do zeszłego wieku. Jego maniery i zwierzcha elegancja nie stanowiły gwarancji przeżycia.

Sącząc koniak, Kryłow mówił:

- Nie zdołałem zbyt wiele uratować. Lady Waring była tak dobra i przechowuje to, co jeszcze mi zostało: trochę ubrań, kilka książek, zdjęcia...

- Lepsze to niż obóz dla uchodźców - zauważył Ryder.

- Albo Jekaterynburg - dodał Kryłow.

- Albo Rosja. Dlaczego chce pan tam wracać?

Odblask płomieni zalśnił w kieliszku Kryłowa. Popatrzył w ogień z nieobecnym wyrazem oczu.

- Zawsze miałem dobre życie. Wydaje mi się, że brakowało mi tylko jednego. - Podniósł głowę i w jego uśmiechu uwidocznił się dziwny żal. - Celu.

- Czy to jest aż takie ważne?

- Z czasem staje się ważne - odparł Kryłow. - Wtedy, gdy okazuje się, że człowiek zależy od gościnności innych, a nie ma środków, by się im odwdzińczyć.

- Podczas wojny nie można zbyt wiele wymagać. - Ryder wzruszył ramionami.

- Jednak - Kryłow uśmiechnął się - pragnę od życia czegoś więcej niż tylko gry w brydża.

Wstał, bo znów przyciągnęły go zdjęcia na gzymsie kominka, i Ryder ze zdumieniem zobaczył, że w jego oczach zalśniły łzy. Ale może był to tylko jakiś zbląkany refleks, odbity w lustrze.

- Zastrzelili ich w piwnicy - powiedział Kryłow. - Potem polali ciała jakąś żrącą substancją, spalili je i wrzucili szczątki do szybu kopalni. Nigdy nie poznałem mojego brata ani sióstr, a ojca widziałem tylko dwa razy. Ale jakim byłbym synem i bratem, gdybym teraz odmówił wykonania tej misji?

- A jeżeli się nie uda? - spytał Ryder.

- Wolę ponieść klęskę, uczestnicząc w takim zadaniu, niż w razie niepowodzenia misji zastanawiać się całe życie, czy nie doszło do niego z mojej winy.

Ogień w kominku dopalał się, pozostały tylko niebieskie płomienie rzucające iskry na ekran. Rozmowa zeszała na przedwojenny Paryż. Kryłow chętnie opowiadał o bulwarze Saint Germain, salonach diuków i spotkaniach z arcyksiężętami, o sklepach na Avenue de la'Opera, lśnieniu rżniętego kryształu w prywatnej sali restauracyjnej u Lanie. Ale, pomyślał Ryder, z restauracji Lanie do krwi i karabinów na Kremlu, a także do szalonych marzeń rozczarowanych ludzi droga jest bardzo długa.

Kryłow wypił trochę koniaku i mówił dalej:

- Z mojego mieszkania do Tuileries i Luwru, do Paryża Moneta i Renoira, nie było daleko. Ten świat wydawał mi się bardziej prawdziwy niż to, co działo się na zewnątrz. Chciałbym na zawsze zapamiętać taki właśnie Paryż: jako spokojną, wypełnioną światłem słońca chwilę spędzoną w muzeum.

- A Rosja? - spytał Ryder.

- Rosja była tak dawno temu. - Kryłow zmarszczył czoło. - Myślę, że moje wspomnienia mają raczej tę nierealną właściwość dziecięcych snów, pełnych okropieństw i piękna. Nie potrafię odróżnić rzeczywistości od marzeń. Wydaje mi się - dodał z uśmiechem - że pewnego dnia obudzę się w środku snu i wtedy będę martwy.

Gdy skończyli koniak, Ryder skinął głową Rosewallowi i obaj wstali. Kryłow odprowadził ich do szynkownego holu, gdzie włożyli swoje ciężkie płaszcze i pożegnali się.

Na dworze zapadał już wczesny zmrok. Ulice były mokre od mżawki. Rosewall powiedział, że odprowadzi Rydera do stacji metra na Marble Arch.

- No i co o nim myślisz?

- Nie tego się spodziewałem.

- Tak, to wspaniały facet.

- I miły.

- To prawda - przyznał Rosewall. - Ale na twoim miejscu jednak uważałbym, żeby go zbyt nie polubić.

- Dlaczego?

- Może będziesz musiał go zabić.

W pociągu, gdy oświetlony peron uciekał do tyłu, Ryder odwrócił się twarzą do okna.

„Jeżeli coś pójdzie źle - powiedział Rosewall - nie możesz pozwolić, by wzięto go żywego”.

W szybie odbijała się twarz Rydera, a nad nią lampy wagonu. Zapatrzył się w ciemność ponad odbitym światłem.

„Oddasz mu przysługę”.

Czy to się nazywa kula w łeb?

Ktoś musi to zrobić.

Na policzku zadrgał mu nerw. Jego umysł uczepił się warkotu silników lokomotywy rozlegającego się w ciemnościach za oknem. Wydawało mu się, że słyszy nie nastrojone pianino i żołnierzy śpiewających: Ona tam przyjdzie... ona przyjdzie tam...

Głosy w jego głowie i głosy na zewnątrz zamilkły. Koła stukały o tory i teraz w umyśle Rydera odezwało się echo słów Rosewalla:

„Więc weźmiesz tę pracę?

To znakomicie, Tony”.

To znakomicie, Tony.

„Wiedziałem, że możemy na ciebie liczyć”.

Wiedziałem, że możemy na ciebie liczyć.

Wysiadł na stacji Holborn i poszedł do domu. Lubił swoje mieszkanie. Miało osobne wejście przy tylnych schodach, a wiosną na niewielkim podwórku pod jego oknem kwitły lipy. Zapalił piecyk gazowy, bo w pokoju było zimno, i włączył palnik elektryczny pod czajnikiem.

Mieszkanie składało się z sypialni i saloniku. Trzy dni przed ślubem znalazł większe w West Endzie i wpłacił zaliczkę, chociaż miało się zwolnić dopiero za sześć tygodni. Jego żona pochodziła z Coventry. Spędzili trwający tylko tydzień miesiąc miodowy w górach Cotswold, a potem wsadził ją do pociągu jadącego do Coventry. Chciała spakować i odesłać do Londynu swoje rzeczy.

Kufer - wysłany z Coventry zaledwie dwa dni przed niemieckim nalotem - przyszedł już po jej śmierci i Ryder poszedł go odebrać. Pośród rzeczy znalazł lnianą bieliznę pościelową obszytą koronką, przybory toaletowe z ręcznym lustrem, szczotkę do włosów i puderniczkę z pozytywką; a także pluszowego pieska, jeszcze z dzieciństwa.

Trzymał pieska obok jej zdjęcia na gzymsie kominka. Ubrania powiesił w szafie stojącej w pobliżu łóżka. Przybory toaletowe, porządnie ułożone, leżały na toaletce. Na szczotce ciągle jeszcze tkwiło kilka ciemnych włosów. Mogła po prostu wyjść na chwilę do drogerii albo do księgarni. Tak długo, jak jej rzeczy będą w mieszkaniu, mógł odkładać na później ostateczne pogodzenie się z faktem, że już nigdy nie wróci.

Zapalił lampę w sypialni i zaczął zdejmować płaszcz, ale nagle stanął nieruchomo. Poczuł się tak, jakby ktoś wbił mu w czoło gwóźdź. Puderniczka nie leżała na swoim miejscu. Podeszedł bliżej i w świetle lampy zobaczył czysty, prostokątny odcisk na warstwie kurzu. Ktoś wziął puderniczkę do ręki, a potem odłożył ją troszkę dalej.

Ręczne lustro też leżało o jakieś pół centymetra od swojej ramki z kurzu. Ubrania były porządnie ułożone w szufladach, ale Ryder miał pewność, że ktoś ich dotykał. Podniósł przezroczystą pokrywkę puderniczki i słuchał melodyjki. Nakręcał ją zwykle tylko o sześć obrotów kluczyka, a tym razem rozbrzmiewała dłużej.

Zaśpiewał czajnik. Ryder wyłączył elektryczny palnik. Dźwięk zamarł jak niktące w oddali nawoływanie syreny.

Zszedł na dół i zapukał do pani Burgess, właścicielki domu. Za drzwiami zaszczekał mały piesek, a kobiecy głos napomniął:

- Adela, spokój.

Drzwi uchylily się, ukazując krępa postać pani Burgess, ubraną w szlafrok z purpurowej satyny i nocne pantofle. Jej twarz, otoczona pomarańczowymi loczkami, stanowiła idealne koło, a usta były pomalowane w serduszko wykraczające poza ich normalną wielkość.

Jedno tłuście, ozdobione bransoletkami przedramię z odsuniętym rękawem tuliło do ogromnych piersi Adelę. Adela była pekińczykiem. Jej mordka o okrutnym wyrazie wyglądała tak, jakby ktoś ją wcisnął pięścią do środka głowy. Patrzyła na gościa błyszczącymi, wyłupiastymi oczkami, a dwa rzędy zębów zalśniły wojowniczo, gdy jeszcze raz szczeękła.

Za panią Burgess, w świetle lampy ozdobionej chwościkami, dostrzegł szarą papugę z wytartymi piórami, uczipioną pręta w drucianej klatce.

- Łajdak - zaskrzeczała papuga w narzeczu londyńskich przedmieść.

- Achillesie - krzyknęła pani Burgess. - Paskudne ptaszysko! Pilnuj swojego cholernego języka.

- Cha, cha, odczep się! - odpowiedziała papuga, nie przejmując się zwróconą uwagą.

- Nie mam pojęcia, gdzie chwyta takie słowa - poskarżyła się pani Burgess. - To prawdziwy klaun.

W młodości pani Burgess występowała w teatrzyku rewiowym i nadal uważała się za aktorkę, chociaż jej figura w niczym już nie przypominała smukłej, zwiewnej sylwetki widocznej na wycinkach z gazet, które starannie przechowywała. Pochyliła głowę na bok i ukazała w uśmiechu małe ząbki, a Ryder zobaczył ponad nimi ten sam kolor charakterystyczny dla zapalenia dziąseł, jaki miały dziąsła Adeli. Bez wątpienia protezy, pomyślał.

- Pani Burgess - powiedział patrząc uważnie, by zorientować się, jaką minę spróbuje ukryć pod teatralną manierą - czy widziała tu pani dziś kogoś obcego?

- Tylko śmieciarza - odparła.

- Nikogo więcej?

Rzuciła mu dziwne spojrzenie.

- I pana, oczywiście.

- Mnie?

Jeszcze raz pochyliła głowę na bok. Brakowało jej tylko sztucznego pieprzyka, by sprawiać wrażenie podstarzałej girlsy.

- Dziś po południu. W porze podwieczorku. Przecież widziałam pana na tylnych schodach.

- Nie było mnie tu.

- Nie? Myślałam, że to pan. Ten człowiek miał na sobie tweedowy płaszcz, taki jak pański, i szalik w kratkę. Pomyślałam...

- Miał kapelusz?

- Nie pamiętam. Padało i okno zasnuła mgła. Nie widziałam jego twarzy, ale Adela szczekała. Ona często szczeka, gdy pan chodzi po schodach. Muszę ją łajać.

- Pewnie na górę wszedł po cichu - zastanawiał się Ryder - jeżeli Adela szczekała dopiero wtedy, gdy schodził.

- To na pewno był ktoś, kto chciał pana odwiedzić - zapewniła go pani Burgess. - Albo ktoś, kto szukał znajomych. Odkąd są te naloty, ludzie ciągle tu wpadają, by znaleźć kogoś, czyj dom już nie istnieje.

Zniecierpliwiona Adela warknęła, w jej bystrych oczach malowała się złośliwość. Papuga przyglądała się im z niesmakiem.

- Tak - przyznał Ryder. - Pewnie o to chodziło. Dobranoc. Odchodząc usłyszał jeszcze skrzek papugi:

- Łajdak!

Ryder zamknął drzwi swojego mieszkania na klucz i poszedł do budki telefonicznej. Gdy Rosewall podniósł słuchawkę, powiedział:

- Mówi Tony. Dzwonię z publicznego aparatu. Mógłbyś też pójść do jakiejś budki i oddzwonić do mnie, chyba że twój telefon jest bezpieczny.

- Dobrze - odparł lakonicznie Rosewall. - Podaj mi numer.

Czekając na połączenie, Ryder palił papierosa, osłaniając ogień rękami. Przez szybę budki widział pustą ulicę. Mimo zaciemnienia lśniła od wilgoci. Po kilku minutach telefon zadzwonił.

- Pomyślałem, że musisz się o tym dowiedzieć - oznajmił Ryder. - Ktoś był dzisiaj w moim mieszkaniu.

Przez długą chwilę Rosewall nic nie mówił.

- Tony, jesteś pewny? - spytał w końcu.



- To zdarzyło się mniej więcej wtedy, gdy byliśmy u lady Waring. Rosewall znów chwilę milczał.

- Przypuszczam, że niczego nie zabrano?

- Nie.

Ryder widział oczami duszy spaloną, nieruchomą twarz. Zamglone rysy nie wyrażały nic.

- Czy istnieje możliwość, że ktoś się dowiedział o naszej operacji?

- Nie wiem, jak mogłoby do tego dojść - odparł Rosewall bez wahania.

Znów obaj chwilę milczeli, aż wreszcie cisza zaczęła im dźwięczeć w uszach. Obaj myśleli o wszelkich możliwościach przecieku i o jego ewentualnych implikacjach.

- Wiesz, Tony, to mógł być po prostu zwykły zbieg okoliczności. Policja i wywiad interesują się takimi jak ty, ludźmi, którzy nie mają stałej pracy. Może śledzili cię od tygodni i teraz właśnie sprawdzili twoje mieszkanie.

Rosewall mówił to takim tonem, jakim umierający na raka płuc usiłuje wyjaśnić swój kaszel. „To tylko przeziębienie...”

- Poza tym - dodał jeszcze - do dziś o niczym nie wiedziałeś. Ryder widział ręce grzebiące w rzeczach zmarłej żony. Chwyciły puderniczkę i podniosły pokrywkę.

- A jeżeli się mylisz? - zaczął, ale nie musiał kończyć.

Znów padał deszcz. Krople ociekały po szybie budki jak nerwowy pot.

- Tony, idź się przespać. - Rosewall powiedział to stanowczym tonem. - Postaram się czegoś dowiedzieć. Nie wychodź z domu, póki się z tobą nie skontaktuję. Zadzwoń do ciebie jutro przed południem.

Ryder wrócił do domu cały przemoknięty. Na elektrycznej maszynie czajnik znów zaśpiewał.

Może będziesz musiał go zabić.

Gdyby nos Kleopatry...

Ktoś musi to zrobić...

Nalał sobie herbaty i stanął przed kominkiem. Patrzył na zdjęcia dziewczyny. W jej gołębioszarych oczach malowała się nieśmiałość. Uśmiechała się miło. Dzielila miejsce na gzymsie z pluszowym pieskiem i jeszcze jedną fotografią: zdjęciem ojca Rydera w mundurze kawalerzysty carskiej armii.

Przynajmniej to łączyło go z Kryłowem: zdjęcia na gzymsie kominka. Przenosił wzrok z jednego na drugie, a w głowie rozbrzmiała mu melodia. Był to marsz wojskowy i

Ryderowi wydało się, że ten marsz przydzielił go do operacji „Szary Wilk” całe lata przedtem, zanim ktoś w ogóle o niej pomyślał.

A ntony Ryder miał osiem lat, gdy jego ojciec, były pułkownik carskiej armii, uciekł z Rosji. Stiepan Iwanowicz Rydorow poprowadził oddział białogwardyjskiej kawalerii na Jekaterynburg, by uwolnić cara, ale w lasach na południe od miasta jego jednostka napotkała silny opór. Wojska czerwonych rozlokowane były wzdłuż skraju lasu otoczonego przez moczary, a dowódca rozpoczął silny ogień z karabinów maszynowych. Rydorow nie zdołał się posunąć przez całą dobę aż do chwili, kiedy konie przyciągnęły armaty. Oddziały czerwonych, zmuszone ogniem artylerii, cofnęły się w głąb lasu, by się przeformować.

Gdy tylko zamilkły karabiny maszynowe, Rydorow dał rozkaz do ataku; podkowy koni ciężko waliły w trawę, ciągle jeszcze pochyloną i wilgotną od porannej rosy. Dogonili wroga wśród drzew i zaczęli ostrzalać. W powietrzu rozszedł się zapach kordytu. Rozległy się pierwsze strzały z pistoletów i karabinów, jeden z koni upadł, łamiąc obie przednie nogi i pociągając za sobą jeźdźca. Rydorow, jadący na wielkim gniadoszu, skierował atak na środek nieprzyjacielskiej linii, a sam wychylił się w strzemionach i zaczął siec szablą na wszystkie strony.

Dowódca czerwonych, jeździec, którego koń został powalony jako pierwszy, dwa razy wystrzelił z pistoletu. Rydorow pogalopował w jego kierunku. Mężczyzna stał z szeroko rozstawionymi nogami i usiłował wycelować jeszcze raz. Głowę miał obwiązaną czerwoną chustą. Na okrągłej, pospolitej twarzy malowała się zimna chęć mordowania. Dopiero w ostatniej chwili, gdy szabla Rydorowa opadła głośno tnąc powietrze, w jego oczach pojawiła się panika. Szabla rozłupała głowę od szczytu czaszki aż po kark. Komendant czerwonych legł z otwartymi ustami, twarzą w dół. Na jego bluzie rozszerzała się plama krwi.

Ale było już za późno, by ocalić więźniów w Jekaterynburgu. W piwnicy domu Ipatiewa, w której zabito cara i jego rodzinę, Rydorow stał ze łzami w oczach i patrzył na ściany podziurawione kulami, i na plamy krwi na podłodze. Na jednej ze ścian, obok obscenicznych rysunków przedstawiających carycę z Rasputinem, ktoś napisał eleganckim niemieckim gotykiem:

Seleat^ae utarto itr selbigec tfadft Von eeimn Knetlfta umgebratt.

Ryder rozpoznał wiersz Heinricha Heinego i zrozumiał słowa: „Tej samej nocy Baltazar został zabity przez swoich niewolników”[\* Por. „Tej samej nocy król chaldejski Baltazar został zabity”. Księga Daniela, 5,30. Ten i wszystkie następne cytaty z Biblii pochodzą z Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia, wydanie IV, Pallottinum Poznań-Warszawa, 1990 (przyp. tłum.).].

Im dłużej patrzył na ponure pomieszczenie, tym bardziej jasna stawała się dla niego wizja klęski, jakby śmierć carskiej Rosji została postanowiona właśnie tutaj, w ciszy tej piwnicy. Gdy tak stał i raz po raz zęgnął się znakiem krzyża, myślał, że ta wojna już jest przegrana, a on w jakiś sposób zawiódł i historia potoczy się inaczej, niż to było przeznaczone.

W Kanadzie niewielka grupka Rosjan, do której i on dołączył z rodziną, osiadła w pobliżu Edmonton. Jego żona zdołała wywieźć prawie całą swoją biżuterię. Kupili pensjonat i stajnię i wiodło im się całkiem nieźle.

W wieku pięćdziesięciu lat były pułkownik kawalerii nadal pozostał człowiekiem silnym i zdrowym, a dzięki wysokiemu wzrostowi nosił się jak arystokrata. Srebrzyste wąsy z koniuszkami zakręconymi do góry sprawiały, że jego spalona na brąz twarz wydawała się ożywiona i radosna, ale w czarnych, przygasłych oczach zastygł wyraz smutku. Widział zbyt wiele niespełnionych marzeń.

Nauczył syna jeździć konno i strzelać z wojskowego pistoletu. Powtarzał mu: jazda konno i celne strzelanie z pistoletu świadczą, że jesteś dżentelmenem i człowiekiem honoru.

- Honorowe zachowanie wymaga odwagi - mawiał. - Człowiek honoru nigdy się nie zhańbi, bo hańba to jeden z rodzajów tchórzostwa.

Gdy Antony miał dziesięć lat, ojciec zabrał go na defiladę. Tego zimnego listopadowego dnia w mieście świętowano zawieszenie broni, kończące wojnę. Zanim jeszcze pokazały się pierwsze szeregi maszerującego wojska, Rydorow pochylił głowę na bok.

- Słyszysz? - spytał. - To muzyka wojskowa...

Chłopiec słuchał uważnie, ale słyszał tylko zawrodożenie wiatru.

- Nadstaw porządnie ucha - powiedział ojciec.

W końcu Antony usłyszał. Wiatr przyniósł dźwięk bębnow i trąbek. Muzyka przychodziła i odchodziła, płynęła ponad wietrzną ciszą szarego dnia.

Wreszcie ukazały się pierwsze szeregi maszerujących. Nieśli kolorowe, łopoczące na wietrze chorągwie. W miarę zbliżania się, niewyraźnie postacie zmieniały się w mężczyzn w wypłowiałych mundurach i sztylpach. Szli przy biciu bębnow i dźwiękach trąbek.

Ojciec Rydera stał na baczność. Szeregi weteranów mijały go, każda chorągiew odbijała się jak ogień zapalony w jego czarnych źrenicach, a potem przesuwała się dalej w rytm wojskowego marsza, w pustkę, daleki step, jakby mijała Moskwę i kierowała się do Jekaterynburga.

Tego wieczoru po kolacji ojciec wydawał się daleki i milczący. Siedział przy stole, na którym stała lampa. Chłopiec podszedł do niego i powiedział:

- Czy ciągle to słyszysz?

Ojciec, nie rozumiejąc, o co chodzi, rzucił mu pytające spojrzenie.

- Wojskową muzykę - wyjaśnił chłopiec.

Skinienie głowy było ledwo widoczne, oczy patrzyły w dal z niewyobrażalnym smutkiem. Ojciec nic nie odpowiedział, ale wyciągnął rękę i pogłaskał syna po włosach.

W nocy, leżąc już w łóżku, Antony Ryder usłyszał trzeszczenie drzwi stajni i pisk żelaznych zawiasów. Na pół śpiąc nie rozpoznał odgłosu, jaki się potem rozległ w wietrznej ciemności. Może po prostu śniło mu się, że któryś z koni wali kopytami w ściółkę.

Gdy następnego dnia wrócił ze szkoły, w domu była policja. Matka płakała z twarzą ukrytą w rękach. W nocy ojciec wziął wojskowy pistolet i konia, pojechał do lasu i tam się zastrzelił.

Grahama Rosewalla poznał w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku, po powrocie z ZSRR. Dwusilnikowy samolot, którym leciał z Le Bourget w Paryżu, wylądował w Croyden, gdy na pola opadał jesienny zmierzch. Ryder czekał w kolejce do odprawy celnej.

Antony miał wtedy dwadzieścia pięć lat, mierzył prawie metr osiemdziesiąt i odznaczał się mocną budową. Masywne przeguby i kark świadczyły o rozpierającej go wewnętrznej sile. Jego oliwkowa cera była gładka, włosy czarne jak smoła, niewesoły uśmiech na mięsistych wargach wydawał się mówić, że ich właściciel jest u progu jakiegoś przykrego odkrycia. Ale za tym uśmiechem kryła się natura samotnika, teren, na który nikomu nie wolno było wchodzić, bo przechowywał tam kilka skarbów: dotyk ręki, strzał z pistoletu, muzykę wojskową przynieszoną przez wiatr...

Spodziewał się, że przejdzie przez rutynową kontrolę celną. Zamiast tego poprowadzono go na piętro do biura. Przy stole siedział jakiś wysoki i chudy mężczyzna w luźnym tweedowym ubraniu. Miał włosy koloru piasku, wyraźne rysy twarzy, świadczące o ogromnej energii, usta o ładnym kształcie mimo aroganckiego wyrazu. Wyrażały lekką pogardę dla reszty świata, właściwą absolwentom Eton, a pod ich uroczym uśmiechem wyczuwało się chłód i brak uczuć. Rzucił jedno krótkie spojrzenie na paszport Rydera i spytał, jak długo zamierza zostać w Londynie.

- Dwa tygodnie.

- Potem pan płynie do domu, do Kanady?

- Jeżeli uda mi się przejść przez brytyjską komorę celną.

- Czekają na pana jakaś prace? Zaplanował pan już coś na przyszłość? Ryder odpowiedział na pytające spojrzenie obojętnym wzrokiem i sam spytał:

- Pan jest celnikiem?

- Niezupełnie. Jestem wojskowym.

- Ale nie ma pan munduru.

- Staram się nie afiszować. Pracuję w wywiadzie. Wolimy, żeby nikt nas nie rozpoznawał, i dlatego chodzimy w cywilnych ubraniach. To okropnie nudne i w niczym nie przypomina powieści szpiegowskich. Zarezerwował pan hotel?

- Zamówiłem pokój ze śniadaniem na Russell Square.

- Zawiozę pana. Mam samochód. A tak przy okazji, nazywam się Rosewall. Ryder spojrział przez ramię na mężczyznę w mundurze, który go tu przyprowadził.

- Czy jestem aresztowany?

Rosewall odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Ależ nie. Czy moglibyśmy któregoś dnia zjeść razem lunch? Bardzo bym chciał usłyszeć o pana pobycie w Związku Radzieckim.

Nazajutrz spotkali się na kolacji w restauracji w Soho. Rosewall chętnie przyglądał się kobietom. Podczas rozmowy jego spojrzenie zatrzymywało się na ładnych kostkach, na linii piersi. Ale przez cały czas rozmawiał z chłodną i obojętną stanowczością o poważnych sprawach.

- Nadchodzi nowa wojna - mówił. - To, co dzieje się w Hiszpanii, to tylko początek. Musi pan wiedzieć, że w zbliżającej się wojnie weźmie udział zarówno Wielka Brytania, jak i Kanada. Co pan wtedy zrobi?

Ryder wzruszył ramionami.

- Czy ktokolwiek będzie miał jakiś wybór?

- No właśnie. Zostanie pan zmobilizowany. Przyjrzą się pana przeszłości i najprawdopodobniej zwerbują pana do brytyjskiego wywiadu. Właściwie jest to zupełnie pewne.

Gdy Rosewall się nie uśmiecha, pomyślał Ryder, z jego twarzy znika ten kpiarski wyraz, ale w zamian uwidacznia się jakiś złośliwy zamysł. Podszedł kelner. Przyniósł drugie danie i zabrał talerze po zupie.

- Z drugiej strony - kontynuował Rosewall, zagarniając nożem groszek na widelec - gdyby pan dołączył już teraz... Mówił pan, że nie ma planów na najbliższą przyszłość.

- Tylko jeden: w przyszłym tygodniu wypływam do Montrealu.

- Tak, oczywiście - mruknął Rosewall.

Dwa dni później w pubie w Bloomsbury znów wypłynął ten sam temat. Siedzieli w łoży. Ryder odstawił kufel piwa i odezwał się:

- Chyba pan nie mówi tego poważnie.

- Czyżby to pana bawiło?

- Sposób, w jaki pana ludzie rekrutują agentów? Przecież pan nic o mnie nie wie.

Rosewall odchylił się do tyłu, oparł o drewnianą ściankę łóży, popatrzył na Rydera i zabębnił palcami po stole. Równie dobrze mógł zastanawiać się nad wyborem odpowiedniej karty w pokerze.

- Anton Stiepanowicz Rydorow - powiedział. - Urodzony w Kijowie w roku tysiąc dziewięćset jedenastym. Dyplom inżynierski na uniwersytecie w Edmonton. Jedyne sport, który uprawiał, to wspinaczka. Samotna wspinaczka.

Niektóre wyprawy były dość trudne. Proszę mi coś powiedzieć. Co się dzieje z człowiekiem znajdującym się na granitowej ścianie trzy tysiące metrów ponad ziemią, jeżeli przestanie nad sobą panować?

Ryder przyłożył zapalniczkę do papierosa i odpowiedział:

- Spada.

- Po co więc ryzykować?

- A dlaczego nie? - Ryder uśmiechnął się przez ulatujący w górę dym papierosa.

- Mogę sobie wyobrazić kilka powodów, ale chyba nie ma to większego znaczenia, skoro nie zamierzam próbować takich wyczynów. Po studiach zaczął pan pracować w firmie budowlanej w Montrealu. Pół roku później podpisał pan z rządem radzieckim trzyletni kontrakt na pracę w charakterze konsultanta. Pana ojciec był oficerem w kawalerii carskiej. Po tym, jak bolszewicy przejęli władzę, walczył w szeregach Białej Gwardii. Gdyby w ogóle można mówić, że miał jakieś słabe strony, należałoby wymienić zbyt mocną miłość do ojczyzny, co nie pozwoliło mu zaakceptować klęski. W końcu uporał się z tym w jedyny sposób, w jaki żołnierz - oficer ze starej szkoły, dla którego honor coś jeszcze znaczy - mógł się z tym uporać. Pan bardzo podziwiał ojca. Jestem pewny, że właśnie to kazało panu pojechać do Rosji. Szukał pan jakiegoś wytłumaczenia, może usprawiedliwienia tego, co się stało... - Rosewall zawahał się i przez długą chwilę patrzył na Rydera. - Znalazł pan coś?

- W waszych aktach na mój temat nie piszą o tym?

- Nie - odparł Rosewall.

Ktoś wrzucił monety do pianoli. Za zamgloną szybką widać było, jak perforowana taśma przesuwa się nad kanalikami. Rozległa się melodyjka, której zawtórowało kilku klientów:

Utocz z beczki, utocz, Mamy całą beczkę piwa...

- Na tym polega kłopot - mówił Rosewall. - Pana akta właściwie nic mi nie wyjaśniają. Poznałem pana życiorys, owszem, ale nic więcej. Tak naprawdę to niewiele o panu wiem. I nikt nie może mnie poinformować. Wydaje mi się to dość dziwne...

- Dlaczego?

- Bo większość ludzi zostawia za sobą ślad. Mają znajomych, przyjaciół, którzy potrafią wiele o nich powiedzieć. Natomiast wydaje mi się, że pan nie ma żadnych przyjaciół ani znajomych. Czy pan wie, że profesorowie z uniwersytetu nie pamiętają pana?

- Niezbyt mnie to obchodzi.

- A co pana obchodzi?

- Nic w szczególności.

- Chyba jest pan za młody na taki cynizm.

- To nie cynizm.

- Więc jak by pan to nazwał?

Rosewall nadal opierał się o ściankę łoży i wpatrywał w Rydera. Jego uśmiech maskował właściwą mu arogancję.

- Proszę mi powiedzieć - odezwał się po chwili, gdy nie otrzymał odpowiedzi na swoje pytanie. - Gdy pan się wspina na te cholerne, wysokie góry, dlaczego robi to pan zawsze w pojedynkę?

- Bo tak wolę.

- Nie jest to zbyt wiele mówiąca odpowiedź. Ryder wyjął papierosa z ust i uśmiechnął się.

- Chce pan wiedzieć, co mnie tam ciągnie? Gdy człowiek znajduje się w połowie pionowej ściany i dawno już minął linię drzew, a krajobraz pod spodem przypomina dziecięcą zabawkę, nagle zdaje sobie sprawę, że właściwie istnieje tylko jedna alternatywa: albo pan pokona górę, albo ona pokona pana. W ten sposób człowiek najbardziej zbliża się do śmierci, ale nie umiera. Albo może jednak umiera, jeżeli odpadnie od ściany. To szybka śmierć, kilka sekund, i czysta jak śmierć odkuli.

- Pan dużo myśli o śmierci, prawda?

- Każdy człowiek dostał na nią jeden bezpłatny bilet - odparł Ryder wzruszając ramionami.

Utocz z beczki, utocz, Dziś się zabawimy.

- W Hiszpanii jest praca do wykonania - powiedział Rosewall obojętnie. - Potrzebują inżyniera. Kogoś odważnego, kto umie się wspinać i zna się na materiałach wybuchowych.

- Nie znam się na materiałach wybuchowych.

- Zadbamy, żeby pan się wszystkiego o nich nauczył. Przecież to nic wielkiego. Po prostu trzeba wsadzić ładunek w odpowiednie miejsce. Tony, był pan kiedyś w Hiszpanii? Te Andaluzyjki z kwiatami we włosach...

Utocz z beczki, utocz...

- Myślę, że umieścimy pana w jednej z Brygad Międzynarodowych, najprawdopodobniej w Piętnastej. Widzi pan, radziecki rząd dysponuje tam całkiem sporymi siłami. Chcielibyśmy zebrać o nich jak najwięcej informacji. Dzięki swojej przeszłości łatwo będzie panu nawiązać kontakty z Rosjanami. Trochę pogaduszek tu, trochę tam... Właśnie tak się to odbywa.

Rosewall zachowywał się tak, jakby namawiał Rydera do wstąpienia do jakiegoś ekskluzywnego klubu. Wydał koktajl w swoim mieszkaniu w Kensington. Zaprosił stadko ładniutkich sekretarek z MI-6. Tańcząc i bawiąc się wśród dość nudnego zbiorowiska mężczyzn, których można było odróżnić tylko po krawatach szkół, jakie skończyli, miały stanowić ukryty bodziec.

- Nie trzeba rezygnować z życia towarzyskiego - mówił Rosewall, a jego wzrok zatrzymał się na blondynce, przyciskającej do odkrytego dekoltu pusty kieliszek po winie. Może myślał, że Ryder podąży za jego spojrzeniem. W duchu namawiał ją: „Kotku, chodź tu do nas. Chciałbym ci przedstawić pewnego Kanadyjczyka”.

Ale uwagę Rydera przyciągnęła inna dziewczyna, brunetka, zbyt delikatna i szczupła, by mogła należeć do menażerii Rosewalla. Stała w luźnym kręgu gości. W rękę trzymała szklaneczkę owiniętą papierową serwetką i tylko udawała, że pije. Z jej policzków nie schodził rumieniec zażenowania, a gołębioszary oczy patrzyły najczęściej w dół. Była tak nieśmiała, że gdy ktoś się do niej odzywał, musiała się zmuszać, by podnieść wzrok. Nawet uśmiech na jej nieumalowanych ustach był pełen nieśmiałej rezerwy, tak jakby przy pierwszym pretekście chciał uciec z warg.

- Tony, nie trać na nią czasu. To córka pastora z Coventry. Obawiam się, że jest bardzo cnotliwa.

Mimo to Ryder odwiózł ją taksówką do domu i pocałował na dobranoc przy drzwiach, pod zapaloną lampą. Jej niedoświadczona usta nie rozchyliły się, ale przyciskały się do jego warg z niezręczną namiętnością pierwszego pocałunku.

Nie wypłynął do Montrealu, tak jak to wcześniej planował. Pewnego dnia spacerował z Rosewallem. Minęli Albert Memorial, pomnik poświęcony pamięci męża królowej Wiktorii, i zatrzymali się w zagajniku koło otwartego pawilonu, w którym grała orkiestra wojskowa. Słuchając trąbek i bębnow Ryder poczuł się daleki od obecnej chwili. Cofnął się o



całe lata i usłyszał fragmenty wojskowych marszów przynoszone przez wiatr. A także głos Rosewalla:

- Przyjmiesz zatem tę pracę? To wspaniale, Tony. Wiedziałem, że możemy na ciebie liczyć. Skontaktuję się z tobajutro przed południem”, obiecał Rosewall, dzwoniąc z autOmatu, ale gdy posłaniec przyniósł kopertę, dochodziła już trzecia. Napisana ręcznie notka podawała tylko numer telefonu i godzinę. Gdy Ryder poszedł do budki i wykręcił numer, na miasto opadał już zmrok. Rosewall odezwał się po dwóch sygnałach. Tym razem rozmowa była krótka.

- Tony, nic nikomu nie mów. Nie możemy ryzykować przecieku. Jeśli chodzi o twoją pracę w Beaulieu, musisz powiedzieć, że jesteś chory, idziesz do szpitala i najprawdopodobniej już tam nie wrócisz. Kazałem obserwować twoje mieszkanie na wypadek, gdyby ten facet znów się pojawił.

- Kiedy Kryłow i ja wyjeżdżamy?

- Przygotowania są w toku. Myślę, że w połowie tygodnia zdołam ci już coś powiedzieć. Do tego czasu nie będę się z tobą kontaktował.

Nie pozostało nic innego, jak czekać. By urozmaicić sobie monotonię tego okresu, Ryder chodził na spacer do parku i słuchał wiadomości w radiu. Na wschodnim froncie Niemców zatrzymała rosyjska zima, a nie Armia Czerwona. W „Daily Mail” przeczytał, że Stalin niedługo rozpocznie wielką ofensywę wiosenną. Czy ktoś w to w ogóle wierzył? Rzeczywistość była racjonowana jak papierosy, po które ludzie stali w niekończących się ogonkach.

Rosewall odezwał się dopiero po trzech dniach. Chciał się spotkać z Ryderem w dokach na East Endzie. Ryder przyszedł punktualnie. Mimo że właśnie minęło południe, dzień był ciemny, bo całe niebo pokrywały chmury. Rosewalla nie zastał na umówionym miejscu. Zszedł więc na nabrzeże, minął kramik z rybami i frytkami. Obecnie rzadko udawało się dostać frytki, bo brakowało tłuszczu do smażenia. Wspaniały zapach frytury i octu w jakiś dziwny sposób poprawił samopoczucie Rydera.

Robotnicy wybierali gruzy z magazynu zrujnowanego w czasie któregoś z nalotów. Miejsce, gdzie zapadła się spora część nabrzeża, ciągle jeszcze było ogrodzone taśmą policyjną. Ryder zapalił papierosa i zaczął się przyglądać holownikowi, sunącemu z prądem do przystani. Holownik płynął wolno i jego śruba podnosiła niewiele wodnej piany. Wreszcie dobił do nabrzeża i uderzył w nie oponami przywiązanymi do burty. Dwaj marynarze zarzucili cumy na pachołek. Sternik, ubrany w grubego sweter z golfem, wyszedł na pokład i wszyscy trzej zeszli na brzeg, minęli Rydera i poszli do kramu z rybą i frytkami.

Potem na pokładzie pojawił się jeszcze jeden mężczyzna. Ryder rozpoznał Rosewalla. Jego zniekształcona twarz przywiodła mu na myśl Stracha na Wróble z krainy czarnoksiężnika Oza. Nie pamiętał już, czy Strach na Wróble pozbawiony był serca czy rozumu. W przypadku Rosewalla chodziło chyba raczej o serce. Ryder zmarszczył czoło. Uderzyło go, że agent bardzo się postarał, by to spotkanie odbyło się w całkowitej tajemnicy. Sprawa bezpieczeństwa czy też ktoś w Whitehallu nie życzy sobie świadków operacji, nawet należących do MI-6?

Ryder wspiął się na pokład. Rosewall obserwował sternika i załogę. Wzięli swoje ryby z frytkami i podeszli do wielkiego kotła na smołę, w którym palił się ogień.

- Ryba z frytkami - mruknął Rosewall z zazdrością. - Ciekawe, skąd biorą tłuszcz.

- Pewnie z Ameryki. W naszych czasach wszystko przychodzi z Ameryki. Poszli do kabiny i stanęli przy oknie, pod którym znajdował się ster.

- Pojutrze jedziesz do naszego obiektu - oznajmił Rosewall. - Tam otrzymasz ostatnie informacje.

- Czyli gdzie?

- Wiltshire.

- Kryłow też jedzie? Rosewall skinął głową.

- Długo tam zostaniemy?

- Chyba nie.

- A potem?

- Obaj polecicie do Szkocji. W Scapa Flow formuje się konwój do Murmańska. Popłyniecie na eskortowcu.

- Czy możesz mi powiedzieć coś więcej o samej misji?

- Obawiam się, że nie mogę ci podać żadnych szczegółów. Więcej się dowiesz dopiero w naszym obiekcie.

- Więc po co się dziś spotykaliśmy?

- Sądziłem, że zechcesz porozmawiać. - Rosewall spojrział mu w oczy. - Po raz ostatni, zanim będziesz już z Kryłowem.

- Mam rozmawiać o tym, że moim obowiązkiem jest dopilnowanie, by nie wzięli go żywego? Rzeczywiście mógłby nie być zachwycony takim tematem rozmowy.

- Twoim najważniejszym obowiązkiem jest bronić go. To amator. Wymaga opieki.

- Przyznaj się, sam chyba nie wierzysz, że generałowie przeprowadzą swój plan?

- No dobrze. Wyobraźmy sobie, że nie zdołają. Ale nawet wtedy, przy odrobinie szczęścia, może dasz radę wy dostać się razem z Kryłowem z Rosji.

- A jeżeli tej odrobiny szczęścia zabraknie?

Rosewall wzruszył ramionami. Był to gest wyrażający wprost po mistrzowsku to, o czym nie należy mówić.

- Wtedy znajdziesz się w kłopotliwej sytuacji.

- Ciągłe rozmawiamy o Kryłowie.

- Myślałem, że nie chciałbyś, żeby zadawał ci jakieś pytania. - Rosewall zrezygnacyjnie wywinął się od odpowiedzi. - Mówiono mi, że więzienie na Łubiance jest okropne. Oczywiście zostaniesz zaopatrzone w pigułkę.

W dole rzeki, pod stalowymi ramionami dźwigów, do nabrzeża przybijały statki handlowe. W porcie wrzała praca, nad wodą ryczały syreny, a w powietrzu rozbrzmiewał skrzek mew. W górę rzeki zmierzał holownik ciągnący węglową barkę, wyładowaną aż po linię wodną.

- Łubianka - powtórzył Ryder. - To spora odległość od Oxford Circus. Jak wyjaśnić znalezienie dwóch ciał tak daleko od domu?

- Będziecie pracować na własną rękę. Czy twój ojciec nie służył w carskiej armii? Czy nie ruszył na ratunek carskiej rodzinie więzionej w Jekaterynburgu? Przecież mogłeś odziedziczyć po nim monarchistyczne sympatie.

Ryder uśmiechnął się z goryczą. To wyjaśniało, dlaczego Rosewall chciał się spotkać w tajemnicy z nim, i tylko z nim, tak daleko od siedziby MI-6 na St. James Street. Na temat operacji „Szary Wilk” nie będzie żadnych kompromitujących dokumentów. Jedyne, co zostanie, to kryptonim w archiwach, dotyczący misji, która nigdy nie istniała.

- A jeśli chodzi o Kryłowa?

- Nie sądzisz, że działałby na własną rękę nawet wtedy, gdyby nie uzyskał od nas pomocy? To cholerny idealista. W razie potrzeby musimy mówić prawdę.

Przepluwająca obok barka wzbudziła fale, które rozhuśtały ich holownik. W oknie kabiny, jak na obrazku oprawionym w ramkę, port łagodnie się kołysał.

- Wykorzystujemy Kryłowa tak samo jak radzieccy generałowie - zauważył Ryder.

Rosewall rzucił mu ostre spojrzenie, ale gdy się odezwał, jego głos był całkowicie obojętny.

- Tony, dlaczego tak uważasz?

- Dlatego, że ktoś z rządu Jego Królewskiej Mości najwyraźniej życzy sobie, by generałom się powiodło. Życzy sobie tego na tyle mocno, by nie informować Moskwy o naszych poczynaniach. Kryłow jest stawką w grze, a ja mam być gwarancją wypłaty. Czyż nie tak to zaplanowaliście?

Rosewall znów uchylił się od odpowiedzi.

- Idealiści zostali stworzeni po to, by ich wykorzystywać - stwierdził.

- I pozbywać się ich, gdy już się nimi posłużyliśmy?

- Jeżeli to pozbycie się służy naszemu celowi, to owszem - zgodził się Rosewall.

Któryś marynarz rzucił kawałek czegoś ze swojego obiadu mewom, które czekały w pobliżu jak cierpliwi padlinożercy. Jeden z ptaków uniósł łup i wzbił się w powietrze. Inne skrzecząc poleciały za nim.

- Tony, czy jeszcze coś cię niepokoi?

- Nie.

- Samochód będzie czekał na ciebie w niedzielę o trzeciej po południu przy stacji West Ruislip. Nadal uważam, że ta sprawa z obcym w twoim mieszkaniu to czysty przypadek. Ale gdybyś zauważył, że jednak ktoś cię śledzi, postaraj się go zgubić w metrze.

- Dobrze.

Wyszli z kabiny na pokład. Rosewall, marszcząc czoło z zakłopotaniem, odezwał się jeszcze:

- Tony, tak przy okazji, nie powinienesz zbyt speculować na temat tej całej sprawy...

Ryder odwrócił dziwnie puste spojrzenie.

- Ja tylko brałem miarę - powiedział. - Z nosa Kleopatry.

Sternik i obaj członkowie załogi spacerowali po nabrzeżu, trzymając się z dala od holownika. Ryder zszedł z pokładu i ominął ich wielkim łukiem. Po raz ostatni spojrzał na Rosewalla, który stał w drzwiach ciemnej kabiny i patrzył za nim. Osnuta mrokiem postać podniosła rękę. Wyglądało to tak, jakby błogosławił go pozbawiony serca kapłan.

W niedzielę o ustalonej godzinie Ryder wyszedł ze stacji metra. Samochód już na niego czekał. Jechali w deszczu do posiadłości ziemskiej w pobliżu Ashton Keynes. Za oknami przesuwał się wilgotny krajobraz, niebo było pokryte ciężkimi chmurami. Wreszcie szofer skręcił na błotnistą drogę i wjechał za ogrodzenie obsadzone wiązami. Ryder zobaczył dom kryty strzechą, z komina ulatywał dym, a w zamglonych szybkach kwaterowych okienek jaśniało słabe żółte światło.

Kiedyś ten domek zamieszkiwała dworska służba, najprawdopodobniej łowczy, ponieważ w pobliżu znajdowały się stajnie i psiarnia.

W tym domku Ryder spędził dwa dni z Kryłowem. Każdego rana przychodził ze stajni starszy szeregowy, czyścił kominki i rozpałał ogień. W powietrzu snuł się zapach mięsa węglowego, płomienie oświetlały ospowatą twarz oficera wywiadu, który udzielał im

ostatnich wiadomości. Pokazywał na mapie dyslokację niemieckich armii, od Morza Barentsa aż do odległego o dwa tysiące mil Krymu. Omawiał szczegóły dotyczące koncentracji radzieckich wojsk, od Demiańska na północ od Moskwy do Bielewa na południu, mówił też o warunkach życia w radzieckiej stolicy. Brakowało tam żywności i opału, każdy był narażony na rewizję i sprawdzanie dokumentów, a NKWD nasilało swoje działania. Rydera ciekawiło, czy oficer został poinformowany o ich misji, ale słysząc odpowiedzi na kilka swoich pytań zorientował się, że nie dopuszczono go do tajemnicy.

We wtorek pogoda się poprawiła. Po lunchu wyszli na spacer, by rozprostować nogi. Wiał ciepły wiaterek, blade słońce pstrzyło plamami światła nagą ziemię. Za domkiem pola wznosiły się ku marmurowemu niebu. Weszli na szczyt wzgórza i wtedy zobaczyli wiktoriański dwór wystający spoza drzew.

- Chciałbym zapamiętać to właśnie tak - powiedział Kryłow.

- Czeką nas wiosna rosyjska, a nie angielska - zauważył Ryder.

Zeszli ze wzgórza, minęli stajnię i przecięli pole, by dostać się do bukowego zagajnika. Ziemię pokrywały suche liście. Gdzieś w żywopłocie śpiewał ptak. Stanęli na kładce nad potokiem i wpatrzyli się w czystą wodę.

- Jak myślisz? - spytał Kryłow. - Uda się nam?

- Nie próbowałiby - odparł Ryder - gdyby nie było żadnej szansy.

Sam jednak w to nie wierzył. Wiedział, że desperaci nie zważają na następstwa swoich czynów. Nie odróżniają szalonej nadziei od rzeczywistych możliwości.

- Będą musieli zabić Stalina - kontynuował Kryłow.

- Cezarze, strzeż się Id Marcowych. - Mówiąc to Ryder wzruszył ramionami. Kryłow rzucił suchą gałązkę do potoku.

- Coś ci powiem. - Na jego ustach pojawił się smutny uśmiech. - Całe życie chciałem uczestniczyć w jakimś szlachetnym przedsięwzięciu. Chciałem wiedzieć, czy fakt, że żyłem, sprawi jakąś różnicę. Pragnąłem poddać się jakiejś wielkiej próbie, żeby sprawdzić, czy miałbym odwagę stawić jej czoło. Wiesz, na pewne pytania nigdy nie potrafiłem sobie odpowiedzieć.

- Jeżeli generałom się nie powiedzie, odpowiedź nie będzie miała najmniejszego znaczenia.

- Pamiętasz mowę Bazarowa? - Kryłow znów się uśmiechnął. - Śmierć to odwieczny żart, ale każdemu wydaje się czymś absolutnie nowym.

- Turgieniew?

- Ojcowie i dzieci - przytaknął Kryłow. - Ale myślę, że my obaj jesteśmy dziećmi naszych ojców w bardzo specjalny sposób. Mówiono mi, że twój ojciec usiłował ratować carską rodzinę, ale poniósł klęskę. Twój ojciec chciał uratować mojego ojca. Zrozum! Drogi naszego życia przecięły się już dawno temu. - Zamilkł i w tej ciszy znów usłyszeli śpiew ptaka i miły szept potoku. - Chciałbym, żebyś był moim przyjacielem.

Ryder zapalił papierosa. Ostry wiaterek poniósł dym daleko. Wydawało się, że to nieudana sztuczka magika, który chce przykryć ponurą rzeczywistość kawałkiem jedwabiu, a jedwab ucieka mu z rąk.

- Zostanie nam dość czasu na przyjaźń, gdy to wszystko się skończy - powiedział, goniąc dym spojrzeniem. Ale myślał o tym, że tu nie powtórzy się sytuacja z Jekaterynburga. W żadnym wypadku nie można się tego spodziewać.

Tego popołudnia z Londynu przyjechał Rosewall. Przywiózł rozkazy w zapieczętowanej kopercie.

- Możecie ją otworzyć dopiero wtedy, gdy znajdziecie się na pokładzie eskortowca - powiedział. - Jest tu informacja o waszym kontakcie w Murmańsku. Zapamiętajcie wszystko, a potem spalcie kopertę i kartkę.

- Masz dla nas jeszcze jakieś wiadomości? - spytał Ryder.

- Jeżeli generałowie poniosą klęskę, a wy straciecie łączność ze spiskowcami, nie będziemy mogli zrobić wiele, by was stamtąd wyciągnąć. Oczywiście musicie się trzymać razem. - Rosewall patrzył na Rydera troszkę dłużej niż to było konieczne. - Waszą jedyną szansą stanie się ucieczka do Archangielska. Komendant brytyjskiej bazy morskiej afiliowanej przy przedstawicielstwie Norwegii został poinformowany, że możecie się tam pojawić. Gdybyście potrzebowali pomocy, KBBM wie, że operacja „Szary Wilk” ma być traktowana priorytetowo. Dostał odpowiednie rozkazy.

- A co z naszą przykrywką?

- Dostarczą wam jej Rosjanie. Gdy już znajdziecie się w Murmańsku, będziecie zdani na nich. My nie możemy wtrącać się do spraw, których nie kontrolujemy ani o których nie wiemy zbyt wiele.

Stali przed domem, pod nierówno wybudowanym murem z kamienia z Cotswold, obsadzonym rzędem wiązów.

- Może napiłbyś się herbaty? - zaproponował Ryder.

- Z przyjemnością - podziękował Rosewall.

Poszli do domu. Popołudniowe słońce rzucało cienie na podjazd.

- Tony, pamiętasz tego faceta, którego widzieliśmy w parku? Tego, którego poznałeś na kursach dla agentów?

- Chodzi ci o Kima Philby'ego?

- Tak. Wczoraj pojechałem do St. Albans. Miałem coś do załatwienia w MI-5. I wiecie, kogo tam spotkałem? Samego pana Philby'ego. Grał w krykieta na trawniku!

- Był trzeźwy?

- Chyba wypił kufelek czy dwa. Dobrze go znałeś?

- Tylko się pozdrawialiśmy, gdy nasze drogi się krzyżowały. Dlaczego cię to interesuje?

- Bo pytał o ciebie.

- To o niczym nie świadczy - powiedział Ryder.

- Oczywiście - przyznał Rosewall, ale lekko zmarszczył czoło. - Tak właśnie pomyślałem.

Zaraz po zapadnięciu zmroku usłyszeli warkot silników samolotu szykującego się do lądowania. Załadowali swój bagaż do samochodu, którym Rosewall przyjechał z Londynu, i pojechali ciemną drogą. Kierowca zatrzymał się przed dworem. Rosewall poszedł do pokoju sztabowego eskadry do specjalnych zadań. Gdy wrócił, samochód ruszył drogą obrzeżoną żywopłotem, prowadzącą na boisko do gry w polo.

Na skraju trawnika, obok cysterny, czekał jednosilnikowy lysander. Skrzydła opadały ukośnie pod kabiną, która wydała się Ryderowi mała i hałaśliwa. Samolot pomalowany był na czarno i nie miał żadnych oznaczeń.

- Powodzenia, Tony - powiedział Rosewall. - Po powrocie zapraszam cię na drinka do „Głowy lwa”.

Z kabiny lysandra Ryder rzucił ostatnie spojrzenie na Rosewalla, stojącego na trawie, z rękami w kieszeniach i podniesionym kołnierzem płaszcza. Dolna część jego twarzy wyglądała jak stearyna, która pociekła ze świecy i zastygła.

Kabinę wypełnił warkot zapuszczanego silnika. Pilot otworzył przepustnicę i samolot zadrżał, a potem potoczył się po boisku. Po obu stronach przemknęły czarne drzewa i zaraz zostały w tyle. Samolot skręcił na północ i widziany przez okno krajobraz, skąpany w księżycowym świetle, zachwiał się, a potem znieruchomiał.

Ryder oparł się o swoją walizkę, w której miał rosyjskie ubrania, tęponosy pistolet i fiolkę z dwiema tabletkami cyjanku potasu, jedną dla Kryłowa, jedną dla siebie. Zastanawiał się, czy trzeba będzie ich użyć, a czarne skrzydła lysandra, zasłaniające srebrne gwiazdy, niosły go tam, gdzie czekała odpowiedź na to pytanie.

W Moskwie dwa tygodnie później podpułkownik NKWD Walerian Wasiliewicz Bałow wyszedł ze swojego biura na placu Dzierżyńskiego i wsiadł do limuzyny. Gdy samochód ruszył, za oknami zaczęła się przesuwać pogrążona w mroku, pokryta zamarzniętym śniegiem ulica.

W drodze na Kreml otworzył teczkę zawierającą raport wywiadu, notatki i fotografię. Było to zdjęcie Antony'ego Rydera, wykonane w wietrzny dzień na Wzgórzu Mamajewa w Stalingradzie. W tle wznosiło się miasto.

Ile to już czasu? Siedem lat? Ryder należał do sześciuosobowej grupy zagranicznych inżynierów, których pilnował Bałow, wówczas młodszy oficer bezpieczeństwa. Jako przykrywkę podano, że Bałow również jest inżynierem. Dzięki temu bez trudu włączył się do grupy. Łatwo zaprzyjaźnił się z Ryderem. Byli w podobnym wieku, a Ryder mówił biegle po rosyjsku. Mieszkali w tym samym budynku, znajdującym się na rozległym osiedlu robotniczym.

Bałow doskonale pamiętał park ciągnący się po drugiej stronie ulicy, z jego dającymi cień drzewami i kamienną fontanną. Któregoś wieczoru w lecie, gdy nad miastem zalegał ciężki upał, grali w szachy przy stoliku ustawionym pod drzewami. Ryder starannie analizował każdy ruch. Za mgiełką papierosowego dymu Bałow widział jego skupioną, opaloną twarz. Światło latarni przebijało się przez liście drzewa, fontanna rzucała wodny pył, a kilkoro młodych ludzi tańczyło przy akompaniamencie akordeonu.

Pośrodku parku, za czerwoną kwiatową gwiazdą, na cokole stał nadnaturalnych rozmiarów posąg Lenina głaszczącego dwa lwy. Lenin wizjoner, może strzegący swojej rewolucji, chociaż nikt nie wiedział na pewno, co ten pomnik przedstawia.

- Antonie Stiepanowiczu - spytał Bałow - czy wiesz może, co symbolizują te lwy?

Kanadyjczyk w milczeniu spojrzał na ogromne grzywy odcinające się od rozgwieżdżonego nieba, tak jakby rzeźbiony kamień krył jakąś zagadkę dotyczącą tajemnic wszechświata.

- Wiem tylko, co powiedział Achilles - odezwał się w końcu. - Stwierdził, że między ludźmi i lwami przymierze jest niemożliwe.

- A co to, twoim zdaniem, znaczy?

- Mówił wtedy o śmierci wroga - wyjaśnił Ryder, odwracając oczy od pomnika. - Może byłoby lepiej, gdyby te lwy nie symbolizowały niczego.

- Świetnie - Bałow uśmiechnął się. - Zostawmy je w spokoju. Niech sobie dalej spacerują z Leninem wśród gwiazd.



W tamtym czasie nie było żadnych powodów, by podejrzewać, że Ryder ma jakieś związki z brytyjskim wywiadem. Najprawdopodobniej do pierwszego kontaktu doszło dopiero po jego powrocie do Anglii. Mówiący po rosyjsku inżynier wracający z trzyletniego kontraktu w Związku Radzieckim to łakomy kąsek.

Bałow rozsiadł się wygodnie. Skończył trzydzieści pięć lat i nie był już tak przystojny jak dawniej, ale wiek nie zmniejszył jego ogromnej energii i nieustępliwości. Węzły mięśni na bocznych karku świadczyły o sile. Przy wzroście metr dziewięćdziesiąt pięć nadal pozostał szczupły w pasie i zachował proporcjonalną budowę.

Jeszcze raz spojrzął na fotografię Antony'ego Rydera. Zdjęcie budziło w nim zarazem ulgę i żal: ulgę, bo zidentyfikował brytyjskiego agenta przydzielonego do operacji „Szary Wilk”, a żal, że będzie zmuszony zerwać nawiązaną tyle lat temu przyjaźń i traktować byłego przyjaciela jak wroga. Okazało się, iż również ta znajomość skończy się tak jak prawie wszystkie w jego życiu. Chociaż nie poddawał się łatwo smutkowi, akurat to potrafiło obudzić w nim melancholię.

Samochód przejechał przez Plac Czerwony i zatrzymał się w punkcie kontrolnym przy Bramie Spasskiej. Potem, na niskim biegu, ruszył wąską ulicą Kremla, mijając cerkwie, kaplice i inne pamiątki przeszłości.

Młody adiutant wprowadził go do gabinetu generała Nikołaja Własika, szefa stuosobowej służby ochrony Stalina. Nie podnosząc wzroku znad czytanych dokumentów, generał machnięciem ręki odprawił adiutanta. W tym gabinecie, bardzo wysokim, ze złożonymi stiukami pod sufitem, pozostałymi jeszcze z carskich czasów, portrety Lenina i Stalina wydawały się nie na miejscu. Nie na miejscu wydawał się również sam Własik, z gęstymi brwiami, płaskimi słowiańskimi policzkami i skórą sprawiającą wrażenie wygarbowanej.

- Czego chcesz, Bałow? - spytał.

- Waszej rady, towarzyszu generale. W ważnej sprawie. - Bałow stał, bo generał nie zaprosił go, by usiadł.

- Obecnie wszystko jest ważne.

- Właśnie dlatego mądrość doświadczonych ludzi, takich jak wy, jest bardzo cenna.

- No dobrze, dobrze - mruknął Własik już nie tak szorstko. Spojrzął na Bałowa, ale nie odsunął papierów, którymi się zajmował. - O co chodzi?

Bałow z trudem ukrył uśmiech. Ci starzy bolszewicy są tacy wrażliwi na pochlebstwa. Własik był przyjacielem Stalina już w czasach wojny domowej i tylko dzięki temu otrzymał swoje stanowisko. W końcu to zwykły kolchoźnik, niewykształcony chłop, z włoskami

sterczącymi z uszu i nosa. Zachowywał się w sposób nieokrzesany, a o jego wyczynach erotycznych słyszeli wszyscy, ale ze względu na bliskość ze Stalinem powszechnie się go bano.

- Przyniosłem akta - powiedział Bałow.

- Nie będę ich czytał. Po prostu powiedz mi, co w nich jest. Towarzysz Łajdak chyba nie daje sobie zbyt dobrze rady z czytaniem, pomyślał Bałow. Drobiazg, ale warto zapamiętać.

- Kilka dni temu - zaczął opowiadać - dwóch ludzi zeszło w Murmańsku na brzeg z eskortowca brytyjskiego konwoju. O jednym z nich wiemy na pewno, że to agent brytyjski. Drugiego jeszcze nie zidentyfikowaliśmy.

- Dlaczego więc nie zatrzymasz tych szpiegów i nie dowiesz się wszystkiego?

- Aresztowanie ich już teraz byłoby przedwczesne.

- No dobrze, to twoja sprawa - powiedział Własik, grzebiąc w zębach zaostrzoną zapalką. - Jak się o tym dowiedziałeś?

- Mamy w brytyjskim wywiadzie wysoko postawionego informatora.

- Kto to jest?

- Nie mam pojęcia - skłamał Bałow. Ciekawiło go, czy Własik wie o Kimie Philbym i jego pracy w St. Albans. Jeżeli nie wie, to lepiej trzymać tożsamość Philby'ego w sekrecie. Dla wywiadu radzieckiego Anglik był prawdziwym darem nieba. Zwerbowany podczas studiów w Cambridge, zdołał wkręcić się do SIS. Początkowo pracował na ostatnich stanowiskach w Sekcji D. Rok później, po wybuchu wojny, skierowano go na kursy agentów w Beaulieu w Hampshire. Ale w lecie zeszłego roku zwolniło się miejsce w kwaterze MI-5 w Prae Wood koło St. Albans. Philby został przeniesiony właśnie tam i do radzieckiego wywiadu informacje zaczęły płynąć szerokim strumieniem.

- Co nam przekazał? - spytał Własik.

- Trzy sprawy: tożsamość jednego z agentów, ich kontakt w Murmańsku i kryptonim operacji: „Szary Wilk”.

- Nie mógł podać więcej szczegółów? - spytał Własik, marszcząc czoło z niezadowoleniem.

- On pracuje w MI-5 w St. Albans. Najwyraźniej sprawę zaczęto montować tam, ale nasz człowiek nie brał w tym udziału. Po prostu miał trochę szczęścia. Wpadła mu w ręce szyfrowana wiadomość od dowódcy morskiej bazy brytyjskiej w Polarnym, potwierdzająca kontakt „Szarego Wilka” w Murmańsku. Tamten oficer podawał pseudonim tej osoby, Wera, i numer telefonu. Potem, zgodnie z tym, co doniósł nasz informator, cała operacja została

nagle przeniesiona z MI-5 do Londynu. Zaostrzono środki bezpieczeństwa i nasz człowiek nie miał już dostępu do żadnych szyfrowanych telegramów. Zupełnie tak, jakby zaniechano operacji i zrobiono wszystko, by zniszczyć po niej wszelkie ślady. A skoro nie organizuje się jej normalnymi sposobami, to znaczy że jest wyjątkowo ważna.

- Albo że chcą się wyprzeć wszelkich związków z tą sprawą. - W świńskich oczkach Własika pojawił się nagły sprytny błysk.

- To możliwe, towarzyszu generale. Nie znamy odpowiedzi na mnóstwo pytań. Na przykład, czy dowódca bazy wojskowej nawiązał kontakt z kimś w Związku Radzieckim? Nasz informator z St. Albans sądzi, że może chodzić o jakiś spisek w Moskwie. Może nawet o tajną reakcyjną grupę w łonie partii. Nie wie, w jaki sposób ani dlaczego włączył się do tego wywiad brytyjski, ale może to z jakichś powodów dotyczyć tego drugiego człowieka.

Własik przestał czyścić zęby. Po raz pierwszy wydawał się zainteresowany, jego grube, ciemne brwi złączyły się w jedną linię.

- Gdy konwój był jeszcze na morzu - kontynuował Bałow - znaleźliśmy osobę, z którą ci dwaj mieli się skontaktować w Murmańsku. Okazało się, że Wera to młoda kobieta, jej prawdziwe nazwisko brzmi Jekaterina Sierowa. Ale chyba nie przydzielono jej jakiegś ważniejszej roli. Wydaje się, że miała ich tylko przywieźć do Moskwy. Postanowiłem podstawić zamiast niej kogoś od nas.

- I nasz człowiek będzie cały czas z nimi?

- Tak.

- Więc gdy już przyjadą do Moskwy, bez trudu można ich aresztować.

Głupi kołchoźnik! A nawet gorzej niż głupi. Może spaprać całą rzecz. Czy nie potrafi zrozumieć o co chodzi nawet wtedy, gdy mu się to dokładnie tłumaczy? - wściekał się w duchu Bałow.

- Najpierw musimy się zorientować, na czym polega cała sprawa. Po co tu przyjechali. Co w tym jest takiego ważnego, że Brytyjczycy poświęcają własnych ludzi. Przecież ryzykują ich życiem, wysyłając ich do naszego kraju bez jakiegś rozsądnej przykrywki. Rozumiecie, towarzyszu generale? Wiemy, co się dzieje, ale nie wiemy, co się za tym kryje.

Wreszcie w oczach Własika zajaśniała iskierka zrozumienia.

- Tu może chodzić o kogokolwiek - dodał Bałow. - Może to spisek w armii, a może nawet ktoś knuje przeciw samemu towarzyszowi Stalinowi.

Na płaskiej słowiańskiej twarzy pojawiła się prawdziwa troska. Własik rzucił zapalną na biurko.

- Masz jakieś dowody? - spytał szybko.

- Tylko domysły. Ale nigdy za wiele ostrożności. Dlatego właśnie uważałem, że muszę was o wszystkim powiadomić.

- I dobrze zrobiłeś - przyznał Własik.

Bałow uśmiechnął się. Przyszedł tu na rozkaz swojego przełożonego. Ach, ten Postyszew - srebrnowłosa, noszący się z wielką godnością, ale o twarzy, na której brak zdecydowania i lęki wyryły głębokie zmarszczki - jakże się bał generała Własika, szefa ochrony Stalina! Postyszew raczej nie pozostanie już długo na swoim stanowisku. Bałow uważał, że wkrótce on sam je zajmie.

- Myślę, że powinniśmy koordynować nasze działania - mówił teraz. - Byłoby dobrze, gdybym mógł znać rozkład zajęć towarzysza Stalina.

Równie niemożliwa jak to, żeby kiedykolwiek wygładziła się gruba skóra na twarzy Własika, była ewentualność, że jego mózg zdoła przetrwać dwie informacje naraz.

- Przyszedłeś tu po radę - powiedział i wreszcie spojrzał na Bałowa.

- Tak. Chciałem wiedzieć, czy waszym zdaniem, towarzyszu, powinienem poinformować o wszystkim kierownika sekretariatu.

Szefem osobistego sekretariatu Stalina był Aleksander Nikołajewicz Poskrebyszew, niski mężczyzna z wydatnym brzuchem i przygarbionymi plecami.

Głowę miał zbyt wielką w stosunku do reszty ciała, a ciemne oczy przypominały oczy drapieżcy. Ale i tak jego przeszywający wzrok był mniej niebezpieczny niż to, że codziennie rozmawia ze Stalinem. Własik pokiwał przecząco głową.

- Sam to zrobię - odparł.

Bałow wiedział, że tak się nie stanie. Zazdrość i podejrzliwość istniejąca między oboma szefami działów uniemożliwi jakąkolwiek współpracę. No i dobrze. Na tym etapie śledztwa Bałow nie życzył sobie, by ktoś mu się wtrącał. Gdyby Stalin dowiedział się o wszystkim już teraz, cała operacja zostałaby sparaliżowana. Z drugiej strony, jeżeli Bałowowi się nie uda, będzie mógł rzucić część winy na generała Własika, który nie zawiadomił Poskrebyszewa o tej sprawie.

- Dziękuję, towarzyszu generale.

- Nie ma za co - zbył go Własik. - Informuj mnie o wszystkim.

Bałow odesłał samochód. Chciał się przejść i pomyśleć. Minął zbudowaną z czerwonej cegły Wieżę Spasską, zatrzymując się tylko na chwilę, by popatrzeć na wielki zegar, na którym wysoki szpic górował nad fryzem przedstawiającym figurki ludzi.

Potem skierował się w stronę cerkwi Wasyla Błogosławionego i pomników z brązu Minina i Pożarskiego, bohaterów roku tysiąc sześćset dwunastego, aż wreszcie doszedł do

rzeki. Wyciągnięte ku niebu gałęzie nadbrzeżnych drzew były jeszcze nagie, a rzeka zamarznięta. Ale pod lodem tworzyły się już kałuże roztopionej wody.

Pod drzewami leżał śnieg. Bałow zatrzymał się. Stał tak samotnie, w grubym płaszczu trochę za ciasnym dla jego potężnego ciała. Podniósł kołnierz, a ręce włożył głęboko do kieszeni.

Przez długą chwilę wpatrywał się w zamarznięty, biały krajobraz, zupełnie jakby w lśnieniu lodowych kryształków kryła się jakaś wielka tajemnica. Lata, które minęły od pobytu w Stalingradzie, zmieniły go. Nabral doświadczenia, ale i stał się bardziej cyniczny w swoich opiniach o ludziach, a nawet o sobie samym, chociaż ciągle jeszcze wierzył, że potrafi zmusić system, by pracował dla niego, a nie przeciw niemu. W NKWD człowiek był bezpieczny tylko tak długo, jak długo okazywał się niezbędny. Ale on, wiedząc o tym, nigdy nie padnie łupem Ludowego Komisariatu. System niszczy tylko takich niekompetentnych ludzi jak Własik albo takich tchórzy jak Postyszew.

Ciekawiło go, jak minione lata obeszły się z Antonym Ryderem. Jedyne co ich łączyło, była rosyjska dusza, bo Ryder też ją w sobie pielęgnował. Poza tym różnili się we wszystkim. Jeden cenił wspomnienia przeszłości, drugi myślał tylko o przyszłości. Bałow miał jasno wytyczony cel: dotrzeć najkrótszą drogą na szczyty systemu. Na tym właśnie polegało jego zaangażowanie. Rewolucje wymyślali fanatycy, walczyli w nich szaleńcy, a potem ich zdobycze utrwalali ludzie dbający o własny interes, a nie o ideologię. Marks bredził. Czy ktokolwiek w ogóle mógł uwierzyć w głupstwa, jakie plótł? Dostarczył moralnego uzasadnienia dla zastrzelenia kilku Romanowów i dla przechwycenia władzy, to wszystko. Bałowa o wiele bardziej interesowało nagie kobiece ciało albo dobry żart, niż niedopieczone ekonomiczne wyjaśnienia przebiegu historii.

Natomiast jeśli chodzi o Rydera, kto mógł naprawdę wiedzieć, czego doświadczył? Nikomu się nie zwierzał. Aż do teraz Bałow wyobrażał sobie, że wie o nim tyle co o wszystkich. Jednak im więcej o tym myślał, tym bardziej uświadamiał sobie, że nie wie o nim nic.

Intrygował go ten drugi mężczyzna, dla którego brytyjski wywiad ryzykował życie swojego agenta. A co z operacją „Szary Wilk”? Musi dotyczyć jakiejś sprawy w Moskwie, a Brytyjczycy są w nią wmieszani. Bałow zmarszczył czoło. Był pewny, że gdy dowie się, kim jest ten drugi, zrozumie także, o co w tym wszystkim chodzi. Tak więc następnym ruchem w grze będzie zidentyfikowanie tamtego. W jego umyśle już tworzył się plan posunięć i kontrposunięć.

Spojrzał na kopuły Kremla. W polowaniu na lisa, pomyślał, ktoś musi przegrać. Ale przegrywanie nie leżało w charakterze Bałowa nawet wtedy, gdy jako wyrostek żył w slumsach Symferopola na Krymie.

Bałow urodził się w Symferopolu. Jego ojciec był robotnikiem tartacznym, ale z powodu alkoholizmu i gorliwego szerzenia idei Marksa nigdy nie zdołał utrzymać się w pracy zbyt długo. Matka służyła w dworze Janowów. Była bardzo pobożna. Do małżeństwa wniosła ikonostas z kilkoma świętymi relikwiami i łożową wieczną lampkę. Bałow pamiętał, jak nocami jej czerwony blask oświetlał ikony.

Ojciec szydził z religii. Kiedyś, wybiegając po pijanemu z domu, uszkodził ikonostas. Matka, czołgając się po podłodze, zebrała odłamki szkła, a on sam modlił się, by ojciec umarł.

Mieszkanie składało się z dwóch izb. Wodę musieli przynosić z miejskiej studni, a za ubikację służyła im wygodka za domem, z której korzystała spora część mieszkańców ulicy. Mały Bałow spał na sienniku rozłożonym koło żelaznego piecyka opalanego drewnem.

Ojciec przyjaźnił się z niejakim Wiktorem Pawłowiczem Antonowem, bolszewikiem i byłym nauczycielem. Antonow miał w tym czasie pod czterdziestkę, był krępy i łysiał. Okulary w drucianej oprawce podkreślały jeszcze wyraz chłodnej inteligencji malującej się w jego oczach, a ostre rysy tuszował tylko lekko cofnięty podbródek, ukryty pod brązową bródką przystrzyżoną w szpic.

Którejś nocy, gdy szalała ulewa, Antonow przyszedł do domu Bałowów. Drzwi zadrzały pod uderzeniami jego pięści i zaraz potem wszedł, ociekając deszczem, w światło naftowej lampy. Powiedział, że ucieka przed carską policją.

- Tu nie będziesz bezpieczny, Wiktorze Pawłowiczu - oświadczył ojciec Bałowa. - Ale znam dobre miejsce za rzeką. Stoi tam opuszczony barak, gdzie dawniej suszono tytoń. Chłopiec może ci przynosić jedzenie.

Barak znajdował się głęboko w lesie. Wysoki i wąski, pochylał się na bok, deski, z których był zrobiony, jużgniły. Podłoga ciągle jeszcze zachowała zapach tytoniu.

Pierwszego popołudnia Bałow zaniósł Antonowowi chleb, ser i bukłak wina massandra. Wśliznął się do baraku, ciemnego i gorącego od sierpniowego upału. Cicho zawołał i usłyszał w górze lekki szmer, gdy Antonow opuszczał drabinę ze stryszka.

Były nauczyciel na ogół nosił się nienagannie, ale teraz jego biała koszula poszarzała od brudu, a na kołnierzu widniała obrączka kurzu i potu. Zjadł łapczywie, popijając chleb i ser dużymi łykami wina.

- Była u was policja? - spytał, gdy już się posilił.

- Tak.

- Co ojciec im powiedział?

- Że nie wie, gdzie pan jest.

- Posłuchaj, Walerianie Wasiliewiczu. Policja może wrócić. Mogą nawet wpaść na pomysł, żeby każdego z was przesłuchać osobno. Musisz im mówić, że nic o mnie nie wiesz. Możesz to dla mnie zrobić?

Bałow skinął głową i złożył obietnicę.

- Bardzo dobrze. Jeszcze zrobimy z ciebie bolszewika.

Potem ojciec postarał się o wóz z podwójnym dnem, wyładowany workami ziarna, i wywiózł Antonowa z miasta. Antonow miał w Sewastopolu przyjaciół bolszewików, którzy ułatwili mu ucieczkę z kraju. Bałow widział wtedy ojca po raz ostatni. Po jakimś czasie policja poinformowała matkę, że ojciec został śmiertelnie raniony w pijackiej burdzie o prostytutkę.

Matka nadal miała znajomych wśród służby Janowów i czasami zabierała syna, gdy szła prosić o odpadki z kuchni. Kiedyś, gdy już wychodzili, zobaczyli trojkę wiozącą hrabinę Janową i jej córkę Darię Aleksiejewną. Powóz pędził prosto na nich, trzy białe konie galopowały wśród dudnienia podków i błysków srebrnych ozdób na czarnej uprzęży. Siedzący na koźle stangret miał na sobie sztywną pelerynę i wypolerowane buty, a jego długa kozacka koszula przepasana była czerwonym pasem. Gdy pociągnął za lejce, konie zwolniły, wiatr przestał rozwiewać im grzywy. W końcu się zatrzymały.

Daria Aleksiejewna miała dziesięć lat, tyle samo, co Bałow. Nosiła sukienkę z białej tafty, przewiązaną w pasie tak, że spódniczka pięknie układała się na halkach, oraz białe pończochy i kapelusz obwiązany wokół ronda kolorową wstążką opadającą z tyłu na rozpuszczone włosy koloru miedzi.

Stangret zdjął czapkę i pokłonił się do pasa, gdy matka i córka wysiadały z powozu. Bałow patrzył na dziewczynkę. Na jej ładnej twarzączce odmalował się wyraz oburzenia i przykrości, gdy pochwyciła jego wzrok. Szepnęła coś do matki, a on nagle stał się świadomy swojego wyglądu: źle obcięte włosy, zakurzone gołe nogi i podarte, brudne ubranie.

Po kilku dniach poinformowano jego matkę, żeby już nie przychodziła do dworskiej kuchni po resztki.

To był rok rewolucji w Piotrogradzie i końca wojny z Niemcami. Ale na prawdziwy pokój przyszło jeszcze długo czekać. Po prostu, jak w grze, walkę na jakiś czas przerwano, by podjąć ją później. W tym samym roku Bałowowie, matka i syn, dowiedzieli się, że Antonow wrócił na Krym i dowodzi w górach bolszewickimi partyzantami.

Podczas ostatniej zimy wojny domowej tyfus i ospa wietrzna zebrały w powiecie obfite żniwo. Uciekinierzy płynęli jak rzeka zamarzniętą drogą, nogi mieli owinięte szmatami, głowy pochylali nisko w lodowatym wietrze wiejącym od gór.

Potem nadeszły niedobitki Białej Gwardii, cofające się na południe, by uciekać morzem. Przez dwie noce żołnierze maszerowali nieprzerwanym strumieniem, z drogi dochodził warkot silników ciężarówek, muły ciągnęły armaty i niosły juki z amunicją. Ale rankiem trzeciego dnia droga była pusta; biegła aż do horyzontu, pokryta ubitym śniegiem, czarnym od benzyny, smaru do osi wozów i odchodami zwierząt.

W pierwszym szarym świetle dnia Bałow poszedł tam, bo miał nadzieję, że znajdzie coś do jedzenia. Niedaleko opuszczonej kuchni polowej potknął się o martwego kawalerzystę, zagrzebanego częściowo w śniegu. Koń też był martwy. Kucalo nad nim sporo ludzi, wycinając z zamarzniętych zwłok kawałki mięsa. Bałow zobaczył, że żołnierz poniósł śmierć od kuli. Rozebrano go już ze spodni i butów. Została tylko zakrwawiona bluza, którą trudno było zdjąć, bo przymarzła do ciała.

Bałowowi udało się wyrwać kawałek z końskiego zadu. Gdy odchodził, rzucił jeszcze okiem na zabitego kawalerzystę. Leżał twarzą do ziemi, z wystającymi do góry pośladkami i zaciśniętymi pięściami, jak dziecko śniące koszmar. Ludzie ćwiartujący konia nic nie mówili, tylko metodycznie oddawali się swojemu zajęciu. Wszyscy byli ubrani w ciemne łachmany i przypominali sępy siedzące kręgiem nad padliną. Bałowowi przemknęło przez myśl, że po uporaniu się z ciałem konia mogą się zabrać również do ciała żołnierza.

Dzień po tym, gdy czerwoni weszli do Symferopola, przed chałupę Bałowów zajechał wojskowy samochód. Zabrano chłopca do budynku, w którym dawniej mieścił się sztab białych, i zaprowadzono do pokoju, gdzie za stołem siedział generał, przeglądając jakieś papiery. Dopiero po chwili Bałow poznał Antonowa. Kozia bródka posiwiiała, a na twarzy pojawiło się mnóstwo zmarszczek. Były nauczyciel wstał, obszedł stół i chwycił Bałowa za ramiona.

- Witam, Walerianie Wasiliewiczu! No, no, wyrosłeś na prawdziwego mężczyznę. Ile to już lat się nie widzieliśmy? Siedem? Masz teraz czternaście, prawda? Miałem nadzieję, że twój ojciec doczeka nowych czasów, ale mówi się trudno. Jednak ja nie zapomniałem o chłopcu, który przynosił mi jedzenie. Niedługo się przekonasz, co planuję.

Antonow został mianowany przewodniczącym Wojskowego Powiatowego Komitetu Rewolucyjnego. Dopilnował, by Bałow z matką otrzymali mieszkanie z ubikacją i bieżącą wodą. W kraju panował głód, ale oni mieli co jeść. Trochę później użył również swoich wpływów, by młody Bałow został przewodniczącym oddziału Komsomołu.



W wieku osiemnastu lat Bałow osiągnął już swój pełny wzrost. Podczas prac polowych mógł bez zmęczenia nosić worki ziarna i kosić więcej niż inni.

Wojskowy Komitet Rewolucyjny przekształcił posiadłość Janowów w sanatorium. Hrabia Janow został zamordowany przez bolszewików, gdy próbował uciekać samochodem z żoną i córką do Jałty. Ironia losu sprawiła, że Dana Aleksiejewna, obecnie osiemnastoletnia, została skierowana do pracy jako pielęgniarka w swojej dawnej posiadłości. Bałow dowiedział się o tym pewnego popołudnia, gdy ochotnicy z Komsomołu przyszli do sanatorium, by poczytać starszym pacjentom. Do tej pory pamiętał pierwszą chwilę, gdy ją zobaczył, szczupłą i uroczą mimo pewnego rysu arogancji podkreślanego przez prosty nosek, różowe usta i wysokie kości policzkowe. Oczy te nadal patrzyły chłodno i twardo, chociaż próżność dziewczyny doznała wielkiego uszczerbku. Bałow zaczekał na nią w upale ogrodu, a gdy wychodziła z sanatorium, podszedł i powiedział:

- Dano Aleksiejewna, nie powinna pani chodzić sama po lesie.
- Nie zostało mi nic, co można by ukraść. Państwo zabrało wszystko.
- Nie dba pani o swoją cnotę?
- A pan? Co pan obecnie kradnie?
- Tylko całusa.
- Myślałam, że znów pan przyszedł po resztki z kuchni.
- Widzi pani? - Bałow się roześmiał. - Jednak utkwilem w pamięci.
- Nie musi mnie pan odprowadzać. Znam drogę.
- Chętnie się poświęcę.

Do dziś pamiętał wzory, jakie liście drzew kładły na jej twarzy i jak wiosenne słońce nadawało jej długim do pasa włosom olśniewający blask miedzi. Zanim jeszcze doszli do rzeki, jego żarty wywołały uśmiech na różowych ustach.

- Uśmiecha się pani. To może znaczyć tylko jedno. Nie jestem już obiektem pani złośliwości i wielkopańskich kaprysów. Dario Aleksiejewna, proszę zapamiętać tę mądrość: takie piękne usta są stworzone do uśmiechu, a nie do dąsów.

Potem któregoś dnia przyszedł do niej, przyniósł kwiaty dla jej matki i zauważył ten sam wyraz lodowatej wyższości wryty na twarzy starszej kobiety. Przypomniało mu to dzień w posiadłości Janowów, gdy wysiadła z powozu i rzuciła mu tak obojętne spojrzenie, jakby nie miał prawa istnieć na tym świecie.

Ale teraz już nie mogła go odprawić. Jego pozycja w Komsomole dawała mu władzę nad byłą hrabiną. Gdy wspomniał, że może zostanie wysłany na studia do Moskwy, powtórzyła słowo „Moskwa” i przez jej oczy przemknęła jakaś iskierka zainteresowania.

Po kilku wizytach stało się dla niego jasne, że w znajomości z nim upatruje szansy dla córki. Czy nie jest ważnym człowiekiem w Komsomole? A gdy dojdzie do odpowiedniego wieku, na pewno zaproponują mu wstąpienie do partii, gdzie może się stać osobą wpływową.

Po raz pierwszy odezwał się do Darii po imieniu, gdy przesiewając palcami jej włosy, pocałował ją, a jej różowe, godne pożądania usta przywarły namiętnie do jego warg. Niedługo potem spędził z nią noc na pagórku koło zamkniętej na kłódkę cerkwi. Pamiętał płot z palików, wałący się i porośnięty głogiem zwisającym do ziemi, i Darię leżącą na plecach pośród kwiatów i patrzącą na niego, i jej narastające podniecenie, gdy obrzucał jej szyję pocałunkami. Potem wsunął ręce pod jej suknię. Nie odepchnęła go ani się nie odsunęła, a on przycisnął się do niej jeszcze bardziej, wchodząc w to wilgotne miejsce, które na jego palcach zostawiło słodki zapach miodu.

Sześć tygodni później matka Darii przyszła do Antonowa na skargę. Jej córka była w ciąży.

- To młody Bałow! Wykorzystał ją i od tej pory już go nie widziała.

- Zajmę się tym - obiecał Antonow i rzucił jej zimne pożegnalne spojrzenie. Potem posłał po Bałowa.

- A więc, Walerianie Wasiliewiczu, co masz na swoją obronę? To poważne zarzuty. - Mówiąc to mrugnął, by dać mu do zrozumienia, że zarzuty nie są aż tak poważne, jak mówi, ale dla pozorów musi go formalnie przesłuchać. - Czy wykorzystałeś tę dziewczynę?

- Tamtej nocy była bardzo chętna.

- Dobrze. - Antonow, odsyłając go do sąsiedniego pokoju, z całej siły starał się zachować należyłą powagę. Bałow przez ścianę słyszał rozmowę Antonowa z matką Darii. Jego słowa pocieszenia dla rozwścieżonej kobiety brzmiały następująco: - Nie powinna pani nikogo oskarżać bez powodu. Bałow dał mi słowo komunisty i nie wątpię, że mówi prawdę. Radzę pani nie sprawiać mi więcej kłopotu. Dla takich kłopotliwych osób, które rozprowadzają obrzydliwe kłamstwa, mamy odpowiednie miejsca, a nie słyną one z dobrego klimatu.

W jakiś czas potem Antonow wezwał Bałowa do siebie.

- Słyszałeś nowiny? - spytał. - Ta dziwka Janowa straciła dziecko. Matka to załatwiła. Stara wiedźma dała jej do picia roztwór ługu. Lekarz mówił, że dziewczyna była już jedną nogą w grobie.

W głowie Bałowa pojawił się obraz kobiety i dziewczynki wysiadających z powozu. Pogarda na ich twarzach, gdy patrzyły na niego z głębin czasu, powiedziała mu, że impertynencją z jego strony byłoby myśleć o tym, by mógł zostać ojcem dziecka Darii Aleksiejewny. Przez chwilę Bałow widział je, jak po prostu stoją, osłaniając się parasolkami

w słonecznym blasku jego pamięci. Potem dziewczynka szepnęła coś do matki. Ostra niechęć zniknęła z ich twarzy, ustępując miejsca uśmiechowi szyderczej wyższości. Obraz zniknął dopiero wtedy, gdy Bałow mrugnął.

Kilka dni później Daria podeszła do niego na ulicy.

- Walerianie Wasiliewiczu - powiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu. - Proszę! Muszę z tobą porozmawiać. Aresztowali moją matkę.

- Kto?

- Czekaj. Ktoś doniósł, że prowadzi działalność kontrrewolucyjną. Mogą ją skazać na deportację.

- Dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

- Z powodu twojego przyjaciela Antonowa. On ma wpływy w tajnej policji. Mógłby pomóc.

Bałow pamiętał, jak patrzył obojętnie na jej wykrzywioną ze strachu twarz, zastanawiając się, czy kiedykolwiek przedtem już była zmuszona do proszenia o przysługę. Przebiegł go dreszcz współczucia. Ale jednocześnie wiedział, że ma teraz władzę. Czyż nie zabiła jego dziecka, które nosiła w łonie? Musi więc ponieść konsekwencje.

Oderwał jej rękę od swojego ramienia i powiedział:

- Widzisz, Dario Aleksiejewna? Można zebrać nie tylko o resztki z kuchni. Tego roku jego matka zachorowała na zapalenie płuc i po kilku dniach umarła. Antonow nalegał, by Bałow zamieszkał razem z nim.

- Pamiętasz, jak uciekałem przed carską policją, a ty przynosiłeś mi jedzenie? Twój ojciec ryzykował dla mnie własną wolnością. Był dobrym komunistą i wiele mu zawdzięczam. A poza tym, gdybym miał syna, chciałbym, żeby stał się taki jak ty.

Żona Antonowa, Lidia Andriejewna, miała wówczas około czterdziestki. Była tęgą kobietą z obfitym biustem, zaplecione w warkocze włosy upinała po bokach okrągłej twarzy. Tyła w pasie, chociaż pod ciemnym, zimowym płaszczem biodra ładnie się zaokrągląły. W śmiechu kobiety wyczuwało się nutkę nerwowej energii. Gdy Bałow się sprowadził do jej domu, krzątała się wokół niego po matczynemu.

- Walerianie Wasiliewiczu, musisz się tu czuć jak u siebie. Postaraj się przezwyciężyć smutek. Twoja biedna mama na pewno by nie chciała, żebyś do końca życia nosił po niej żałobę.

Wydawało się, że dbanie o Bałowa sprawia jej przyjemność. Prała mu ubranie, cerowała skarpetki i nicowała koszule na napędzanej pedałem maszynie. Zrzędziła, gdy jej zdaniem za mało jadł, a czasami dokuczała mu też na temat dziewcząt.

Potem Antonowa wezwano na kilka dni do Moskwy. Tego wieczoru, gdy Bałow zaprzęgał konia do sań, by odwiedzić opiekuna na dworzec, ulice Symferopola pokryły się śniegiem. Czekali na peronie w ostrym mrozie, śnieg znów zaczął padać, płatki lśniły w świetle reflektorów nadjeżdżającej lokomotywy. Lidia Andriejewna podsunęła mężowi policzek do pocałunku. Antonow wszedł do wagonu, zdjął rękawiczki i pomachał przez okno, gdy pociąg ruszał.

Bałow pamiętał drogę powrotną, dzwoneczki przy uprzęży, ciemność rozpraszaną przez latarnie sań i tumany śniegu wznoszone końskimi kopytami. Pod derką, którą byli przykryci, Lidia Andriejewna przycisnęła się do niego i chwyciła go obiema rękami za ramię. Nocne, zimne powietrze niemal cięło ich twarze i zostawiało na nich mocny rumieniec, a na futrzanym obramowaniu ich kapturów lśniły kryształki lodu. Raz, gdy płoza uderzyła w zaspę, jej palce zacisnęły się na jego ramieniu. Zaśmiała się radośnie jak młoda dziewczyna.

Po powrocie do domu Bałow przyniósł naręczce drewna. Lidia Andriejewna, ciągle jeszcze z rumieńcami od mrozu, nastawiła samowar, a potem usiedli przed płonącymi brzoźowymi polanami i w milczeniu wpatrywali się w ogień.

W nocy obudził się, czując wpatrzone w siebie oczy. Ciepła ręka głaskała go po policzku. Już miał krzyknąć z przestachu, gdy namiętne wargi przywarły do jego ust. Tuliły się do niego nagie kobiece piersi. Palce wzięły w posiadanie jego członek, który nieposłuszenie stwardniał, a wtedy został nakierowany do wilgotnego otworu. I tam już pozostał, ściskany między dwoma palcami, podczas gdy skurcze mięśni pochwy prowadziły go nieuchronnie do wytrysku. W końcu zgłodniałe usta stały się mniej agresywne, język zaczął się poruszać wolniej, w słodkiej eksploracji, aż wreszcie wycofał się jak fala odpływu.

- Lidia - zaprotestował zduszonym szeptem.

- Bądź cicho! - krzyknęła, kładąc mu palce na wargach. - Nic nie mów! Leżał na plecach i czuł się winny.

- Śpij - szepnęła.

Gdy się obudził, Lidii już nie było. Zamknął oczy, usiłując wyrzucić zdarzenie z pamięci. Wszystko wydawało mu się tylko niewinnym snem z nocną polucją, ale czuł się grzeszny, bo przepelniała go paląca radość. Antonow to jego przyjaciel. Jak spojrzeć mu w oczy? A przecież jego przyszłość zależała od opieki i dobrej woli Antonowa, Jak można odrzucać taką szansę? Im dłużej nad tym rozmyślał, tym bardziej się czuł złapany w pułapkę.

O brzasku usłyszał, jak Lidia Andriejewna krząta się w kuchni. W końcu zawołała go:

- Walerianie Wasiliewiczu, czas do szkoły!

Na stole już czekało śniadanie, a Lidia chodziła od pieca do spizarki, krzątając się wokół Bałowa jak zwykle po matczynemu. Taka sytuacja mogła raz na zawsze doprowadzić mężczyznę do cynicznego traktowania kobiet.

Trzeciej nocy znów przyszła do jego łóżka. Wyrzucił ją. Rozpłakała się, łkania wstrząsały jej ciałem. Wśród szlochu wykrzyczała, że się zabije. Gdy tylko pozwolił jej wejść pod koldrę, zaczęła całować go po twarzy ustami słonymi od łez. Szeptala, że go kocha. Jej ręka przesunęła się z jego nagiej piersi do pachwiny. Próbował ją odsunąć, ale zachichotała i dalej robiła swoje. Wydawało się, że jej palce żyją własnym życiem. Prawie natychmiast jego wola się załamała, zupełnie jakby do świadomości wprowadzono mu jakiś paraliżujący preparat, by uspić lojalność w stosunku do Antonowa. I znów skapitulował wobec przyjemności, jaką odczuwał dzięki skurczom mięśni jej pochwy. W końcu, w ostatecznym momencie zdrady, nastąpił wytrysk. Jednak potem odczuwał tylko pogardę wobec kobiety i wyrzuty sumienia z powodu własnej seksualnej hipokryzji.

Czy Antonow mógł się czegoś domyślać? Gdy wysiadł z pociągu na peron, Bałowowi wydawało się, że w lśnieniu jego okularów widzi milczące oskarżenie.

W drodze do domu prawie nic nie mówili. Patrzyli w milczeniu na zasypane śnieżem okalające jezdnie. Jednak gdy już się znaleźli w jadalni, pokoju z ciemną drewnianą boazerią, Antonow wyciągnął rękę.

- Daj mi swoją legitymację komsomolską - rozkazał.

A więc wie! Bałow podał mu kartę z wybitymi na niej literami K.I.M. i zdjęciem Lenina. Antonow podarł ją na kawałki, ale zaraz potem wyciągnął z portfela inną kartę.

- To twoja legitymacja partyjna - oznajmił.

Bałow, niezdolny do wypowiedzenia choćby jednego słowa, tylko skinął głową.

- Walerianie Wasiliewiczu, czemu jesteś taki zdziwiony? Jak myślisz, po co innego jechałbym osobiście do Moskwy?

- Nie zasługuję na to.

- Bzdura. Poza tym, to wcale nie było takie trudne. W końcu twój ojciec umarł śmiercią bohatera za rewolucję bolszewicką.

Bałow z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Dzięki jakiemu cudowi dialektyki marksistowskiej można postawić znak równości między śmiercią w bójce o prostytutkę i poświęceniem dla rewolucji? Jednak rzeczywiście był nieodrodnym synem swojego ojca, nadającym nową treść brakowi seksualnej powściągliwości, a za przyprawienie rogowi opiekunowi dostał partyjną legitymację!

- Załatwiłem ci przyjęcie do Państwowej Szkoły Wywiadu - mówił dalej Antonow. - To wspaniała możliwość dla młodego człowieka. Wiem, że mnie nie zawiedziesz.

Lidia Andriejewna podeszła i uścisnęła mu rękę.

- Wala, tak się cieszę!

Ty zdrażliwa krowo, pomyślał Bałow.

- A teraz - rozkazał Antonow - napijmy się wina, żeby uczcić okazję. Niech będzie massandra - mrugnął do Bałowa. - Za chłopca, który przynosił mi ją w bukłaku.

Podnieśli kieliszki. W rubinowym odbłasku wina twarz Antonowa mimo uśmiechu wydawała się smutna. Gdyby Bałow miał w tej chwili pistolet, chyba by się zastrzelił.

Wiosną, przed wyjazdem do Moskwy, pojechał autobusem do miasteczka, w którym jego matka urodziła się i została pochowana. Poszedł brudną uliczką na cmentarz przy cerkwi i położył bukiet kwiatów na nagrobku. Potem uklęknął w słońcu i dotknął krzyża.

- Przebacz mi, Boże - modlił się. - Nie wierzę już w Twoją boską wszechmoc, ale ona wierzyła i czciła Cię, więc ta modlitwa jest dla niej. Jeżeli rzeczywiście, przez jakiś kosmiczny przypadek istniejesz, mam nadzieję, że teraz opiekujesz się nią lepiej, niż gdy żyła. I proszę, nie marnuj swojej łaski dla mnie, boja nie mogę Ci przebaczyć, że zadawałeś jej tyle bólu.

Słowa płynące z jego umysłu nie były bluźnierstwem, lecz raczej zwierzeniem. Potem, jakby powodowany odruchem wpojonym mu jeszcze w dzieciństwie, przeżegnał się i wstał.

Natychmiast obudziły się w nim wspomnienia minionych lat, a przed oczami przesunęły się obrazy wyrzucane przez szalony wir pamięci: nagie ciało kawalerzysty, leżące w takiej pozycji, w jakiej kładą się nieszczęśliwe dzieci; zamarznięte śmietniki, na których on i matka tej zimy szukali czegoś do zjedzenia; hrabina i jej córka, patrzące na niego wyniośle z powozu; matka zbierająca odłamki szkła ze zbitego ikonostasu i uśmiechająca się przez łzy, gdy ją obejmował dla dodania otuchy. Tylko te wspomnienia z przeszłości chciał zachować, ale już uciekały razem z innymi w jakieś odległe zakątki umysłu i stawały się tak niewyraźne jak światło świecy widziane przez brudną szybę.

Lepiej myśleć o tym wszystkim realistycznie. Nawet kwiaty nie sprawią przyjemności kobiecie, która teraz śpi tu, pod kamieniem. Ciało gnije, a robaki pożerają marzenia. Jej życie było jednym wielkim rozczarowaniem. Natomiast on wybierze dla siebie zupełnie inną śmierć.

Na skutek nalotu odjazd pociągu z Murmańska opóźnił się o sześć godzin. Ryder, Kryłow i łączniczka Jekaterina Sierowa tulili się do siebie na podłodze wagonu towarowego,

by zachować choć resztki ciepła. Inni pasażerowie też trzymali się w grupkach. Wszyscy zachowywali milczenie.

Skazańcy i więźniowie polityczni całą noc ładowali na wagony zaopatrzenie dla moskiewskiego frontu. W świetle gazowych lamp kolejarze naprawiali tory, zniszczone podczas bombardowania. Ryder słyszał szurgot łopat o tłuczeń nasypu i dzwonienie gwoździ o szyny. Strażnicy przeklinali zimno i krzyczeli na więźniów, by pracowali szybciej.

Godzinę przed świtem pociąg ruszył. Rozległy się gwizdki i zaczęli nabierać szybkości.

Teraz, gdy pierwsze promienie słońca przedostawały się przez szczeliny w rozsuwanych drzwiach, Ryder zobaczył, że razem z nimi jedzie jeszcze około czterdziestu innych pasażerów. Pośrodku wagonu stał piecyk, ale brakowało drewna. Z dziury stanowiącej latrynę dochodził chłodny powiew. Ryder czuł, jak zimno przedostaje się przez jego watowany płaszcz. Chciał wstać i potupać zmarzniętymi stopami, ale nie starczyło na to miejsca. Krył drzemał z głową pochyloną na ramię. Ryder zastanawiał się, czy Sierowa też śpi. Coś w niej budziło jego podejrzliwość, ale było to uczucie zbyt niejasne, by poddać je racjonalnej analizie.

Dwa dni temu przyszła po nich do portu i zaprowadziła w śnieżnym zmierzchu do pokoju na tyłach zamkniętej obecnie przetwórni ryb. Zapaliła lampę naftową, wyprostowała się i z jej głowy opadła chusta. W świetle skóra kobiety lśniła jak miód, włosy koloru pszenicy miała uczesane w kok upięty na karku. Oczy patrzyły chłodno, były lodowate jak wielkie stopy w zimie i tak samo nie zdradzały żadnych uczuć.

- Są tu koce - powiedziała - a także wędzona ryba i chleb, jeżeli jesteście głodni. Obawiam się, że zabrakło herbaty. Jutro przyniosę coś do jedzenia.

- Jak długo tu zostaniemy? - spytał Ryder.

- Niedługo. Więcej będę wiedziała jutro. Masz pistolet? Ryder stał koło lampy, która rzucała cienie na ubrudzoną rybim olejem ścianę. Spojrzał na Sierową.

- Czy to ważne?

- Najprawdopodobniej zrewidują was, zanim pozwolą wsiąść do pociągu - wyjaśniła. - A już na pewno to zrobią, jeżeli pociąg będzie wiozł uzbrojenie na front. Jeśli masz pistolet, to lepiej mi go daj. Pozbędę się go.

Ryder pokręcił głową uśmiechając się obojętnie.

- Nie mam broni - powiedział.

W jej wzroku jeszcze przez chwilę widać było ponaglenie. Potem odwróciła się.

- Świetnie - odrzekła i wyszła.

Rano przyniosła kapuśniak i bochenek czarnego chleba. Tym razem zdjęła płaszcz. Gdy wspięła się na palce, żeby powiesić go na haku, Ryder zobaczył długie nogi i ciężkie piersi okryte rozciągniętym swetrem.

Podczas gdy jedli, Sierowa usiadła naprzeciwko nich przy stole, który dawniej służył do patroszenia ryb. Pośrodku stołu znajdował się blaszany zlew z zimną bieżącą wodą i odpływem, poryty nożami, z plamami po krwi i rybich wnętrznościach. Na podłodze leżały trociny, a ściany były gołe, tylko na jednej wisiała rybacka sieć. Kryłow połamał chleb, wrzucił kawałki do zupy, a potem spytał Sierową, czy mieszka w Murmańsku.

- Tak, ale znam Moskwę. Uczyłam się tam.

Jej ojciec, jak im powiedziała, był oficerem sztabowym u marszałka Tuchaczewskiego, najbardziej zaufanego dowódcy Stalina. Ale Tuchaczewski zginął podczas czystki w trzydziestym siódmym roku. NKWD aresztowało go zupełnie niespodziewanie i został rozstrzelany bez sądu.

- Ojca trzymali pół roku na Łubiance, a potem wysłali go do obozu pracy. Gdy został aresztowany, musiałam tu wrócić. Teraz pracuję w przetwórni, oczywiście gdy jest czynna. A ty? - Jej szare oczy spojrzały na Kryłowa. - Skąd przyjechałeś?

- Nie powiedzieli ci? - odpowiedział za Kryłowa Ryder.

- Wiem tylko, gdzie mam was zawieźć.

- Zatem nie ma znaczenia, skąd przyjeżdżamy. Ważne jest tylko to, gdzie jedziemy.

- Masz rację. - Jej usta skrzywiły się w nieśmiałym uśmiechu. - Nie należy stawiać pytań. Im mniej o sobie wiemy, tym lepiej.

Zanim skończyli jeść, Sierowa wstała. Wkładając płaszcz poprosiła ich o dokumenty.

- Do czego ci są potrzebne? - spytał Ryder. Nie potrafił jej zaufać. Może z powodu tego leciutko rozkazującego tonu?

- Przygotowujemy listy podrózne. Muszą się zgadzać z waszymi dowodami osobistymi, tymi, które dostaliście na brytyjskim okręcie eskortowym.

- Dlaczego myślisz, że przy płynęliśmy do Murmańska na brytyjskim okręcie eskortowym?

- A nie było tak?

Ryder uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Patrząc Sierowej prosto w oczy wyciągnął papiery z kieszeni i podał. Kryłow zrobił to samo. Sierowa wyszła.

Przez szparę w okiennicy Ryder śledził wzrokiem jej wysoką postać, znów bezkształtną w grubym płaszczu sięgającym cholewy butów. Chusta obwiązana wokół głowy



i szyi poddawała się uderzeniom wiatru. Patrzył, dopóki Sierowa nie zniknęła za zaspami śnieżnymi przy końcu ulicy.

- Ładna kobieta - mruknął Kryłow.

- Przejaśnia się - powiedział Ryder. Ale nie myślał o pogodzie. Myślał o tym, że Sierowa stawia za dużo pytań.

Tego popołudnia radziecka artyleria otworzyła ogień na półwyspie Srednij, kilka kilometrów na pomoc od portu. Obaj mężczyźni leżeli na podłodze, zawinięci w koce. Ryder zaplótł ręce pod głową i palił rosyjskiego papierosa.

- Jak myślisz, do czego strzelają? - odezwał się Kryłow.

- Może do niemieckich magazynów w Petsamo\*[\* Petsamo - obecnie Pieczenga. Niewielkie miasto w obwodzie murmańskim, w czasie drugiej wojny światowej miasto należało do Finlandii (przyp. tłum.).].

- Ciekawe, jak blisko Niemcy już podeszli.

- Bardzo blisko.

Przed zmierzchem nieprzyjacielskie bombowce przeleciały nisko nad pustymi wzgórzami Arktyki. Okna zadrżały od grzmotu bomb spadających na dworzec kolejowy. Krótco potem wróciła Sierowa z dokumentami. Ryder obejrzał je w świetle lampy i zobaczył, że on sam i Kryłow figurują w nich jako inżynierowie.

- Jedziecie do Omska przez Moskwę - dodała Sierowa.

- Dlaczego do Omska?

- Tam jest fabryka traktorów, w której obecnie produkuje się czołgi. Ryder skinął głową.

- To dobra przykrywka - przyznał.

- I daje pierwszeństwo podczas podróży - wyjaśniła Sierowa. - Chroni przed wyrzuceniem nas z pociągu, by zrobić miejsce dla jakiegoś partyjniaka. - Sierowa spojrzała w ich twarze oświetlone światłem naftowej lampy i dodała: - Powinniśmy już iść na stację. Z powodu nalotu nie wiadomo, kiedy pociąg odjedzie. Możemy nie zdążyć.

Na dworzec doszli już po zmroku. Nocny wiatr rozwiewał iskry z kilku pożarów pozostałych po bombardowaniu. Strażnik oświetlił latarką twarze nowych podróżnych i sprawdził dokumenty. Wiatr mało mu ich nie wyrwał z ręki. Potem oddał je i kazał iść dalej. Przy pociągu drugi strażnik po prostu pomachał ręką, żeby przeszli. Było za zimno na przejmowanie się papierami.

Co go niepokoiło w Sierowej? Teraz, lekko znużony monotonnym stukaniem kół o szyny i ciemnością panującą w wagonie, starał się zrozumieć, dlaczego jej nie ufa. Najpierw

ta sprawa z pistoletem... potem pytania. Wydawało mu się, że pytała o więcej rzeczy, niż gdyby kierowała nią tylko zwykła ciekawość albo konieczność uzyskania informacji potrzebnych do wykonania misji. Ale może on sam okazał się nadwrażliwy. Przez długi czas marszczył czoło, bo męczyły go wątpliwości.

Gdy pierwsze smugi dziennego światła przecisnęły się przez szpary w drzwiach, zobaczył resztę pasażerów zatłoczonego wagonu. Wstał, przeszedł nad dwiema głowami, podszedł do drzwi i przez szczeliny zaczął się przyglądać krajobrazowi. Lśniąca w słońcu tundra rozciągała się aż do horyzontu, tu i ówdzie pstrzyły ją tylko brzoźowe zagajniki, czarne na tle nieskalanie białego śniegu. W jednym z lasków dwa renifery wyrywały z ziemi porosty. Gdy pociąg się zbliżył, podniosły głowy i stanęły wyprostowane, z uniesionymi rogami.

Ryder przywołał gestem Kryłowa, który podszedł, spojrzął i uśmiechnął się. W czystym powietrzu rozległ się gwizd parowozu i wystraszone zwierzęta uciekły, łomocząc kopytami o zmarzniętą ziemię.

Jakiś czas później Ryder zobaczył oddział żołnierzy na nartach. Mieli białe kombinezony, a karabiny w białych pokrowcach trzymali przewieszane przez ramię. Żołnierze sunęli wzdłuż niskiego pasma wzgórz niecały kilometr od torów, zaopatrzenie wieźli na saniach ciągnionych przez psy.

- To patrol kolejowy. Pilnują torów w kierunku południowym, do Morza Białego - wyjaśniła Sierowa.

- Tej zimy były tu walki?

- Trochę. Przeważnie z niemieckimi oddziałami alpejskimi, wzdłuż granicy z Finlandią. Teraz czekają na wiosnę.

W południe zatrzymali się na bocznicę w miasteczku niedaleko Kirowska. Strażnik uderzył pięścią w drzwi i powiedział, że pociąg zostanie tu kilka godzin. Prawie wszyscy pasażerowie wysiedli.

Po chwili zobaczyli miejscową kobietę z dwiema córkami. Z trudem wyciągając nogi ze śniegu szły do pociągu. Wszystkie trzy ugiwały się pod naręczami drewna. Matka zaczęła się targować o cenę, żądała kilku kopiejek więcej, niż dawano. Dziewczęta, w chustach i długich czarnych spódnicach, usiadły na jednej z wiązek i czekały na wynik targów.

Niedaleko od nich żołnierze, którzy jechali pociągiem jako straż, stali rozmawiając i paląc. Przyglądali się dziewczętom. Starsza nieśmiało spojrzała na nich, zarumieniła się i znów wbiła wzrok w ziemię.

Gdy targowanie się dobiegło końca, dziewczęta ruszyły z matką z powrotem do miasteczka. Żołnierze śmiali się i żartowali, gdy ich mijaly. Starsza jeszcze raz spojrzala na nich i Ryder uslyszal, jak matka ja napomina.

- Nareszcie mamy drewno do piecyka - ucieszyła się Sierowa.

- Było ci zimno? - spytał Kryłow.

- Uhm...

- Ale chyba jesteś do tego przyzwyczajona? - zauważył Ryder. - Przecież mieszkasz w Murmańsku.

- Tak, oczywiście. Tam jest bardzo zimno.

Pociąg ruszył w dalszą drogę o zmierzchu. Ryder chwilę patrzył, jak światła miasteczka, odcinające się na ciemnej linii nieba, powoli znikają w oddali. Potem wrócił do reszty pasażerów.

Piecyk, mimo że niezbyt wyładowany drewnem, okropnie dymił. Siedzący najbliżej zasłaniali twarze. Chore dziecko zaczęło kwilić. Ktoś otworzył drzwiczki, by dorzucić drew. Wśród cieni i odblasków płomieni Ryderowi mignęła twarz Sierowej. Nie odzwierciedlały się na niej żadne uczucia, szare oczy patrzyły prosto na niego. Potem drzwiczki zamknęły się z trzaskiem i znów zapadła ciemność. Może ona nie ufa mi tak samo jak ja jej, pomyślał.

W nocy wiele razy się zatrzymywali. Pociąg szarpał, chwilę jechał wolno i stawał z łoskotem sprzęgów. Ryderowi udało się zasnąć tylko raz. Gdy się obudził, chciało mu się pić po wędzonej rybie, którą jedli wcześniej.

O brzasku znów się zatrzymali. Znajdowali się w lasach między Bielomorskiem i Onegą. W nocy przejechali spory kawałek na południe. Drzewa stanowiły plamy czerni na śniegu zalegającym ziemię, a poranne słońce kładło na nią ścieżki światła.

Pasażerowie wysiedli z wagonu i poszli za naturalną potrzebą. Ryder i Kryłow schronili się w kępie drzew za torami. Powyżej wierzchołków drzew widzieli słońce, wstające nad zamarzniętymi moczarami od strony Morza Białego.

- To mi przypomina krajobraz w okolicach Petersburga - powiedział Kryłow.

- Obecnie Leningradu?

- Tak. Mieszkaliśmy w pięknym wiejskim dworku, mieliśmy mnóstwo służby. Pamiętam, że ojciec przyjechał do nas dwa razy. Jakie to było cudowne! Poruszenie wśród służby, matka, ubrana w długą brokatową suknię, z włosami upiętymi w kok i ozdobionymi perłami. Myślę, że bardzo go kochała.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Nie jestem pewien. - Twarz Kryłowa rozjaśniła się w pełnym zadumy uśmiechu, jego oczy patrzyły w dal, na skutą lodem ziemię. - Za każdym razem przyjeżdżał w zimie. Pamiętam stukot podków o śnieg, parę buchającą z nozdrzy konia, żółtą pianę wokół jego pyska, która zaraz zamarzała. Ojciec oddawał wodze staremu Miszy, a koń walił kopytami w śnieg, póki Misza go nie odprowadził do stajni. Potem wchodziliśmy do domu i siadaliśmy przy ogniu.

- Spędziłeś z nim dużo czasu? - spytał Ryder, myśląc o innym wysokim mężczyźnie trzymającym za rękę chłopca i o pierwszych dźwiękach wojskowej muzyki przynoszonych przez wiatr.

- To było niemożliwe - odparł Kryłow. - Ale następnego dnia zabrał mnie na przejażdżkę konną. Misza szedł obok nas. Przez ramię miał przewieszzone dwie strzelby do polowania, a w kieszeni niósł amunicję. Myślę, że wypatrywaliśmy dzikich ptaków. Zatrzymaliśmy się przy zamarzniętym jezioru i ojciec postawił mnie na ziemi. Misza coś pokazywał palcem. Pośród drzew na drugim brzegu zobaczyłem szarego wilka. Był sam, bez swojej watahy. Po prostu stał i patrzył na nas, okazując raczej zaniepokojenie niż lęk, a na jego srebrnym futrze lśniły płatki śniegu.

Ojciec podrzucił strzelbę na ramię. Krzyknąłem. Musiałem przeszkodzić mu w celowaniu, bo gdy wystrzał rozerwał ciszę lasu, wilk zniknął.

Obeszliśmy jezioro. Ojciec biegł przodem. Nogi zapadały mu się w zaspy. Gdy dobiegliśmy na drugi brzeg, zobaczyliśmy na śniegu plamy krwi. Zacząłem płakać. Car podał strzelbę Miszy i wziął mnie na ręce. Mówił, że wilkowi nic się nie stanie. My wróciliśmy do domu, ale Misza kazał znaleźć wilka i dobić go.

Ryder popatrzył na Kryłowa i pomyślał: „Czy ja będę musiał zrobić to samo?” A na głos spytał:

- Czy wtedy widziałeś ojca po raz ostatni?

- Nie. Spotkaliśmy się jeszcze raz, tuż przed naszym wyjazdem do Paryża. Także zimą. Odwilż jeszcze nie nadeszła, niebo było bładoniebieskie, a powietrze ostre. Pojechaliśmy nad to samo jezioro, tylko we dwóch, ojciec i ja. Patrzyliśmy na drugi brzeg, tam, gdzie kiedyś pośród drzew stał wilk. Spytałem, czy wilk jest zdrowy, a on mi odpowiedział, że nie żyje. Chyba było ważne dla niego, by mi powiedzieć prawdę. Pamiętam dobrze jego słowa: „Niektóre żywe stworzenia muszą zostać zabite, bo stanowią niebezpieczeństwo dla innych”.

Kłęczał, trzymając ręce na moich ramionach. W jego oczach zabłyśły łzy. Wtedy tego nie rozumiałem. Myślałem, że jest mu smutno z powodu wilka. Ale on się ze mną żegnał.

Zza drzew wyszła Sierowa.

- Wszyscy już wracają do wagonu - powiedziała.

Kryłow odwrócił się, jego spojrzenie pobiegło po raz ostatni ku zamarzniętym moczarom, białemu krajobrazowi, w którym zima wkrótce ustąpi wiosnie.

- Cieszysz się, że wróciłeś? - spytał Ryder.

- Istnieje takie przysłowie - odparł z uśmiechem Kryłow. - Mówi ono, że można wyjechać z kraju i mieszkać gdziekolwiek, ale prawdziwy Rosjanin zawsze wróci, by tu umrzeć.

Nie każdy, pomyślał Ryder. Ciągłe pamiętał trzask zardzewiałych zawiasów wrót stajni i tętent kopyt, który słyszał przez sen w ciemności i zawodzeniu wiatru, a także to, czego nie słyszał: wystrzał z pistoletu w głębi lasu.

Most koło Pliesiecka został zniszczony. Pociąg wjechał na tory prowadzące na południe od jeziora Onega. Pasażerowie wrócili na stację pieszo. Musieli iść po ubitym, brudnym śniegu, zalegającym między torami.

Budynek stacyjny pochodził z czasów carskich, był wysoki, o grubych murach, od których odchodziły płyty starej farby. Ludzie tłoczyli się na ławkach i kamiennej podłodze, powietrze cuchnęło od dymu papierosów i niemytych ciał. Znajdowało się tu wielu rannych żołnierzy, niektórzy mieli amputowane kończyny, inni nosili zaropiałe opatrunki. Jakiś piechur siedział sam, dym z papierosa przesłaniał jego ponurą twarz. Pod przeciętą bluzą miał na brzuchu bandaż, z którego ciekła ropa. Ryder pomyślał, że chyba kierują rannych na południe, do Wołogdy, skąd zostaną przewiezieni morzem do szpitali.

Na dworcu sprzedawano suchary, ale brakowało chleba. Jakaś stara kobieta, owinięta w szmaty, przykucnęła nad parującym samowarem i parzyła herbatę, za którą żądała kilku kopiejek.

Wypili po szklance. Herbata była czarna i gorzka. W pewnym momencie podszedł do nich oficer z szeroką ormiańską twarzą i ułamanym przednim zębem, by sprawdzić dokumenty. Towarzyszący mu żołnierz miał karabin przewieszony przez ramię. Przejrzenie dokumentów podróжных zabrało oficerowi sporo czasu. Gdy skończył, oddał papiery Sierowej, ale zatrzymał te, które należały do obu mężczyzn.

- Jesteście inżynierami? - warknął.

- Tak - odpowiedział Ryder, mając nadzieję, że nie zostaną złapani przez jakiegoś nadgorliwego kapitana już na samym początku gry. Czy w ich dokumentach było coś podejrzanego?

- Jedziecie do Moskwy, a potem do Omska? - kontynuował oficer.

- Do fabryki traktorów-wyjaśnił Kryłow.

- To fabryka ewakuowana ze Stalingradu - dodał Ryder. - Teraz produkuje czołgi. Słyszeliście o czołgu T-34, towarzyszu kapitanie? Niedługo całe ich masy wyjadą na front.

Oficer zignorował słowa Rydera.

- Po co jedziecie do Moskwy? - spytał.

- Ustalić ze Stawką\*[\* Stawka (ros.) - kwatera główna, (przyp. tłum.)] poziom produkcji - odparł Ryder. Kapitan złożył dokumenty, ale ich nie oddawał.

- Musicie iść ze mną - powiedział.

- Po co?

- Żeby odpowiedzieć na kilka pytań.

- Jakich? - Ryder mówił spokojnie, ale w jego tonie wyczuwało się zimną władczość.

- Dane się nie zgadzają - kapitan pomachał papierami.

- Towarzyszu kapitanie, czy nie moglibyśmy tutaj wszystkiego wyjaśnić? O jakie niezgodności chodzi?

- Porozmawiacie o tym z kimś innym.

Ryder czuł ciężar automatycznego pistoletu przymocowanego do łydki. Mimo okazywanej cierpliwości i miłego uśmiechu był świadomy, że cała misja może się skończyć już teraz, na stacji kolejowej oddalonej o osiemset kilometrów od Moskwy.

- To znaczy z kim?

- Dowiedzie się we właściwym czasie. Idziemy.

Sierowa chwyciła Kryłowa za ramię i zwróciła się do oficera:

- To mój ojciec. Widzieliście jego dokumenty. Jedziemy do Omska. Ja będę zatrudniona przy taśmie montażowej. Moja praca nie jest nawet w połowie tak ważna jak to, co on ma zrobić, a wy go zatrzymujecie. Skoro moje papiery są w porządku, jego też muszą być.

- Szukamy dwóch dezertersów - wyjaśnił kapitan - ze sfalszowanymi dokumentami podróznymi. Uciekli z pola walki. To bardzo poważny zarzut.

- Ale oni nigdy nie byli w wojsku - przekonywała Sierowa. - Wykonują bardzo ważną, patriotyczną pracę na potrzeby armii.

- Więc nie mają się czego obawiać, prawda?

- Żądam, byście mi powiedzieli, dokąd zabieracie mojego ojca - nalegała Sierowa ze złością.

Zobaczyli, że oficerowi czerwienieje kark.

- Towarzyszko, zachowajcie spokój, bo też popadniecie w kłopoty - poradził.

- Nie martw się. - Kryłow uśmiechnął się do Sierowej. - Dowiemy się, czego chce. Przecież nie jesteście dezerterami. Wyjaśnienie tego nieporozumienia na pewno szybko nastąpi.

Ryder bacznie przyglądał się kobiecie. Wydawało się, że nie udaje troski i niepokoju. Albo rzeczywiście nie wiedziała, o co tu chodzi, albo była znakomitą aktorką.

- Przynajmniej powiedzcie mi, jak długo to potrwa - poprosiła.

- Zaczekajcie tu, a w odpowiednim czasie się dowiecie.

- A jeżeli pociąg odjedzie?

- Postoi jeszcze jakiś czas. A poza tym, gdy tory zostaną naprawione, pierwszeństwo przejazdu będą miały pociągi z wojskiem.

Stojąc już na peronie, Ryder wahał się, co robić. Znow pomyślał o pistolecie bezpiecznie przywiązany do nogi wewnątrz futrzanego buta. Kapitan mógł zadzwonić do jednostki, która szukała swoich dezerterów, i porozmawiać z oficerem politycznym. Ten opisałby zbiegów i na tym sprawa by się skończyła. Ale jeżeli zatelefonuje do Omska? Kierownictwo fabryki nie będzie nic wiedziało o dwóch inżynierach. Wtedy zacznie się śledztwo. Trudno, pomyślał. Mamy pecha i jakoś trzeba sobie z tym poradzić. Zabicie kapitana i żołnierza to ostateczność. Zresztą nie chciał ich zabijać, jeżeli tylko mógł tego uniknąć. Może coś osiągnie, strasząc kapitana.

- Słuchajcie, towarzyszu kapitanie - powiedział. - Musimy być w Moskwie na czas. Przewodniczący rady gospodarczej do spraw przemysłu zbrojeniowego nie lubi czekać, zwłaszcza jeżeli spóźnienie jest spowodowane przez głupi błąd w dokumentach podróжных. Jeżeli rzeczywiście do naszych papierów wkradła się jakaś niedokładność, może lepiej byłoby dla was, gdybyście tego tak sumiennie nie sprawdzali.

- Dlaczego sądzicie, że jest w nich błąd? - oficer spojrzał ze zdziwieniem na Rydera.

Ludzie w budynku stacji zaczęli się im przyglądać. Przez brudne szyby Ryder widział zniekształconą twarz Sierowej.

- Wobec tego chcę wiedzieć, jakim prawem nas zatrzymujecie - oznajmił twardo. - Bo inaczej nie pójdziemy z wami.

Oficer spojrzał na twarze widoczne za oknami dworca. Mięśnie na karku napięły mu się ze złości, gęste brwi złączyły się w jedną linię. Otworzył kaburę i do połowy wysunął pistolet.

- Takim prawem! - krzyknął.

Poszli wzdłuż torów. Piękny krajobraz przed nimi przywodził na myśl obrazek pędzla znakomitego mistrza. Na białym tle śniegu lasy i wioski wyglądały jak malutkie ciemne

plamki. Na horyzoncie wznosiły się kominy odległej huty, wyrzucające w niebo cienkie smużki dymu. Z przodu widzieli tamę i most filarowy. Oficer wskazał, że mają iść właśnie tamtędy.

Szli gęsiego po tamie. Żołnierz zamykał szyk, trzymając palec na spuście karabinu. Ryder słyszał skrzypienie jego futrzanych butów na śniegu i wiedział, że nie ma szans na ucieczkę. Czy Sierowa potrafi ich z tego wyciągnąć? Prawdopodobnie nie.

Mógłby zabrać żołnierzowi karabin. Szansę oceniał jak jeden do jednego. Nie wątpił, że udałoby mu się zawładnąć bronią, ale wtedy naraziłby Kryłowa na niebezpieczeństwo, gdyż znalazłby się on między nim samym a kapitanem. Czy Kryłow okaże się na tyle sprytny, by skoczyć w bok i w ten sposób zejść z linii strzału? Sukces zależałby od tego, jak szybko Ryder zdoła wyrwać żołnierzowi karabin. Potem musiałby wypalić w ciągu tej chwili, której oficer potrzebował na otwarcie kabury, wyciągnięcie pistoletu i oddanie strzału. Ale, z drugiej strony, odgłos wystrzałów może przyciągnąć uwagę ludzi na stacji. Wszystkie te myśli przebiegały przez umysł Rydera z prędkością błyskawicy. Właściwie rozważał sprawę raczej instynktownie niż na serio.

Ale żołnierz ani przez moment nie zbliżył się na tyle, by można mu było wyrwać broń. Przecięli zamarznęty kanał i wdrapali się na drugi brzeg, porośnięty drzewami. Potem zeszli do baraku, widocznego przez nagie gałęzie. W tej właśnie chwili oficer, patrząc, jak żołnierz ześlizguje się po zboczu, stał tyłem do swoich jeńców. Ryder mógłby skoczyć na niego, ale jakiś instynkt go przed tym ostrzegł.

Kapitan odwrócił się i uśmiechnął, ukazując złamany ząb.

- Wiem, kim jesteście i co tu macie zrobić. Nie martwcie się. Przyproceedziłem was do przyjaciół. Nazywam się kapitan Awałow, jestem adiutantem generała Własowa. Generał czeka na was.

Przez głowę Rydera przemknęły w porządku alfabetycznym nazwiska radzieckich generałów; musiał nauczyć się ich na pamięć podczas szkolenia w Ashton Keynes.

Andriej Andriejewicz Własow, generał dywizji, był jednym z niewielu zawodowych oficerów, którym udało się przeżyć stalinowskie czystki. Na początku wojny odznaczył się pod Przemyślem i Kijowem, dzięki czemu otrzymał dowództwo Dwudziestej Armii, broniącej Moskwy.

- Myślałem, że generał Własow jest obecnie na froncie moskiewskim - powiedział Ryder.

- Był - wyjaśnił Awałow. - Ale teraz otrzymał dowództwo Drugiej Armii Uderzeniowej, która ma przerwać oblężenie Leningradu.



- Czy generał Własow... - wtrącił Kryłow.

- Należy do sprzysiężenia? - wszedł mu w słowo Awałow. Jego podniesiona brew zdawała się mówić: „Niedługo poznacie odpowiedź”.

- Gdzie jest w tej chwili? - spytał Ryder.

- Niedaleko. Kilka kilometrów stąd. Umiecie jeździć konno? Obaj mężczyźni potwierdzili.

- To dobrze. Wysłałem żołnierza po konie. Tam, gdzie się udajemy, drogi są nieprzejezdne. Zresztą i tak nie chcemy, by ktoś się zorientował, że się tam spotykamy.

Gdy żołnierz przyprowadził wierzchowce, Awałow kazał mu czekać w baraku na swój powrót. Pozostali trzej mężczyźni dosiedli koni i pojechali w kierunku wschodnim, równoległe do rzeki. Dolina była pofałdowana, czasami przecinały ją lasy kontrastujące czernią z bielą śniegu. Awałow, który jechał pierwszy, odgarniał gałęzie. Zimowe słońce, rzadko wyzierające zza chmur, dawało przyglone, perłowe światło, a od czasu do czasu z nagich gałęzi delikatny śnieżny puch opadał ludziom na głowy.

Andriej Andriejewicz Własow, bohater spod Kijowa i Moskwy... Im więcej Ryder o nim myślał, tym bardziej zyskiwał przekonanie, że jego niewiara w spisek radzieckich generałów okazała się przedwczesna. Własow był znany ze swojej odwagi i tego, że potrafi podejmować wyważone ryzyko. Rydera uderzyło, że generał w tej chwili ujawnia obie te cechy, odsłaniając się jako przeciwnik Stalina. Dzięki swojej randze na pewno zajmował wysoką pozycję w spisku. Jeżeli wystarczająco wielu oficerów pokroju Własowa należy do sprzysiężenia, istnieją spore szanse na sukces.

- A co z Sierową? - spytał Awałowa. - Tą kobietą, która podróżuje z nami, a teraz została na dworcu. Czy wie, że mamy się spotkać z generałem?

- Jest tylko kurierką - odparł Awałow. - Wie tylko tyle, ile musi, żeby wykonać swoją część zadania. Będzie lepiej i dla niej, i dla nas wszystkich, jeżeli tak zostanie.

Jakieś dwadzieścia minut później dotarli zaśnieżonym leśnym traktem do chaty. Po lesie rozchodził się zapach dymu. Konie, dwa gniade i jeden srokaty, były zmęczone, para unosząca się z ich nozdrzy natychmiast zamarzała na wietrze.

Podprowadzili zwierzęta do wiaty koło domu. W pobliżu zobaczyli groby otoczone płotkiem z palików. Ponad śnieg wystawało tylko kilka szczytów ogrodzenia, resztę przykrywały zaspy. Kryłow spojrzął na kamienie nagrobne i przeżegnał się.

W domu jakiś oficer grzał się przy ogniu. Jego buty lśniły w blasku płomieni, szynel miał narzucony na ramiona jak pelerynę. Gdy się odwrócił, przybysze zobaczyli mężczyznę w

wieku trochę ponad czterdziestkę, z wpadniętymi policzkami i oczami bacznie patrzącymi zza okularów w rogowych oprawkach.

- Jestem Własow - powiedział.

- Witam, Andrieju Andriejewiczu. Znam pana reputację - odezwał się Kryłow. Ryder patrzył, jak obaj mężczyźni obejmują się na stary rosyjski sposób.

- Maksymie Nikołajewiczu - mówił dalej Własow. - Cieszę się, że miał pan odwagę przyłączyć się do nas już teraz. Obiecuję, że to nie zostanie panu zapomniane.

Kryłow tylko machnął ręką, by pokazać, że nie ma to dla niego znaczenia.

- Jedliście już? - spytał generał i powitał Rydera skinieniem głowy. - Mamy tu sporo żywności i wódkę. Bragę, jeśli wolicie. Awałow się tym zajmie. Możemy porozmawiać, gdy będziecie jeść. Już się obawiałem, że się miniemy. Nie mam dużo czasu, ale postaram się odpowiedzieć na wasze pytania.

W pokoju znajdowało się niewiele mebli. Żółte światło z paleniska kładło ruchome plamy na klepkach podłogi, zrobionych z syberyjskiego modrzewia, na szpary w ścianach utkane mchem i na pięknie rzeźbione okiennice. Usiedli na ławach ustawionych wokół stołu, jedli konserwowe mięso i czarny chleb, pili wódkę. Ryder usłyszał szelest kroków na piętrze - było tam chyba kilku ludzi - ale nikt do nich nie dołączył.

- To może być jedyna okazja do rozmowy - oznajmił Własow. - Zamierzałem spotkać się z wami w Moskwie, ale powierzono mi dowództwo Drugiej Armii.

- Leningrad, prawda? - upewnił się Kryłow. - Pana adiutant nam o tym powiedział.

- Druga Armia stoi na mokradłach koło Wołkowa, na południe od miasta. Nie mamy wsparcia lotniczego ani rezerw. Rozkazano mi przerwać blokadę Leningradu i uwolnić miasto. Z wojskowego punktu widzenia to beznadziejna sprawa. A Stalin nie chce nas słuchać. Oczywiście wie lepiej niż jego generałowie.

- Czy sytuacja jest naprawdę aż tak zła?

- Powiem wam, jak bardzo zła. Drugiego dnia wojny z powodu jego błędnych decyzji straciliśmy całe lotnictwo. Wtedy pojechał do swojej dachy w Kuncewie, by przetrwać zły humor. Przez dziesięć dni nie dawał znaku życia! Nie przekazał narodowi żadnego posłania. Po prostu milczał. Zrobiłby lepiej, gdyby tam już został. Ale nie. Mistrz taktyki musiał wrócić. Na pewno słyszeliście o kampaniach, jakie nakazał przeprowadzić. Mińsk, Smoleńsk, Kijów... Milion poległych i rannych tylko dlatego, że nie słuchał rad. Przerzucał armie jak zabawki. Czy mam wam powiedzieć, jakie straty ponieśliśmy podczas tej tak zwanej ofensywy zimowej? I co w zamian osiągnęliśmy? Nie było w tym żadnego strategicznego celu.

Gdy generał mówił, Ryder przyglądał mu się. Jego ból, niechęć do Stalina i złość wyglądały na niewątpliwie szczere. Ilu podwładnych Własowa zapłaciło życiem za błędy Stalina? Ilu jeszcze zapłaci? Te pytania malowały się bardzo wyraźnie w oczach generała. Malowały się w nich również żal, wściekłość i determinacja.

- Andrieju Andriejewiczu, czy inni generałowie myślą tak samo? - spytał Kryłow.

- Ci najlepsi tak. Ich rozkazy są nieważne, jeżeli nie zostaną potwierdzone przez komisarza politycznego. Jeżeli komisarz nie zgadza, się z ich decyzją, zmieniają. A komisarze boją się Stalina, więc robią to, czego on chce, a nie to, czego wymaga sytuacja na froncie. Powiem wam szczerze, że Rosja przestanie istnieć, jeżeli go nie usuniemy.

- Co zatem zamierzacie zrobić? - spytał Ryder. Przez długą chwilę ciszę mącił tylko trzask płomieni.

- Zabijemy go - odparł wreszcie Własow, patrząc mu prosto w oczy.

- Już próbowano zamachów - przypomniał Ryder.

- Brali się do tego szaleńcy i amatorzy.

- Każdy, komu się nie powiodło, podpada pod tę kategorię - stwierdził Ryder. - Nawet generałowie i carowie.

- Również wywiad brytyjski? - Cienkie wargi Własowa wykrzywiły się w jedynym uśmiechu, jaki Ryder miał dziś zobaczyć na jego twarzy.

- Zwłaszcza wywiad brytyjski - przyznał.

- A więc nie możemy ponieść klęski.

- Kiedy chcecie tego dokonać? - nalegał Ryder.

- Niedługo. - Własow spojrzał na niego, - Zanim ruszą kry. Stalin nie zobaczy już topnienia lodów w rosyjskich rzekach.

- Jaki macie plan?

- Musi pan zrozumieć, że ze względów bezpieczeństwa nie mogę tego zdradzić. Jeżeli okaże się to konieczne, otrzyma pan wszelkie informacje od swojego kontaktu w Moskwie. Jego kryptonim brzmi „wujek Wania”. Mogę wam tylko powiedzieć to, że nastąpi skoordynowane uderzenie. Cele zostały już wyznaczone: pewne osoby, łączność, kluczowe urzędnicy.

- A NKWD? - drążył Ryder.

- Beria i jego ludzie zostaną aresztowani. NKWD przestanie istnieć jako niezależny Komisariat Spraw Wewnętrznych, ale Beria wyda konieczne rozkazy. Jeśli to będzie nieodzowne, przyłożymy mu pistolet do głowy.

- Czy NKWD ma uzbrojone oddziały na frontach?

- Tak. - Własow skinął głową. - Zabijają wszystkich, którzy próbują się wycofać. Nie zezwalają nawet na odwrót nakazany rozkazem dowódcy. Niech się pan nie martwi. Nikt nie stanie po stronie enkawudowców.

W wiszącej na ścianie ikonie odbijał się blask ognia. W tej niewyraźnej poświacie wydawało się, że Matka Boska spogląda w przeszłość.

- Mam jeszcze tylko jedno pytanie - powiedział Kryłow. - Pytam ze względu na szacunek dla pamięci mojego ojca, cara, i proszę, Andrieju Andriejewiczu, żeby pan mi odpowiedział również ze względu na szacunek dla jego pamięci. Jeżeli operacja się powiedzie, jaka rola przypadnie mi potem?

Własow powoli zdjął okulary i położył je na szorstkim blacie stołu. Potarł nos kciukiem i środkowym palcem. Na jego twarzy rozlała się jakaś miękkość. Nagle wydał się zmęczony, starszy ponad swój wiek. Ryder pomyślał, że mimo reputacji chłodnego i mądrego dowódcy polowego jest to człowiek zżerany nieprzejeđną nienawiścią. W jego przekrwionych oczach malowało się śmiertelne zmęczenie, ale także stanowcze dążenie do celu. Po chwili namysłu odpowiedział Kryłowowi:

- Uważamy, że monarchia stanie się symbolem. Powiem panu szczerze, Maksymie Nikołajewiczu, że teraz bardziej nas interesuje, jak Niemcy wykorzystają to, co zamierzamy zrobić. Na szczęście, dzięki Stalinowi i jego zbojom, masy ukraińskie rozczarowały się do partii. Nie ufają jej, zresztą dlaczego miałyby ufać? Z drugiej strony imperialna tradycja ucieleśnia całą wielkość i wspaniałość przeszłości Rosji. Jeżeli potrafimy rozpowszechnić tę ideę w narodzie, najprawdopodobniej przejmemy władzę bez większych walk.

- A partia? - spytał Kryłow.

- Na początku nowa władza będzie rządziła za pośrednictwem aparatu partyjnego. Ale ten aparat zacznie ewoluować. Przywódców partyjnych zastąpi dowództwo wojskowe. - Własow włożył z powrotem okulary i jego twarz znów przybrała stanowczy wyraz. Ryder przyglądał mu się w drgającym świetle ognia. Czy to chłodne zdecydowanie powodowane jest jakimś szlachetnym celem? A może chodzi o ślepe ambicje i dążenie do zdobycia władzy dla siebie samego?

Generał kontynuował:

- Po wojnie chcemy mieć socjalistyczne państwo i monarchię, podobnie jak w Wielkiej Brytanii, ale o rosyjskiej duszy.

Na schodach rozległ się głuchy odgłos kroków. Do pokoju wszedł Awałow mówiąc, że robi się późno. Własow skinął głową i wstał.

- Muszę już iść. Czekają na mnie samoloty. Mam dokonać powietrznego rekonesansu wysuniętych niemieckich pozycji nad jeziorem Ładoga. Widzi pan, Maksymie Nikołajewiczu, zabrakło nam czasu, by spokojnie zorganizować nasze spotkanie. Nie spodziewałem się przeniesienia z frontu moskiewskiego. Ale chciałem spotkać się z panem osobiście, żebyśmy mogli się poznać. I porozmawiać tak, jak rozmawialiśmy. Pomyślałem, że jestem to panu winny na wypadek...

Własow wzruszył ramionami. Ta nie dokończona uwaga wywołała sztuczny uśmiech na ustach Rydera. Generał chciał powiedzieć: na wypadek klęski.

- Czy spotkamy się jeszcze przed rozpoczęciem operacji? - spytał Kryłow.

- Nie wiem. W tej sytuacji trudno cokolwiek przewidywać. Operacja zostanie przeprowadzona niezależnie od tego, czy będę mógł brać w niej udział, czy nie. Awiałów odprowadzi was do pociągu.

- Niech Bóg pana strzeże, Andrieju Andriejewiczu - powiedział Kryłow.

- Tak, Bóg. Myślę o Nim często. - Własow wkładał futrzaną czapkę i rękawiczki. - Ale Bóg nie przepędzi naszych osobistych demonów. Sami musimy się tym zająć.

Bałow stał przed domem, którego adres podał mu generał Własik, jednym z nowych budynków mieszkalnych usytuowanych nad rzeką Moskwą. Tutaj, na trzecim piętrze, Własik umieścił kilkanaście dziewcząt; ich zadaniem było zabawianie jego przyjaciół i ważnych osobistości partyjnych. Bałow wiedział o tym, tak samo jak wiedziała o tym milicja, ta jednak się nie wtrącała.

Powietrze już nie kąsało w płuca. Zima odchodziła z miasta, zostawiając za sobą popękane rury wodociągowe i kanalizacyjne, domy wyziębione z braku węgla i na pół zagłodzoną ludność.

Jednak w domu Własika było ciepło, chociaż winda nie działała, a żarówki na klatce schodowej zostały wykręcone. Bałow wszedł po schodach. Mimo panujących ciemności bez kłopotu trafił do właściwego mieszkania. Przez drzwi dochodził na korytarz gwar rozmów i śmiech, rzadki w obecnych czasach. Ucichł dopiero, gdy Bałow zastukał.

Wysoka dziewczyna, ubrana tylko w jedwabną koszulkę obszytą na dole koronką, uchyliła drzwi i zachichotała. Przez szparę Bałow dostrzegł rude włosy, ładne zęby i piegowaty dekollet, potem ktoś ją odciągnął. Mocne palce przytrzymały klamkę i ukazała się ogolona głowa.

- Słucham?

- Nazywam się Bałow. Generał Własik prosił, żebym się tu z nim spotkał.

- Bałow, a tak. - Z zaciśniętych warg zniknął wyraz okrucieństwa. - Generał się spóźni, ale kazał, byście na niego poczekali. Proszę wejść i bawić się z nami.

W małym mieszkaniu tłoczyło się kilkunastu mężczyzn i o połowę mniej kobiet. Meble były tanie i zwyczajne, poznaczone śladami po gaszonych papierosach, co wyglądało jak blizny po zbyt wielu walkach. Większość mężczyzn nosiła mundury. Najprawdopodobniej zebrali się tu ludzie, którym Własik musiał się za coś odwdzięczyć albo dopiero chciał prosić o przysługę. Śmiechy, głośne po alkoholu, zagłuszały radio nadające muzykę graną na bałajce.

Natychmiast włożono Bałowowi w rękę szklankę z wódką. Wydawało się, że pod nieobecność Własika gospodarzem jest mężczyzna o ciele zapaśnika i ogolonej głowie.

- Jeżeli chcecie kobiety, weźcie sobie którąś - powiedział. - Każdą oprócz tamtej.

Wskazana dziewczyna stała przy oknie i wyglądała przez nie. Promienie wiosennego słońca oświetlały jej ciemne włosy, upięte w kok na karku i puszczone luźnymi lokami na policzkach. Wydawała się nieśmiała, ale Bałow pomyślał, że to tylko wrażenie wywołane przez różową świeżość skóry. Była tak doskonale zbudowana, że jej spokojna, ciemna sukienka tylko podkreślała erotyczne wrażenie, jakiego widz doznawał na widok stromych piersi i zaokrąglonych bioder. Stała nieruchomo, tak spokojna i opanowana, że zaintrygowało to Bałowa.

- Kto to jest?

- Kozłowa. Dziewczyna Własika. Ładna, co?

- Nigdy jej jeszcze nie widziałem.

- Naprawdę? Jej ojciec ma sklep na Arbacie.

Bałow uśmiechnął się. Wprost trudno było sobie wyobrazić, że taka kobieta znosi zaloty głupiego, cuchnącego, brutalnego Własika. To grzech przeciw naturze. I natychmiast, skoro on sam nie mógł jej mieć, zapragnął tylko jej spośród wszystkich obecnych tu kobiet.

Przyglądał się Kozłowej i popijał wódkę. Ponieważ mężczyzna z ogoloną głową stał teraz po drugiej stronie pokoju i z kimś rozmawiał, Bałow zdecydował się podejść do dziewczyny.

- Dlaczego jest pani taka smutna? - spytał.

Wydawało mu się, że upłynęła długa chwila, zanim odwróciła się od okna i spojrzała na niego. Oczy miała prawie tak samo czarne jak włosy. Nie odpowiedziała od razu.

- To nie czas na radość, prawda? - Gdy wreszcie się odezwała, jej niski, łagodny, miękki jak miód głos brzmiał podniecająco.

- Ale przecież tu trwa zabawa. Więc czemu pani się smuci? Za rzeką miasto wznosiło się ku błękitnemu niebu. Ludzie, brnący po brudnym błocie, w większości ciemno odziani, wyglądali jak własne cienie.

- Niech pan ich spyta - pokazała palcem. - Wielu z nich nie przeżyje następnej zimy.

- Może Niemcy też jej nie przeżyją.

- A kto ich zatrzyma?

- Dziewczyno - Bałow uśmiechnął się. - Lepiej niech pani uważa, co mówi. Taki defetyzm może panią wpędzić w kłopoty.

- Mam przyjaciół, nic mi się nie stanie.

- Własika?

- Kto panu powiedział? - Jej chłodny ton zamaskował zdziwienie.

- Ktoś.

- Pewnie człowiek, który pana wpuścił. Golikow. Z Komitetu Centralnego. Wie wszystko o wszystkich, ale jest głupi.

- Głupcy są wszędzie. Gdzie pani poznała Własika?

- To chyba nie pańska sprawa.

- Oczywiście. - Bałow uśmiechnął się. - Właśnie dlatego pytam.

- Kim pan jest? Czy już się kiedyś spotkaliśmy? - W jej czarnych oczach malowało się pytanie, a równocześnie rezerwa i niechęć. Bałow pomyślał, że ta niechęć odnosi się raczej do jej stosunków z Własikiem niż do niego samego. Nawet będąc kochanką generała, mogła go nie cierpieć i tylko udawać orgazmy. Taka jest najstarsza i najłatwiejsza forma seksualnego oszustwa.

- Nie - odpowiedział. - Nie znamy się. Nazywam się Walerian Wasiliewicz Bałow. A pani?

- Natasza Iwanowna.

- Kozłowa - uzupełnił. - Pani ojciec ma sklep na Arbacie.

- Chce mi pan zaimponować?

- Oczywiście.

- Myślę, że pan jest z NKWD. - Popatrzyła przez pokój. - Tak jak ci tutaj, którzy nie noszą mundurów.

- Tak - przyznał. - Ale nie tak jak oni.

- A czym się pan od nich różni?

- Nie boję się Własika.

Ta odpowiedź wywołała uśmiech, lekki i niepewny, od którego uniosły się kąciki jej ust.

- Może powinnam mu to powtórzyć.

- Proszę bardzo. - Bałow wzruszył ramionami. - Ale wiem, że pani tego nie zrobi.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Bo byłby zły, gdyby się dowiedział, że rozmawiała pani w jego mieszkaniu na tak osobiste tematy z nieznanym. Pani musi postępować tak, żeby był zadowolony, podczas gdy ja nie muszę. Poza tym ja mogę zrobić dla pani coś, czego on nie może.

- Co takiego?

- Spowodować, że pani się uśmiecha.

Zza rogu wyjechała limuzyna. Bałow zobaczył, jak wysiada z niej Własik i jeszcze jakiś oficer. Wiatr porwał czapkę Własika i pognał ją po oblodzonym bruku. Adiutant pobiegł za nią, podniósł i wyczyścił o rękaw. Generał odebrał swoją czapkę i wszedł do budynku, zostawiając adiutanta na ulicy.

Gdy Własik wszedł do mieszkania, Natasza Iwanowna dołączyła do grupki ludzi po drugiej stronie pokoju. Bałow pozostał przy oknie. Rozległy się okrzyki powitania, głowy zwróciły się w stronę drzwi. Generała otoczyło kilka osób, w tym Golikow i ruda dziewczyna w jedwabnej koszulce. Dziewczyna najwyraźniej była podchmielona. Chwyła czapkę generała i włożyła ją na swoją głowę, bardzo na bakier. Własik odwdzieczył się pociągając za ramiączko koszuli. Odśloniła się biała pierś. Gdy dziewczyna krzykliwie protestowała i usiłowała wciągnąć ramiączko z powrotem, generał uszczypnął ją w pośladek. Dziewczyna udała zawstydzenie i odskoczyła.

Natasza podała Własikowi szklanekę wódki i została przy nim. Bałow nie wątpił, że w ten sposób potwierdza swoją władzę. Generał wydawał się zmęczony po dniu pracy, ale uśmiechnął się do niej. Wypił wódkę jednym haustem i wytarł usta rękawem. Drugą ręką objął Nataszę w tali, ale zaraz obsunął ją trochę niżej, na biodro, terytorium niczyje, co spowodowało, że gest był bardziej opiekuńczy niż prowokujący, jak w wypadku rudej dziewczyny. Mój Boże, jęknął w duchu Bałow. Czy to możliwe, że ten bydlak się w niej zakochał?

Natasza szepnęła coś Własikowi do ucha. Patrzyła przy tym na Bałowa. W ten sposób chciała mu udowodnić swoje wpływy i znaczenie. Wygięte ciało, z ręką Własika prawie na pośladkach, podkreślało jej władzę. Całe to przedstawienie rozbawiło Bałowa. Teraz Własik również na niego spojrzał i skinął ręką.



Poszli do pokoju stołowego. Własik gestem nakazał wszystkim innym, aby wyszli, i zasunął drzwi. W pokoju nie było okna, oświetlała go tylko lampa z abażurem, rzucając cienie na ospowatą twarz i krępą postać generała.

- Opowiadaj, Bałow, jak to się potoczyło dalej? Sąd w Moskwie, prawda?

- Od dwóch dni. Udali się do domu w pobliżu Parku Sokolnickiego.

- Kto tam mieszka?

- Nakaz na mieszkanie ma rodzina o nazwisku Kiszkin. Ojciec zginął pod Demiańskiem. Żona z dzieckiem miała wyjechać w przyszłym miesiącu do pracy w stalowni w Magnitogorsku. Jednak wyjechali wcześniej, ale mieszkanie nadal figuruje jako zajęte.

- Wielu spanikowanych ludzi wyjeżdża nic nikomu nie mówiąc. Albo może zaszła pomyłka w dokumentach.

- Nie wydaje mi się. Znaleźliśmy powiązanie. Chodzi o brata tej kobiety, pułkownika Szewczenkę.

- Szewczenko? - Własik zmarszczył czoło. - Znajome nazwisko. Czy ja go znam?

- Dowodzi batalionem czołgów. W zimie został odwołany z Dwudziestej Armii i dołączył na froncie moskiewskim do generała Siniłowa.

- Więc Szewczenko jest tutaj? W mieście?

- Tak.

- I w mieszkaniu krewnych ukrywa wrogów - stwierdził Własik, waląc w stół tak mocno, że lampa się zachwiała, a promyki światła pobiegły ku ścianom.

Głupi bydlak! Ale właściwie nie. Bydlęta mają swój rozum. Generał znajdował się na ewolucyjnej drabinie o wiele stopni niżej niż one.

- Wkrótce się dowiemy, czy ukrywa wrogów - powiedział Bałow na głos. - Gdy tylko pójdzie do mieszkania. Objęliśmy je całodobową inwigilacją.

- A co z tymi dwoma w mieszkaniu?

- Nie mogą nam w niczym zaszkodzić, a my wiemy, kim są. Bardziej mnie niepokoi ich podróż z Murmańska. W pobliżu jeziora Onega jakiś armijny kapitan wyciągnął ich z pociągu i gdzieś ich zabrał. Wrócili dopiero po trzech godzinach.

- Wyjaśnili to jakoś?

- Mówili, że według NKWD w ich dokumentach podróжных był błąd. A przecież my wiemy, że to nieprawda.

- Zidentyfikowałeś tego kapitana?

- Mamy tylko jego rysopis. Miał ułamany ząb.

- Więc nie wiesz, o czym rozmawiali?

- Nie - odparł Bałow. - Ale chyba znamy tożsamość drugiego mężczyzny.

- I kto to jest? - ryknął Własik.

- Towarzyszu generale - Bałow uśmiechnął się - waham się, czy wam to powiedzieć, bo sam nie mogę uwierzyć. Sądzymy, że nazywa się Kryłow i może być nieślubnym synem Mikołaja Romanowa i niejakiej Anny Kryłowej, aktorki, która występowała w Leningradzie pięćdziesiąt lat temu. Wiemy też, że pod koniec wieku wyjechała z synem do Paryża. Staramy się to potwierdzić w archiwach Czeka. Jednak zarówno wiek jak i rysopis pasują. Podobieństwo jest wprost uderzające.

- A po co wywiad brytyjski wysyłałby bękarta Romanowa do Związku Radzieckiego?

- I dlaczego zniknął na trzy godziny z radzieckim oficerem? Może na oba pytania odpowiedź jest taka sama.

- Czy twoja kurierka nadal przebywa z nimi?

- Tak. Z tym mieliśmy wyjątkowe szczęście - odpowiedział Bałow. - Oczywiście ta kobieta, Sierowa, nie jest znana w Moskwie. Zostanie z nimi tak długo, jak to będzie możliwe. Kłopot polega na tym, że prawdziwa Sierowa nie wie, z jaką misją tu przyjechali. Miała ich tylko przywieźć do Moskwy i zatroszczyć się o ich potrzeby.

- Kiedy ich aresztujesz? - spytał niecierpliwie Własik.

- Dopiero gdy się zorientujemy, co mają tu zrobić.

- To może trochę potrwać - zezłościł się Własik. - Lepiej nie czekać zbyt długo.

- Jest jeszcze jedna sprawa - powiedział Bałow. - Dość intrygująca. Sierowa podsłuchiwała fragment ich rozmowy. Coś o szarym wilku, Petersburgu i krwi na śniegu.

- Leningrad?

- Czy operacja „Szary Wilk” może coś mieć wspólnego z Leningradem? - zastanowił się Bałow.

- Kto wie? - Własik wzruszył ramionami. - Miasto jest najprawdopodobniej stracone. Stalin przekazał dowództwo nad Drugą Armią Własowowi, ale nikt nie wierzy, że zdoła on przerwać oblężenie.

- Własow? - zdziwił się Bałow.

- To doświadczony dowódca polowy. Jeden z najlepszych. Ale w powietrzu włada Luftwaffe. Przychodzi ci do głowy, jak powiązać operację „Szary Wilk” z Leningradem?

- Nie. - Bałow też wzruszył ramionami. - Ale dowiemy się.

„Następnego dnia po południu Bałow poszedł do komisju ojca Nataszy. Sklepik ten znajdował się na jednej z uliczek Arbatu, dzielnicy, w której kiedyś mieszkali Puszkini i Skriabin. Bałow stał przed wystawą i przyglądał się rozłożonym przedmiotom. Była tam

bałałajka, spłowiała koszula, pomarszczone skórzane buty, brzytwa, pędzel i miseczka do golenia, a także popiersia Cezara i Lenina, patrzące każde w inną stronę. Pod brązowym popiersiem Lenina nie było kartki z ceną. Może jego obecność miała tylko sankcjonować to na pół kapitalistyczne przedsięwzięcie. Buty kosztowały pięć tysięcy rubli, więcej niż ozdobiona wawrzynem głowa Cezara.

Co za upadek, pomyślał Bałow. Ale w trudnych czasach wielkość jest tania, a ludzie płacą tylko za to, co jest niezbędne do przeżycia.

Gdy otworzył drzwi, zadźwięczał zawieszony u góry dzwonek. Jeszcze oślepiony przez słońce rozświetlające ulicę, Bałow przez chwilę musiał przyzwyczajać oczy do mroku panującego w sklepie. Niedawno specjalnym zarządzeniem zakazano w Moskwie palić światło w ciągu dnia. Poczul zapach starej odzieży, a w ciemnościach rysowały się kształty kolejnych rzeźb.

Usłyszał szelest odsuwanej zasłony i spojrzał w górę. Stała tam Natasza Iwanowna. Na jej ciemnej sukience jasno odznaczał się biały fartuch.

- Po co pan przyszedł? - spytała.

- Podnieść panią na duchu.

- Nie potrzebuję do tego pańskiej pomocy - odparła, ale wydawało mu się, że jej chłodna obojętność jest udana.

- Czyżby przepełniał panią proletariacki entuzjizm?

- No i kto teraz mówi herezje?

- Herezja w drobnych sprawach jest dobra dla duszy. W głębi mieszkania ktoś zaczął kasłać.

- Chce pan coś kupić?

- Bałałajkę z wystawy.

Popatrzyła na niego ostro. Wydawało się, że wojowniczy nastrój trochę jej minął, ale ciągle pozostawała zimna.

- W bałałajce brakuje struny, a nowej pan nigdzie nie dostanie.

- Więc po co trzymacie ją na wystawie?

- Pamiątka - odpowiedziała wzruszając ramionami.

- Czego?

- Przyjemnych zdarzeń, lepszych czasów.

- No dobrze. Wobec tego kupię popiersie Cezara. Ile kosztuje?

- Dziewięćset rubli.

- Nie cenicie zbyt wiele wymarłych cywilizacji - powiedział z uśmiechem.

- Wcześniej czy później sami staniemy się tylko martwą pamiątką po obecnej cywilizacji, nie sądzi pan?

- Dam pani tysiąc za to popiersie - zaproponował Bałow - pod warunkiem...

- Jakim?

- Że pójdzie pani ze mną na spacer.

Znów rozległ się kaszel i zza zasłony wyłonił się mężczyzna z siwą, potarganą brodą; twarz miał wychudłą i ponurą.

- To mój ojciec - przedstawiła go Natasza. - Iwan Nikołajewicz.

Mężczyzna wyglądał staro i na pewno nie był zdrowy. Oczy mu łzawiły, a każdy atak kaszlu wywoływał na jego twarzy grymas bólu. Ale oprócz fizycznych niedomagań Bałow wyczuł w nim również gniew i strach. Potrafił zrozumieć te uczucia. Natasza była dziwką generała Własika, który w zamian otoczył ich oboje opieką. Stary wolał, by ten układ się utrzymał.

Z drugiej strony, Bałow zajmował taką pozycję w NKWD, że z nim też należało się liczyć. Ojciec Nataszy miał więc dwa powody do niepokoju. A na dodatek chciałby sprzedać popiersie Cezara. Kupiecki instynkt i żądza łatwego zysku mogły przeważyć nad niepokojem.

- Przepraszam na chwilę - powiedziała Natasza i oboje z ojcem zniknęli za zasłoną.

Bałow słyszał, że prowadzą po cichu jakąś rozmowę, potem nastąpiła cisza. Chwilę później Natasza wróciła do sklepu. Nie miała już na sobie fartucha ani chustki. Niosła płaszcz przewieszony przez ramię.

- Mogę z panem wyjść na kwadrans. Ojciec nie czuje się dobrze i muszę wracać do sklepu.

Bałow powstrzymał uśmiech triumfu i otworzył przed nią drzwi. Poszli na skwerek, oświetlony słabymi promieniami słońca. Wiatr przynosił zapach odwilży. Niedługo nagie gałęzie drzew pokryją się delikatnymi listkami. Błoto pod nogami rozmiękło. Teraz zamarzało już tylko w nocy.

Usiedli na ławce. Sukienny płaszcz Nataszy był za krótki i odsłaniał zgrabne nogi. W miarę jak dziewczyna zacznie się starzeć, najprawdopodobniej staną się pulchne, ale teraz z przyjemnością na nie popatrzył.

- Niech mi pani opowie o sobie - poprosił.

- Wydaje mi się, że pan wie o mnie wszystko - odpowiedziała.

- Jeszcze nie.

- Studiowałam biologię, zanim na jesieni zamknięto uniwersytet.

- Chce pani zostać naukowcem?

- Wolałabym poświęcić się muzyce.
  - Więc dlaczego pani tego nie zrobiła?
  - Nie zdałam egzaminu do konserwatorium. Miałam dobre chęci, ale zabrakło talentu.
  - W jej uśmiechu kryła się odrobina kpiny z samej siebie, co sprawiło, że nagle stał się szczery i ujmujący. - W każdym razie biologia to bardziej praktyczny zawód.
  - A teraz uczy się pani sama?
  - Raz na tydzień pracuję w Instytucie Herpetologii. Dyrektorem jest tam Mietlin. Zna go pan?
  - Mietlin? Nie, nie sędzę.
  - Instytutu nie zamknięto i pozwolono Mietlinowi zatrzymać jadowite węże. Słyszałam, że ktoś wiąże z nimi pewne plany.
  - Jakie?
  - Jeżeli trzeba będzie oddać Moskwę, wypuszczą węże na Kremlu. Wyobraża pan sobie ten efekt psychologiczny? Nikt nie zatrzyma atakującej mamby.
  - Pani się nimi zajmuje?
  - Tak. Z początku się ich bałam, ale musiałam się przemóc. To jedyny sposób, by przezwyciężyć strach.
- Bałow zapalił papierosa i zaczął wypuszczać kółka z dymu. Zimna krew zawsze była cechą, którą podziwiał. Natasza trzymała obie ręce w kieszeniach płaszcza, wyciągnęła przed siebie nogi na chłodne światło słońca i patrzyła w dół. Bałow też spojrzał na jej nogi i uśmiechnął się. Zauważyła jego zainteresowanie, i natychmiast założyła nogę na nogę w sposób sugerujący pewność siebie. Ale tak skrzyżowane stały się jeszcze bardziej prowokujące, bo w charakterze Bałowa nie leżało poddawanie się przy pierwszej przeszkodzie.
- Co pani robiła, gdy zamknięto uniwersytet? - spytał.
  - Dołączyłam do ochotników kopiących na przedmieściach pułapki na czołgi. Potem pracowałam w brygadzie drwali i rąbałam drewno na opał. Byłam tam, dopóki rzeka nie zamarzła, bo wtedy barki nie mogły już wpływać do miasta.
  - Patriotyczna robota.
  - Teraz będzie trudniej.
  - Dlaczego?
  - Ojciec jest chory. W szpitalu powiedzieli, że ma raka. Nie mogę zostawiać go samego w domu.

Bałow wydmuchał dym, który uniósł się w powietrze i wirował na zimnym wietrze. Wyciągając tak z niej informacje kawałek po kawałku, poczuł się jak śledczy, mający zamiar wykorzystać je potem dla seksualnego prześladowania.

- Gdzie poznała pani Własika?

Natasza obojętnie uniosła twarz ku słońcu i zamknęła oczy.

- Dlaczego pan pyta?

- Przez ciekawość - wyjaśnił i uśmiechnął się. - Po prostu jestem człowiekiem z zasadami i troszczę się o panią.

Myślał, że nie odpowie, ale zaskoczyła go.

- Spotkałam go na ulicy, gdy stałam w ogonku do kiosku po „Prawdę”. Kazał zatrzymać samochód i zawołał mnie. Wystraszyłam się, bo to było służbowe auto. Siedział na tylnej kanapce, ubrany w mundur z generalskimi dystynkcjami. Palił papierosa. Gdy podeszłam powiedział, że jestem aresztowana.

- Aresztowana? Za co?

Wspomnienie wywołało uśmiech na jej ustach.

- Powiedział, że ładnym dziewczętom nie wolno stać w kolejkach. Potem wysłał kierowcę do kiosku, kazał mu ominąć ogonek i kupić mi gazetę.

Bałow, ku swojemu zdumieniu, poczuł, że jest zły. Nie za bardzo, ale jednak.

- Jest pani taką zapaloną czytelniczką? - spytał.

- Przecież to papier, prawda? Zimą wykorzystywaliśmy go na tysiąc sposobów. W dzień gazetę można wkładać pod ubranie, a w nocy pod materac, i wtedy jest trochę ciepłej.

- Więc Własik zatroszczył się o pani... samopoczucie?

- Był dla mnie miły. Gdy go poznałam, wszystko się zmieniło. Zadał, żebyśmy dostali piecyk na drewno i żeby naprawiono nam kanalizację. Przysyłał żywność, rzeczy, których nie można kupić w żadnym sklepie: masło, świeże owoce, a czasami nawet mięso. Bez niego ani ojciec, ani ja nie przeżylibyśmy zimy.

- No tak. - Bałow uśmiechnął się. - Generał jest znany ze swojej wzruszającej szczodrości wobec obywateli w potrzebie.

W jej spojrzeniu znów pojawiła się zimna niechęć. To mechanizm obronny, uznał Bałow. Był ciekawy, jak często ze sobą sypiają. A może Własik nie zażądał jeszcze zapłaty? Ale to z pewnością nadejdzie. Wdzięczność jest najtańszym afrodyzjakiem.

- Czas na mnie - powiedziała Natasza. - Proszę mnie nie odprowadzać.

- Wrócę po Cezara.

- Nie - rzuciła. - Nie musi go pan kupować.

- Ale chcę.

- Dlaczego? To niezbyt praktyczny przedmiot. Bałow roześmiał się i odparł:

- Właśnie dlatego.

Wieczorem dwa dni później Bałow wrócił na Arbat. W sklepie było ciemno. Zapukał w szybę, a potem do drzwi. Wydawało mu się, że pożądanie jest jednym z uczuć, które najłatwiej zaspokoić. Ale zaspokajając je, ryzykuje się, że zacznie rosnać, aż wpadnie się w pułapkę stałego związku. Do tej pory udawało mu się zręcznie unikać takich pułapek.

Po drugiej stronie szyby, za koronkową firanką, pojawił się cień i Bałow usłyszał głos Nataszy:

- Sklep jest zamknięty.

- Niech pani otworzy. To ja, Bałow. Tym razem nie chcę nic kupować. W zamku zazgrzytał klucz i drzwi się otworzyły.

- Co pan tu robi po godzinie milicyjnej? - Irytacja w jej głosie nie była zbyt przekonująca. Może jednak troszkę o nim myślała przez te dwa dni.

- Przyszedłem złożyć wyrazy szacunku. - Bałow uklonił się uprzejmie. - Pani i pani ojcu. Dlaczego jest pani zawsze taka podejrzliwa wobec moich uczciwych intencji? Coś pani przyniosłem. Proszę spojrzeć. To wódka. Masło. Dwa świeże jajka na śniadanie. Jak może pani nie wpuścić kogoś tak rozrzutnego?

- Nie wiem, co o panu myśleć. - Dziewczyna pokiwała głową, ale odsunęła się od drzwi.

Bałow wszedł za nią do ciemnego sklepu.

- Ostrożnie, sufit jest niski - ostrzegła go. - Ma pan zapalki? My nie możemy sobie pozwolić na marnowanie ich.

Bałow pogrzebał w kieszeni, znalazł zapalkę i zapalił ją o paznokieć kciuka. Natasza przytknęła płomyk do łożowej świeczki. Oslaniając płomień ręką, poprowadziła gościa po drewnianych schodach. Bałow szedł za nią, przyglądając się jej nogom.

Gdy znaleźli się w niewielkim mieszkaniu, usłyszał wodę płynącą w łazience i odpluwanie flegmy. Po chwili Kozłow wszedł do pokoju. Pod sufitem paliła się szesnastowatowa żarówka, osłonięta papierowym abażurem. Jej słabe światło podkreśliło ciemne kręgi pod oczami starego mężczyzny. Blandożółta skóra, obciążająca wychudzone policzki, nadawała tej twarzy martwy wygląd.

- Witam, Iwanie Nikołajewiczu - powiedział Bałow. W jego oczach zobaczył ten sam błysk pogardy, co przy pierwszym spotkaniu.

Ale na widok wódki i innych racjonowanych produktów Kozłów złagodniał. Wskazał Bałowowi krzesło, a Nataszy kazał przynieść szklanki.

Siedzieli przy kuchennym stole, pili wódkę i rozmawiali. Natasza, ze zgarbionymi plecami, zmywała w cebrzyku. Rękawy miała podwinięte do łokci. Bałow przyglądał się lśnieniu światła świecy na nagich przedramionach. Podobały mu się ramiona i twarz, i sposób, w jaki spódniczka opinała talię i rozszerzała się na krągłych biodrach. Jej energia ostro kontrastowała ze słabością ojca. Na Kozłowa alkohol podziałał bardzo szybko.

- Kiedyś często piliśmy wódkę - mówił, wpatrzony w płomień świecy, rzucający cienie na jego twarz. - Tylko najlepszą. To było tak dawno temu...

- Kiedy?

- Przed rewolucją.

- Był pan dworzaninem? - spytał Bałow. W epoce carów u dworu służyła szlachta, ludzie z najwyższej klasy społecznej. Bałow wiedział, że Kozłów nie mógł zostać dworzaninem, ale chciał mu się przypochlebić.

- Nie. - Kozłów potrząsnął głową. - Byliśmy kupcami. Mieliśmy szczęście w interesach, żyliśmy kulturalnie. To prawdziwa oznaka sukcesu, prawda, mieć wykształcenie i cenić wykwintne życie.

- Oczywiście. To jest najważniejsze.

- Podczas rewolucji straciliśmy wszystko - kontynuował Kozłów. - Odebrano nam dom, sklepy. Pamiętam, co się wtedy działo. Ludzi stłoczono w mieszkaniach, wszędzie biegały szczury. Nie można było zostawić dziecka bez opieki, bo zaraz gryzły. Wie pan, że starzy ludzie sami zbijali sobie trumny? Wydaje wam się, że teraz jest źle, ale wcale nie gorzej niż zimą dziewiętnastego roku. - Cienkie usta wykrzywiły się w gniewnym uśmiechu. - Ale, oczywiście, wymaga się od nas bohaterskich poświęceń. Przecież budujemy socjalistyczne państwo.

Natasza nalała wrzącej wody do dzbanka. Jej spojrzenie przesunęło się od ojca do Bałowa.

- Po co o tym wszystkim mówić? - mruknęła.

Kozłów upił się i przestał się pilnować. Chyba zapomniał, że rozmawia z oficerem NKWD. A może już mu to było obojętne. Ból i choroba usunęły w cień inne niepokoje, pozostała tylko świadomość bliskiej śmierci.

- Może jeszcze pana sprawy ułożą się lepiej - powiedział Bałow.

Kozłów nie odpowiedział. Broda opadła mu na piersi, gęste brwi leciutko się uniosły. Rozpierał go starczy gniew. Rewolucja odebrała mu cały majątek, lecz pozostawiła go przy



życiu. Ale teraz życie też zostanie mu odebrane. W kąciку jego ust ukazała się strużka śliny, zapinany sweter pachniał kamforą.

To wróg ludu, pomyślał Bałow. Powiniennem na niego donieść. Ale ten wróg nie przedstawiał już zagrożenia. Został złamany. Był zbyt chory, by otrzeć ślinę z brody. Dzięki rakowi ustrój uwolni się od niego. A poza tym Bałow miał w tej chwili inne sprawy do załatwienia: Antony'ego Rydera i brytyjski wywiad. Uśmiechnął się. W końcu to tylko kwestia prawidłowego ustawienia priorytetów. Obrona socjalistycznego państwa i odebranie kochanki Własikowi miały pierwszeństwo przed umierającym starcem. Niech sobie wyznaje tę swoją kontrrewolucyjną herezję, jeżeli mu to pomoże znosić ból.

- Następnym razem przyniosę więcej wódki - obiecał.

- A mógłby pan zdobyć zapalki? - spytała Natasza. - Do tej pory robiliśmy je z gliceryny i magnezji, ale już nawet tego nie można dostać w drogeriach.

- Postaram się.

Bałow pożegnał się z Kozłowem, który skinął mu głową, nie wstając z krzesła. Natasza odprowadziła go, oświetlając schody świeczką. Jednak na dole zgasła ją.

- Nie mamy tu zaciemnienia. Proszę podać mi rękę. Poprowadzę pana do drzwi.

Jej ręka była leciutko wilgotna. Przez wystawowe okno do sklepu przedostawał się promień księżycowego światła. W tym świetle twarz Nataszy wydawała się dziwnie blada, malowały się na niej jakieś wzajemnie wykluczające się pragnienia. Bałow, kierowany impulsem, pocałował ją. Jej usta, nieprawdopodobnie miękkie, ani nie oddały pocałunku, ani się nie opierały.

- Spotkajmy się jutro - zaproponował.

- Nie mogę.

- Pójdziemy na balet. Tańczy Bogulubska. Mogę dostać bilety.

- Nie. - Stanowczo potrząsnęła głową.

- Myślałem, że pani lubi muzykę.

- Lubię.

- Więc niech pani pójdzie ze mną do opery.

- Nie. To niemożliwe.

- Boi się pani Własika?

Nie odpowiedziała, ale wiedział, że dobrze zgadł.

- Proszę się nie martwić - namawiał. - W operze nie spotkamy ani Własika, ani żadnego z jego kompanów. Poza tym potrafię dać sobie z nim radę. Proszę pozwolić mi się tym zająć.

- Nigdy nie widziałam, jak Bogulubska tańczy, ale słyszałam, że jest nadzwyczajna.  
- To prawda. - Dotknął jej policzka. - Ale nie tak nadzwyczajna jak pani.  
- Jutro pracuję w Instytucie. - Natasza wzruszyła ramionami. - Niech pan tam po mnie przyjdzie. Pewnie uda mi się wyjść wcześniej.

- Dobrze. O drugiej. Jesteśmy umówieni.

Chciał pocałować ją jeszcze raz, ale wołał nie kusić losu. Lepiej odejść, zanim Natasza zmieni zdanie. Gdy wyszedł, w twarz uderzył go lodowaty podmuch. Wiedział, że Natasza patrzy za nim zza firanki. Przeszedł przez jezdnię, nie oglądając się, by jej pomachać.

Instytut Herpetologii znajdował się niedaleko parku Swierdłowa. Przed rewolucją w tym budynku mieścił się bank. Bałow przyszedł troszkę za wcześnie. Zastał Nataszę na piętrze. Stała na galerii otaczającej główny hol. Miała na sobie laboratoryjny fartuch i gumowe rękawice. Niosła drucianą klatkę, w której biegało jakieś porośnięte futerkiem zwierzątko. Bałowowi mignął przed oczami różowy ogonek.

- Muszę jeszcze nakarmić węża - powiedziała.

- Mogę iść z panią?

- Jeżeli pan chce, ale to nie jest przyjemny widok.

- Nie jestem specjalnie wrażliwy.

Na piętrze, na którym kiedyś obsługiwano klientów banku, teraz znajdowała się sala wystawowa. Wężę umieszczono w kilkunastu oszklonych wiwariach. Każdy wąż miał odpowiednie środowisko: żywe kolory dżungli, piaski pustyni, suche, pogięte gałęzie martwego lasu, kłujące sztuczne kaktusy... Wiwaria otaczała mosiężna poręcz, uniemożliwiająca zwiedzającym zbyt bliskie podejście do szyb, a drukowane karty podawały informacje o każdym gatunku.

- To tic-polonga z Indii - powiedziała Natasza, pokazując ręką któregoś z węży, gdy przechodzili obok. - A to jest jedyna mamba, którą udało się nam utrzymać przy życiu.

- Gdzie? - Bałow podszedł do szyby, za którą widniał afrykański krajobraz.

- Na drzewie.

Teraz zobaczył. Wąż miał co najmniej trzy metry długości; był cienki jak bat furmana. Leżał tak nieruchomo, że wydawał się martwy. Trudno dawało się go odróżnić od gałęzi i liści drzewa. Nagle w wiwarium powstał jakiś ruch: zielony kształt oderwał się od drzewa i jednym szybkim skurczem mięśni przemieścił do skalnej szczeliny, w której zniknął.

Zatrzymali się przed ostatnim wiwarium. Bałow przeczytał na karcie: „Żmija gabońska, Bitis Gabonica”.

Wąż leżał sztywno na skalnej półce; przybrał kształt litery „S”. Miał niecały metr długości i ciało poznaczone plamami w żywych kolorach. Wydawał się bardziej niebezpieczny niż mamba. Płaska, trójkątna głowa miała szerokość ręki Bałowa. Cienki kark przechodził w ohydne krępe ciało, grube jak u pytona, a potem zwężające się w krótki, szeroki ogon. Nad pyskiem wystawał ostry róg, a oczy przypominały srebrne łuski.

- Paskudny jak sam diabeł - zauważył Bałow.

- I jeden z najniebezpieczniejszych - dodała Natasza. - Silny i nieprzewidywalny. Nie lubię się nim zajmować.

- Czy na wypadek ugryzienia macie pod ręką surowicę?

- Tylko dla niektórych gatunków. Ale na ugryzienie gabońskiej żmii nie ma surowicy.

Po prostu trzeba bardzo uważać.

Natasza odryglowała przesuwaną płytkę, znajdującą się na krańcu szklanej witryny, przystawiła do niej klatkę, otworzyła drzwiczki, wrzuciła szczura do wiwarium, a potem natychmiast zasunęła płytkę i zaryglowała ją.

Szczur był duży; sądząc po potarganym futerku, musiał zostać złapany gdzieś w rynsztoku. Ciemne oczka lśniły mu jak nasiona arbuza. W przerażeniu tłukł ogonkiem o podłogę. Bałow zobaczył dwa ostre kły i nerwowo drgające wąsiki. Szczur wietrzył niebezpieczeństwo.

W pierwszej chwili wąż pozostał nieruchomy. Potem Bałow spostrzegł w srebrnych oczach iskierkę życia. Z pyska wyskoczył rozdwojony, szukający ciepła jęczyczek i zaczął badać otoczenie. Płaska głowa powoli się uniosła i zaraz cofnęła. Ze skały jęło się zrećnie zsuwać krępe ciało.

Szczur cicho zapiszczał, bardziej ze strachu niż wojowniczo. Instynktownie wyczuwał śmiertelne zagrożenie. Drżał na całym ciele, ale zaraz popadł w bezruch.

Wąż, cały w splotach, uniósł się nad podłogę. Jęczyczek jeszcze raz zbadał otoczenie.

W ostatniej chwili szczur przewyciężył paraliż i próbował uciec, ale wąż okazał się zbyt szybki. Gwałtowny ruch i trzycentymetrowe zęby wbiły się w kark ofiary, wtryskując w nią jad.

Szczur leżał na boku, jego różowe nóżki drgały przez chwilę, brzusek nadymał się i natychmiast robił się wklęsły. Ale konwulsje wkrótce ustały. Tylko w ciemnych, jedwabistych, szeroko otwartych oczach nawet po śmierci malowała się panika.

Głowa węża, w kształcie serca, spoczywała obok martwej ofiary, a jęczyczek nadal tańczył po jej ciele.

W teatrze Bolszój Bałow i Natasza zajmowali całą lożę. Dawano balet Prokofiewa, Bogulubka występowała w partii Julii. Kostium z wysokim stanem wirował wokół niej z poszumem tafty, we włosach miała białe kwiaty, na szyi długą, jedwabną wstążkę, światła rampy przydawały jej policzkom ciepłego rumieńca.

Bałow od czasu do czasu patrzył na Nataszę. Jej profil odcinał się na aksamicie, którym wyłożono ściany loży. Na jej twarzy malował się zachwyt. Poddawała się w pełni czarowi przedstawienia i nie zwracała uwagi na jego spojrzenia.

Ale w czasie przerwy, gdy zapaliły się światła, wydawała mu się lekko zaniepokojona. Na widowni przeważali oficerowie w mundurach. W krzesłach parteru siedzieli ranni żołnierze, a za nimi widać było rządek pielęgniarek. Natasza bacznie przepatrywała loże.

- Nadal pani się boi, że spotka tu Własika? - spytał Bałow.

- Nie chcę komplikować sobie życia. Popatrzył jej prosto w oczy i uśmiechnął się.

- A może warto byłoby je trochę skomplikować? - W jego tonie zabrzmiało łagodne wyzwanie.

- Już jest wystarczająco skomplikowane - odpowiedziała, patrząc na niego z powagą.

- Na pewno go pani tu nie spotka - roześmiał się. - Nie odróżnia Prokofiewa od Puszkina. Ani żadnego z nich od jakiegoś brodatego chłopskiego zapiewajły.

Gdy pod koniec antraktu żyrandole zaczęły przygasać, trochę się uspokoiła. Po widowni przebiegł szmer. W kanale orkiestry dyrygent uderzył batutą w pulpit i podniósł obie ręce. Natasza znów zatraciła się w muzyce.

Przedstawienie zostało nagrodzone trwającą kilka minut owacją. Z krzeseł, w których siedzieli ranni żołnierze, oderwała się jakaś sylwetka, oświetlona reflektorami. Wojenny bohater niósł kwiaty Mariannie Bogulubskiej.

- Jest cudowna - szepnęła Natasza.

Bałow po raz pierwszy widział jej twarz rozświetloną z radości. Pomyślał, że w takiej chwili jest czarująco niewinna. Ale gdy zwróciła wzrok ku niemu, radosne iskierki w jej oczach wywołały jakąś nieznaną mu reakcję chemiczną, niebezpieczną i wcale nie cielesną.

- Wszystkie kobiety są cudowne - powiedział.

- Ale niektóre bardziej niż inne, prawda?

- Oczywiście.

Gdy wyszli na dwór, jasne niebo przypominało im o pięknym przedstawieniu. Schodzili po marmurowych schodach i oddalali się od wyniosłych kolumn teatru Bolszój, w kierunku parku Swierdłowa.

- Mam w domu wódkę dla Iwana Nikołajewicza - odezwał się Bałow. - I kilka pudełek zapalek. Jeżeli pani chce, możemy po nie wstąpić. To niedaleko.

Nie oponowała, a on zinterpretował ten brak odpowiedzi jako zgodę.

Do domu Bałowa pojechali tramwajem, przemierzającym miasto ukryte w zmroku. O tej porze wagony były zatłoczone, więc stali przyciśnięci do siebie. Bałow wyczuł zapach perfum we włosach Nataszy i pomyślał, że Własik daje jej nawet kosmetyki. Patrzyła w dół i jej rzęsy odznaczały się cieniem na policzkach. Gdy ich ręce się zetknęły na poręczy, Natasza spojrzała na niego, ale nie cofnęła dłoni.

Bałow był pewny, że u siebie zaciągnie ją do łóżka. W końcu miał doświadczenie, jeśli chodzi o przełamywanie oporu kobiet. Wiedział, jak apelować do ich romantycznej natury i jak sprawiać im radość. Wiedział także, że w zalotach trzeba zaczynać od psychologii, zamiast od razu zabierać się do rzeczy.

Więc dlaczego teraz ma wątpliwości? To na pewno przez ten wyraz jej twarzy w operze. Mógł przyprowadzić mężczyznę o niepewność. Czyżby zaczynał się zakochiwać? Fizyczne współżycie jest tylko zdrową, fizjologiczną czynnością. Ale miłość stanowi niebezpieczeństwo. Gdy raz jej ulegniesz, nigdy się od niej nie uwolnisz. Będziesz chorował całe życie, tak jak po zarażeniu malarią.

Ale gdy znaleźli się w mieszkaniu, Bałow był już mniej pewny słuszności swojego rozumowania. Natasza znów panowała nad emocjami. Bałow znał już tę jej lodowatą, stanowczą postawę. Zniknęła również bliskość, której doznali w tramwaju, gdy ich palce dotykały się na poręczy. Nie wiedział już, jakie myśli na jego temat przebiegają jej po głowie.

Mieszkanie składało się z zaledwie dwóch małych pokoi, ale Bałow korzystał w nim z luksusu własnej łazienki i ubikacji. Miał także piękny widok z okien. Na podłodze w saloniku leżał turecki dywan w złotoczerwony deseń, wyglądający jak tarcze herbowe, a na umeblowanie składała się kanapa i fotel od kompletu, a także niski drewniany stolik z wystawką cynowych miniaturowych armat, szachownicą i figurami z kości słoniowej oraz z popiersiem Cezara. Natasza dotknęła uwieńczonej głowy i zauważyła:

- Właściwie nie miał pan tu dla niego miejsca.

- W naszych czasach wszyscy musimy dokonywać poświęceń - roześmiał się Bałow. - Nawet dawno zmarli cesarze.

Natasza podeszła do okna i zapatrzyła się na dymy z kominów, snujące się po wieczornym niebie. Bałow z uśmiechem spojrzał na Cezara. Każdy z nas staje przed swoim Rubikonem, pomyślał, i nie pozostaje nam nic innego, jak go przekroczyć.

Podszedł do Nataszy od tyłu, objął ją w talii i delikatnie pocałował w kark. Nataszę przebiegł dreszcz rozkoszy. Przesunął ręce na jej piersi, a ustami dalej pieścił kark.

Usłyszał cichutki jęk, więc objął ją mocniej. Natasza odwróciła się twarzą do niego i odrzuciła głowę do tyłu. Jej usta pod jego wargami stały się gorące; była podniecona, a intensywność jej pragnień spowodowała drżenie palców, które wbijały się w jego plecy.

Ale nagle Bałow wyczuł, że coś ją powstrzymało. Jej ręce powoli ześliznęły się w dół, i chociaż usta łapczywie oddawały pocałunek, całe ciało stawiało opór.

Ta reakcja go zdumiała. Mimo że obudził się w niej jakiś psychiczny konflikt, Bałow był pewny, że Natasza pragnie fizycznej bliskości. Najprawdopodobniej mógłby ją przymusić, ale nie chciał jej mieć w taki sposób.

Dotknął policzka dziewczyny czubkami palców tak, żeby na niego spojrzała. Jej twarz wyglądała jak maska starożytnych greckich aktorów, z wymalowanym na niej bólem.

- Nataszo Iwanowna, co się stało? Proszę mi powiedzieć.

- Nie. - Jej spojrzenie uciekło gdzieś w bok. Potrząsnęła głową. - Tak bym chciała, żeby rzeczy wyglądały inaczej. Chciałabym zmienić całe moje życie. Ale same chęci nie mogą niczego zmienić.

- Inaczej? Jak na przykład?

- Wszyscy mamy swoje zobowiązania - odparła niezbyt konkretnie. - I są one ważniejsze niż osobiste uczucia.

Bałow przypuszczał, że chodzi o Własika. Ale gdy po odprowadzeniu Nataszy do domu wracał do siebie, obracał w myślach jej słowa i zastanawiał się, czy nie chodziło jej o coś innego.

W nocy Ryderowi śniła się zmarła żona. Niemieckie samoloty latały ponad smugami światła rzucanymi na niebo Coventry przez reflektory przeciwlotnicze. Ryder poczuł, że ogarnia go panika. Jego żona gdzieś tam jest... Co robi dowództwo sił powietrznych? Dlaczego bombowce nie zostały jeszcze strącone?

Bomby spadały i wybuchaly w potokach światła. Na tle płomieni pożarów odznaczały się sylwetki budynków. Całe miasto spowiła różowawa poświata.

Nagle w swoim śnie znalazł się w płonącej dzielnicy miasta, tam gdzie żona mieszkała przed ślubem. Jak oszalały rozglądał się i wołał ją: Cathy! Wszędzie wokół niego szalał ogień. Podniósł rękę, by obronić się przed gorącym podmuchem. I wtedy ją zobaczył. Biegła do niego. Znow zaczął wołać, ale huk płomieni zagłuszył jego głos. Na ulicę zwała się rozpalona ściana domu. Cathy zasłoniła twarz rękami i zaczęła krzyczeć. Kręciła się wokół własnej osi w samym środku ognia. Gdy jej ubranie się zajęło, popędziła na oślep przed

siebie. Ryder też biegł, ale nie mógł jej dogonić. W całym tym nocnym koszmarze nie potrafił zmienić biegu wydarzeń.

Obudził się, pamiętając dobrze swój sen. Obok niego spokojnie spał Kryłow. Ryder wstał. W ciemnościach poszedł do frontowego pokoju, odsunął z okna czarne zasłony i wyrzwał na ulicę.

Mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze. Składało się z trzech małych pokoi, ściany miało cienkie jak ścianki skrzyni. Wytarty dywan pokrywał tylko kawałek podłogi, brązowe tapety były poplamione, a z nielicznych koślawych mebli odłaził materiał.

Minęło już sześć dni od ich przyjazdu do Moskwy, a ciągle jeszcze czekali na łącznika Własowa, który miał się przedstawić pseudonimem „wujek Wania”. Może w końcu się okaże, że cała akcja przypomina sztuki Czechowa, gdzie próżni, zarozumiali bohaterowie nigdy nie chcieli przyznać, że ponieśli klęskę. Ale Ryderowi było to w tej chwili obojętne. Złość i ból po stracie żony czyniły go nieczułym na cudze nieszczęścia.

Spojrzał na linię dachów, odznaczającą się na jaśniejszym niebie. Znalazł się daleko od Coventry. W szybie jakiś inny obraz nałożył się na wspomnienie postaci żony. Odwrócił się i zobaczył Sierową, stojącą na progu. W ciemnościach nie widział wyraźnie jej twarzy, tylko sylwetkę odzianą w szlafrok i białe ręce zaciskające węzeł paska. Ręce jego żony...

- Słyszałam jakiś hałas. - Podeszła do okna. - Myślałam, że ktoś wołał.

- To był tylko sen - odpowiedział Ryder.

- Nie możesz spać?

- Nie.

- Ja też.

Jej jędrne, krągłe piersi opinał tani materiał szlafroka, warkocze opadały na ramiona.

Co w niej jest takiego, że wzbudza jakiś nieokreślony niepokój? Skąd ta nieufność?

Po raz pierwszy uderzyło go, jak bardzo seksualnie prowokujące jest jej zachowanie. Gdy sprzątała ze stołu po posiłku, ocierała się o niego. Mimo bezkształtnego swetra jej ciężkie piersi wysuwały się do przodu, a raz przesunęła brodawką po jego karku. Innym razem przycisnęła łydkę do jego nogi. Przez cały czas był świadomy tej natrętnej seksualności, z trudem utrzymywanej na wodzy.

- Boisz się, że wujek Wania nie przyjdzie? - spytała.

- Na pewno się pojawi, gdy nadejdzie odpowiedni moment.

- A jeżeli złapali go i przesłuchali?

- To możliwe.

- Co wtedy zrobisz?

- A co mogę zrobić? - powiedział Ryder wzruszając ramionami.
- Nie wiem. Ale musisz o tym pomyśleć.
- Nie myślę wiele.
- A o żonie? - Sierowa uśmiechnęła się. - Jesteś żonaty, prawda?
- Tak.
- I nie myślisz o niej?
- Tylko wtedy, gdy mam na to czas.
- Gdzie ona teraz jest?
- Czeka na mnie.
- Kochacie się?
- Po co zadajesz tyle pytań?
- Dziwi cię, że mnie interesujesz? Chyba ja cię też interesuję.
- Kochaliśmy się - powiedział Ryder.
- Więc musi ci być ciężko bez kobiety.

Stała tuż przed nim, śląc mu wyzwanie swoją bliskością. W bladym świetle księżyca widział tylko jej uparty, pytający uśmiech i zarys ponętnego ciała pod szlafrokiem.

Wstając nie zaplął koszuli. Sierowa położyła rękę na jego porośniętej włosami piersi.

- Masz czarne włosy - zamruczała i przebiegła po nich palcami. - Takie gęste. Moje też są gęste, ale jasne.

Palce nadal go pieściły, powodując miłe podniecenie. Na jej usta wypłynął uśmiech i wszystkie niewyraźne sygnały, jakie dawała przez ostatni tydzień, stały się nagle zrozumiałe.

- Mam ci pokazać, jak bardzo są gęste? - spytała. Włożyła jego rękę pod swój szlafrok i przycisnęła do kępki już wilgotnych włosów.

Potem, w swoim pokoju, Ryder leżał i patrzył w ciemność. Kryłow nadal mocno spał. Incydent z Sierową był nagły jak wybuch płomieni. Ryder pamiętał ciepłe, nagie piersi, wilgoć otaczającego członka w erekcji, zaciskanie się mięśni pochwy i swoją ulgę. Czuł jednocześnie żal i przyjemność. Gwałtownie odsunął się od niej i usłyszał cichy jęk. W świetle księżyca widział jej twarz, wewnątrz rozsuniętych ud, na których lśniło jego nasienie.

Teraz leżał, zasłaniając rękami oczy, i próbował zapomnieć. Narastało w nim uczucie zdrady. Na policzki wypełził mu rumieniec wstydu. Myślał o zdjęciu żony, które miał u siebie w mieszkaniu, ojej pluszowym piesku na okapie kominka, i przez długi czas czuł jedynie rozpaczliwy smutek.

Rano Sierowa nie okazała w żaden sposób, że coś się w nocy stało. Zajęła się gospodarstwem, jak zwykle zręcznie i spokojnie. Nic w jej w zachowaniu nie pozwalało się



domyślać, że tę noc spędzili razem. W jej spojrzeniu nie było śladu porozumienia. Ten brak jakichkolwiek uczuć, nawet wrogich, dziwił Rydera.

O wpół do jedenastej poszła jak zwykle do budki w parku, by czekać na telefon od ich moskiewskiego łącznika. Ryder obserwował ją przez okno. Miała na głowie chustkę, niosła siatkę na zakupy. Jeżeli telefon nie zadzwoni, pójdzie do sklepu spożywczego i stanie w kolejce.

Pod oknem z łoskotem przejechał brudny tramwaj, wyładowany workami cementu do wzmacniania wałów wokół miasta. Teraz, gdy nadchodziła wiosenna odwilż, obawiano się, że Niemcy znów podejmą ofensywę.

W parku Sierowa zniknęła za stertami drewna opałowego, pociętego i ułożonego przez brygady robocze na jesieni. Na tych stertach dzieci bawiły się w „partyzantów”, używając dłuższych kijków jako karabinów.

Kryłow wszedł do pokoju i stanął przy oknie.

- Nawet dzieci bawią się w wojnę - zauważył.

- Dla niektórych z nich ta zabawa może się nigdy nie skończyć.

- Gdybym mógł zmienić tylko jedną rzecz - powiedział Kryłow - zmieniłbym właśnie to.

- Może będziesz miał taką szansę.

- Przyjemnie się o tym myśli. Ale obawiam się, że to wydarzenia kształtują człowieka, a nie na odwrót.

- Maksymie Nikołajewiczu, jeżeli naprawdę tak myślisz, to dlaczego tu przyjechałeś?

- Bo, tak jak wszyscy, też padłem ofiarą wydarzeń, tych samych wydarzeń, które przypieczętowały los mojego ojca i rodzeństwa.

- Czy to jedyny powód?

- I dlatego, że należy postępować honorowo - dodał Kryłow. - Ciągle jeszcze w to wierzę.

- Wystarczająco mocno, by za to umrzeć?

- Tak.

Ta uwaga obudziła w Ryderze wspomnienie. „Honorowe zachowanie wymaga odwagi... Człowiek honoru nigdy się nie zhańbi...”

- Lepiej nie mylić honoru z odwagą - ostrzegł. Kryłow chwilę rozważał te słowa, zanim odpowiedział:

- Myślę, że można być odważnym, nie będąc człowiekiem honoru, ale nie można być człowiekiem honoru, nie będąc odważnym. Jestem pewny, że mój ojciec, w chwili gdy go

mordowano, patrzył swoim oprawcom prosto w oczy przez tych kilka sekund, zanim rozległy się strzały. Wiem, że nie odwrócił od nich wzroku. Był na to zbyt dumny. I to jest moje jedyne dziedzictwo po nim. Ale do tej pory nigdy nie musiałem z niego korzystać.

- Może i teraz nie będziesz musiał.

- Zastanawiam się, w co ty wierzysz - powiedział Kryłow. Ryder spokojnie spojrzał na niego, ale nic nie odrzekł.

- Dlaczego jesteś taki zdziwiony? - Kryłow uśmiechnął się ze smutkiem. - Brytyjski wywiad wysłał cię ze mną po to, byś podjął odpowiednie kroki, gdyby coś poszło źle. Wtedy będziesz musiał mnie zabić. Mam rację, prawda?

- Moje zadanie polega na utrzymaniu cię przy życiu.

- Wiem, że nie możesz mi nic powiedzieć. - Kryłow wzruszył ramionami. - Nie przejmuj się. Nie będziesz musiał mnie zabijać. Sam zażyję pigułkę... jeżeli okaże się to konieczne. Podobno działa bardzo szybko. Ale czym innym jest patrzeć prosto w twarz plutonowi egzekucyjnemu, tak jak robił to mój ojciec, gdy wiadomo, że to tchórze i mordercy. Jednak jak patrzeć prosto w twarz przyjacielowi?

Ulicą przejechał kolejny tramwaj. W parku Sierowa wyszła z budki telefonicznej. Zamiast iść do sklepu, biegiem wracała do domu.

- To Sierowa - mruknął Ryder.

- Myślisz, że ma jakieś wiadomości?

- Wraca.

- I chyba się spieszy.

- Bądź przy niej ostrożny - ostrzegł Ryder Kryłowa.

- Nie ufasz jej?

- Najprawdopodobniej akcja niedługo się zacznie, więc lepiej nie ryzykować. - Ryder na razie nie chciał mówić nic więcej.

Przyjdzie po zmroku - oznajmiła Sierowa. - Dziś? - upewnił się Ryder. Skinęła głową.

- Czy to ten sam człowiek, z którym rozmawiałaś tydzień temu? - spytał Kryłow.

- Głos brzmiał tak samo.

- Powiedział coś więcej? - nalegał Ryder.

- Zapuka dwa razy, chwilę odczeka i znów dwa razy zapuka. Ryder spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta. Czeka ich długie popołudnie, ale w końcu coś zaczyna się dziać.

Sierowa, jak co dzień, poszła po zakupy.

- Ciekawe, kto to jest - zastanawiał się Kryłow.

- Przypuszczam, że jakiś podwładny Własowa.
- Chciałbym, żeby Własow był teraz w Moskwie.
- Jeżeli wszystko się uda - rzekł Ryder - na pewno się tu z nim spotkamy.
- A jeżeli wpadniemy? - Na brodatej twarzy Kryłowa malował się smutny uśmiech.

Ryder zapalił papierosa i przez dym patrzył na półkę, na której zostało niewiele przedmiotów.

- Wtedy już nic nie będzie miało znaczenia - powiedział.

Sierowa wróciła o drugiej. Usłyszeli, jak puka do drzwi, i Kryłow poszedł ją wpuścić. W siatce miała kiełbasę i razowy chleb, ale nie udało jej się kupić ani owoców, ani jarzyn. Zagotowała wodę na elektrycznej kuchence i zaparzyła herbatę z suszonych krążków dyni.

Ryder wziął swoją filiżankę i podszedł do okna. Komsomolcy, wznosząc patriotyczne okrzyki, ciągnęli po chodniku wózki ze złomem. Drzwi warsztatu szewskiego po drugiej stronie ulicy otwierały się i zamykały. W parku dzieci znów bawiły się w wojnę. Jakiś stary mężczyzna użył okularów jak soczewki, by zebrać promienie słońca i zapalić papierosa.

Potem gwar w parku ucichł. Nad nagimi gałęziami rozpostarła się wieczorna cisza. Szewc zamknął swój warsztat. Gdzieś w oddali przejeżdżał tramwaj. Na ławce w parku usiadł samotny mężczyzna. Czy to wujek Wania czeka, aż zapadną ciemności? Ryder obserwował go, ale mężczyzna po chwili wstał i odszedł.

Czerwona luna zachodzącego słońca rozjaśniała zachodni nieboskłon, pozostawiając park w cieniu. Ryder usłyszał jakiś dźwięk na schodach, a zaraz potem pukanie do drzwi. Jego ręka wsunęła się pod marynarkę i chwyciła pistolet, zatknięty za pasek.

Wydawało mu się, że dwa stuknięcia w drzwi, które rozległy się po chwili przerwy, uderzają prosto w jego nerwy.

- Kto tam? - spytała Sierowa.

Sekundy, kiedy czekali na odpowiedź, trwały całą wieczność.

- Wujek Wania.

Sierowa obejrzała się na Rydera. Skinął głową, więc otworzyła drzwi.

Do pokoju wszedł szybkim krokiem radziecki oficer z dystynkcjami pułkownika. Miał ciastowatą twarz, był niski i tęgi, prawie pozbawiony szyi, z grubym karkiem i mięśniami ramion godnymi dokera. Niskie, cofnięte czoło, gęste brwi i wpadnięte oczy przypominały twarz małpy albo prehistorycznego człowieka, którego rysy zostały zrekonstruowane na podstawie wyglądu wykopanych czaszek.

- Nazywam się Szewczenko. - Miał zadziwiająco kulturalny głos. Przeniósł spojrzenie z Rydera na Kryłowa i spytał: - Maksym Nikołajewicz?

- Tak - odparł Kryłow.

- Mamy wiele do omówienia, a mało czasu.

Kazał Sierowej wyjść z domu. Gdy wyszła, zdjął szynel i usiadł przy stole. Świeczka, wetknięta w szyjkę butelki, rzucała cienie na jego twarz.

- To, co mam do powiedzenia, przeznaczone jest tylko do waszej wiadomości. - Rozłożył plan Moskwy i wygładził go kwadratową, mocną ręką.

- Kiedy zacznie się operacja? - jako pierwszy odezwał się Ryder.

- Za siedemdziesiąt dwie godziny. Czternastego kwietnia.

- Ograniczy się do Moskwy? - spytał Kryłow.

- Główne siły będą skoncentrowane tutaj, w trzynastu z dwudziestu pięciu obwodów wojskowych. Mamy dwie brygady strzelców i wsparcie batalionu czołgów. Oddziały pancerne zostaną wstępnie rozlokowane w różnych miejscach, najwięcej ich stanie wokół Placu Czerwonego. Te właśnie ruszą na Kreml.

- A co z osobistą gwardią Stalina? - to znów pytał Ryder.

- Dowódca będzie nieobecny - wyjaśnił Szewczenko. - Zawdzięczmytojego namiętności dla pewnej młodej kobiety. Załatwiliśmy to tak, by w dniu ataku spotkali się w willi niedaleko Kuncewa. Dowództwo nad ochroną Stalina przejmie jeden z naszych. Wyprowadzi gwardię daleko od Bramy Spasskiej i pokoju sztabowego, a potem podda gwardię, gdy nasze czołgi znajdą się już wewnątrz murów Kremla.

- A jeśli nie posłuchają rozkazu? - Ryder miał wątpliwości.

- Jak mogą nie posłuchać, skoro nasze T-34 wymierzą w nich działa kalibru 76,2 milimetra? - warknął Szewczenko.

- Jaka będzie w tym moja rola? - spytał Kryłow.

- Gdy już zajmiemy Kreml i zabezpieczymy łączność, przedstawiciel Tymczasowego Rządu Wojskowego wyda oświadczenie radiowe. Potem pan wygłosi orędzie do narodu. Przyniosłem tekst tego przemówienia. Proszę to przeczytać. Jeżeli nie zgadza się pan z jakimś twierdzeniem, możemy omówić zmiany.

Kryłow poszedł czytać do drugiego pokoju, a Szewczenko wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Znalazł w niej tylko cztery sztuki. Rozłożył je na stole.

- Proszę się częstować - zaprosił Rydera i sam zapalił. Słabo upchnięty tytoń szybko się skończył. Ryder spojrział na Szewczenkę przez resztki dymu i spytał:

- Jaka część armii jest w to zaangażowana?

Szewczenko mocno zmarszczył brwi i chwilę pomyślał, a potem odpowiedział ostrożnie:

- Chciałbym, żeby pan zrozumiał coś, co dotyczy naszego wojska. Tutaj liczby nie mają znaczenia. Nie chodzi o to, ilu jest zaangażowanych, lecz raczej o to, ilu będzie przeciw nam. Sukces albo porażka zależą od jednego tylko wydarzenia.

- Od jednego wydarzenia? - Ryder uśmiechnął się, bo przypomniał sobie, jak Kryłow mówił: „To wydarzenia kształtują człowieka, a nie na odwrót”.

- Tak. Wszystko zależy od jednej tylko rzeczy: jeżeli nie uda nam się zabić Stalina, nikt nas nie poprze. Jeżeli go zabijemy, nikt nie zwróci się przeciw nam. Oczywiście jest kilku ludzi naprawdę lojalnych wobec Stalina: Timoszenko, Woroszyłow, Budionny. Ale najlepsi dowódcy polowi przejdą na naszą stronę gdy tylko się dowiedzą, że Stalin nie żyje. Dlaczego mieliby stawiać opór? Mają wszystko do wygrania, a nic do stracenia. Zlikwidujemy natychmiast rangę komisarzy politycznych w armii. W sytuacji, gdy w pana głowę wymierzona jest lufa, a pan ma szansę odsunięcia jej, jak by pan postąpił? Nie skorzystałby pan z okazji?

- A co z oddziałami NKWD? Oni nie przyjmują rozkazów od dowódców wojskowych.

- Zaraz po uporaniu się ze Stalinem zajmiemy się NKWD - zapewnił Szewczenko. - To rzeczywiście jest wielki problem. Ale sporządziliśmy już listę ludzi, których aresztujemy, a na samym szczycie figuruje nazwisko Berii. Wyzaczyliśmy do tego zadania oddziały pancerne. Zaatakują koszary NKWD tutaj - uderzył w plan grubym palcem - i tutaj - drugie uderzenie - a także ich dowództwo na Łubiance. Temu zadaniu przyznaliśmy priorytet. A gdy złamiemy NKWD kark w Moskwie, reszta pójdzie łatwo.

- Jak zamierzacie zabić Stalina? - drążył Ryder.

Na pospolitej twarzy Szewczenki, oświetlonej płomieniem świecy, malowała się powaga. Grube palce z płaskimi paznokciami rozerwały jeden z papierosów leżących na stole.

- Trucizna - rzucił.

- Niezbyt można na tym polegać.

- Zrobi to ktoś, kto zawsze ma do niego dostęp i kogo on w ogóle nie podejrzewa - wyjaśnił Szewczenko. - Tylko tyle mogę panu powiedzieć. Nawet gdyby wszystko inne się nie powiodło, to powinno się udać. Stalin to niebezpieczny szaleniec, a ataki oblędu nachodzą go i mijają w sposób nieprzewidywalny. Dla dobra Rosji...

W tym momencie wrócił Kryłow.

- Nie będę niczego zmieniał - oświadczył. Jego melancholijne spojrzenie spoczęło na Szewczenko. - Chciałbym wierzyć, że ludzie, którzy to napisali, naprawdę wierzą w swoje słowa.

- Są prawdziwymi Rosjanami - powiedział Szewczenko uroczyście.

- Czy generał Własow obejmie władzę? - spytał Kryłow.

- Gdy tylko sytuacja się ustabilizuje, Andriej Andriejewicz przyleci do Moskwy z leningradzkiego frontu. Nie mogę jednak panu powiedzieć, czy wejdzie w skład wojskowego triumwiratu.

Wziął następny papieros, przekroił go na pół, pochylił się i odpałił od płomienia świecy.

- W każdym razie - dodał z uśmiechem - życie nie zawsze układa się tak, jak planowaliśmy, prawda? Ja chciałem studiować architekturę, a zamiast tego zostałem żołnierzem. Na niektóre wydarzenia człowiek nie ma wpływu.

To prawda, zgodził się z nim Ryder w myślach. Na przykład na naloty i pożary w Coventry albo na to, co się stało w piwnicy pewnego domu w Jekaterynburgu.

Szewczenko wstał, by włożyć płaszcz. Przez chwilę trwał zwrócony tyłem do Kryłowa i Rydera. Widzieli jego potężny kark - wydawał się bardziej karkiem cyrkowego atlety podnoszącego żelazne sztaby niż karkiem wykształconego architekta.

- Gdzie pan poznał kobietę, która nas tu przywiozła? - spytał jeszcze Ryder.

- Ona jest tylko łączniczką - zbagatelizował sprawę Szewczenko. Odwrócił się do nich przodem i zapinał płaszcz. - W ogóle jej nie znałem.

- Więc jak została wciągnięta w tę sprawę?

- Zwerbowano ją.

- Kto to zrobił? Ten ktoś jest tutaj, w Moskwie?

- Nie żyje. - Szewczenko potrząsnął głową. - Zginął w bitwie o Chołm.

- A czy ktokolwiek inny znał ją, przynajmniej z widzenia?

- Ona jest z Murmańska.

- Ale chodziła do szkoły w Moskwie. Mówiła nam, że jej ojciec był oficerem w sztabie marszałka Tuchaczewskiego.

- To prawda. Wszyscy oni zniknęli w czystce z trzydziestego siódmego. Mamy zdjęcie Sierowej z ojcem. Widziałem je.

Ryder podszedł do okna, odsunął zaciemniającą zasłonę i wyjrzał na dwór. Sierowa siedziała na ławce przy wejściu do parku. Jej twarz częściowo ginęła w nocnym cieniu.

- Zdjęcie tej kobiety, która tam siedzi? Szewczenko stanął obok niego.

- To było bardzo marne zdjęcie. Dziewczynka wyglądała na jakieś czternaście lat.

- Poznaje ją pan?

- Jak mogę mieć pewność? Na fotografii twarz wydawała się trochę pełniejsza.

- To zrozumiałe - wtrącił się Kryłow, który nadal siedział przy stole. - Wtedy była dzieckiem, a teraz jest dorosła.

- Jakie miała włosy?

- Była blondynką, o ile dobrze pamiętam - odpowiedział Szewczenko. - Bardzo jasną blondynką. Słaby uśmiech wykrzywił grube wargi, z których zwisał papieros. - Jak ta kobieta w parku.

Zmierzał już do drzwi, ale jeszcze się odwrócił.

- Bądźcie gotowi do wyjścia stąd o dziewiętnastej czternastego kwietnia. Przyślemy samochód. Kierowca posłuży się tym samym sygnałem co ja. Dwa uderzenia w drzwi i hasło: wujek Wania. Zostaniecie zawiezieni w pobliże rozgłośni radiowej. Powodzenia.

Kilka minut po wyjściu Szewczenki wróciła Sierowa. Od chłodu miała zaróżowione policzki. Zdjęła płaszcz, zaparzyła herbatę i podała ją na stół.

- Ależ to prawdziwa herbata! - wykrzyknął Kryłow.

- Zaoszczędziłam ją na taką okazję - powiedziała Sierowa. Siedzieli w milczeniu, delektując się herbatą. Kryłow kątem oka złowił lśnienie łańcuszka na szyi Sierowej i spytał, skąd go ma.

- Należał do mojej matki. Dostała go od ojca. - Podniosła złoty wisiołek zawieszony na łańcuszku i skierowała wzrok na Rydera. - Widzisz? Z tyłu wygrawerowane jest jej imię.

- Nigdy go przedtem nie nosiłaś.

- Po prostu nie zauważyłaś.

Gdy wypila herbatę, wysypała rasy na spodeczek i wpatrzyła się w nie.

Kryłow uśmiechnął się na ten widok.

- Jekaterino Aleksiejewna, co pani tam widzi? - spytał.

- Wydaje się, że nie zostaniemy już długo razem...

- Jeszcze trzy dni - wyjął Kryłow.

- Do czternastego? Czy będę musiała was gdzieś zawieźć?

- Przyślą samochód.

Ryder obrzucił ją niechętnym spojrzeniem. Jego brak zaufania do niej znów odrobinę się pogłębił.

- Nie przejmuj się - powiedział. - Na pewno dostaniesz odpowiednie instrukcje.

Dwunastego kwietnia Bałow i Sierowa spotkali się w mieszkaniu nad warsztatem szewca.

Jako pierwszy pojawił się Bałow. Wszedł od tyłu, by nie pokazywać się na ulicy. Stary rzemieślnik w skórzanym fartuchu, z rękawami koszuli podwiniętymi do łokcia, skinął

mu głową i wrócił do pracy. Bałow wszedł na górę i stanął przy oknie małego pokoiku, który służył szewcowi za mieszkanie. Łóżko nie było posłane, poplamiona śliną poduszka nie miała poszewki. Z sufitu nad brudnym stołem zwisała na kablu goła żarówka. Nocnik od rana nie został opróżniony, i w pokoju rozchodził się smród amoniaku.

Bałow przyłożył do oczu teatralną lornetkę i tak długo ustawiał ostrość, aż wyraźnie zobaczył park. Drzewa i ulica pędem przesuwały się w szklach, gdy poruszał nimi z prawa na lewo, ale szybko uzyskał stabilny obraz. Nakierował lornetkę na okna mieszkania, w którym znajdowali się Ryder i Kryłow. Nie zauważył tam żadnego ruchu. Opuścił lornetkę, usiadł i uważnie przyglądał się ulicy.

Po krótkiej chwili z budynku wyszła Sierowa. Jeszcze wkładała chustkę na głowę. Spojrzała w górę, na czarne chmury gromadzące się nad miastem. Przeszła przez jezdnię i weszła do parku. Obie ręce trzymała w kieszeniach nieprzemakalnego płaszcza, mocno związanego w tali.

Bałow znów podniósł lornetkę do oczu. Długie nogi Sierowej wydały mu się istnym cudem. Przez lornetkę przypatrywał się jej ciężkim piersiom, wyraźnie odznaczającym się pod płaszczem. Ożyło w nim wspomnienie brodawek, opuchniętych i sztywnych od pożądania. Widział je w nocy, którą spędzili razem. Przekonał się wtedy, że jej erotyzm nie tylko wykracza poza normalne granice, lecz nawet ociera się o nimfomanię.

Zaczął współczuć hitlerowcom, którzy być może zajmą miasto. Sierowa na pewno przyprawi jednego czy dwóch feldmarszałków o atak serca.

Kilka minut później Sierowa weszła do mieszkania szewca.

- Wczoraj wieczorem przyszedł Szewczenko - powiedziała, gdy Bałow pomagał jej zdjąć płaszcz.

- Widziałem raporty z obserwacji.

- Kazał mi wyjść z domu.

- To też wiem.

- Ale to im się na nic nie zdało. I tak dowiedziałam się o wszystkim. Cokolwiek planują, zdarzy się to czternastego. Bałow spojrział na nią uważnie.

- Czternastego? Jesteś pewna?

- Przyjedzie po nich samochód.

- Za dwa dni - mruknął Bałow. Tak krótki termin go niepokoił.

- Teraz wiesz, dlaczego musiałam się z tobą zobaczyć.

Bałow spojrział przez okno na mieszkanie naprzeciwko. Dwa dni. Pozostało niewiele czasu na przygotowania. Obserwacja Szewczenki nie dostarczyła mu żadnych istotnych



informacji. Oficer był albo zbyt ostrożny, albo zbyt sprytny, by popełnić błąd. Ale teraz niespodziewanie szala przechyliła się na korzyść Bałowa.

- Jeżeli to spisek wojskowy w celu przejęcia władzy - powiedział - to na pewno bierze w nim udział bardzo wielu ludzi. Starsi oficerowie, jednostki wojskowe...

- Dlaczego mówisz „jeżeli”? Przecież nie może chodzić o nic innego.

- Dlatego, że wydaje mi się nieprawdopodobne - odparł - żebyśmy tak długo nic nie wiedzieli o spisku takich rozmiarów.

- Niezbyt to pochlebne dla NKWD, prawda? Bałow uśmiechnął się i stwierdził:

- Jeszcze niedawno za taką uwagę zostałąbys zadenuncjowana i wysłana na katorgę.

- A kto by wtedy odwał za ciebie brudną robotę? - zażartowała. - Ale wracając do rzeczy, o co twoim zdaniem może chodzić, jeśli nie o spisek wojskowy?

- No właśnie - powiedział z zastanowieniem. - O co?

- Teraz będziesz musiał ich aresztować, bo to już trwa za długo.

- Żeby przywódcy spisku uciekli i zaczęli wszystko od początku?

- Szewczenko na pewno zna szczegóły - nalegała Sierowa. - Powie nam wszystko, co tylko wie.

Bałow milczał. Co za zwariowana sprawa! Był już tak blisko, a nie mógł zaciągnąć sieci. Manipulował swoimi zwierzchnikami tak, że nie tylko sam kontrolował całe śledztwo, lecz nawet ukrywał przed nimi wyniki. Jeżeli odniesie sukces, on i tylko on zdobędzie nagrodę. Jednak, z drugiej strony, za ewentualną porażkę będzie się obwiniać też tylko jego i nikogo więcej. A wtedy kula w łeb. Dwa dni. Czterdzieści osiem godzin. Tak krótki termin ograniczał możliwości manewru.

- Masz rację - powiedział. - Nic innego nie można zrobić. Dziś wieczorem aresztujemy Szewczenkę.

- Pozostałych też?

- Poczekamy do czternastego. Powiedziałaś, że przyjedzie po nich samochód...

- Tak. - Skinęła głową. - O dziewiętnastej.

- Więc zaczekamy aż do tej chwili.

- A jeżeli dowiedzą się, że Szewczenko został aresztowany?

- Nie będziemy tego rozgłaszać.

- Jak chcesz to utrzymać w tajemnicy?

- Dowódcą Szewczenki jest generał Siniłow. Powiemy mu, że Szewczenko zlecono tajną misję i musiał wyjechać. Przecież chodzi tylko o jakieś trzydzieści sześć godzin.

- A jeżeli Siniłow też jest w to wplątany?

- Coś dla niego zorganizujemy. Może jakieś spotkanie. Pomyślę. W każdym razie każę komisarzowi pilnować go przez cały czas, nawet wtedy, gdy będzie podcierał sobie tyłek.

Gdzieś w oddali rozległy się grzmoty. Przez otwarte okno wpadał zapach deszczu.

- Gdybym mogła zostać sama z Kryłowem... - mruknęła Sierowa, a potem potrząsnęła głową. - Nie, to niewykonalne.

- Jaki on jest?

- Szalony. Lepiej martw się o Kanadyjczyka, a nie o Kryłowa.

- Dlaczego?

Sierowa zmarszczyła czoło w namyśle.

- Czuję coś dziwnego, gdy jesteśmy razem. Kanadyjczyk, jeżeli tylko dać mu okazję, stanie się niebezpieczny.

- Nie zamierzam dawać mu żadnych okazji - zapewnił ją Bałow. Drobne krople deszczu zaczęły uderzać o szybę. Bałow zamknął okno, podał Sierowej płaszcz i spytał:

- Nie zdołałaś go uwieść?

- A jak ci się wydaje? - Zapięła płaszcz i zawiązała pasek.

Poprawił jej kołnierz. Niewiele było trzeba, by ją podniecić. Czuł, jak żądza przenika z jej ciała w jego palce. Sierowa zachowywała się jak zbyt mocno skręcona sprężyna. Może, gdy ta sprawa dobiegnie końca... Coś mu przyszło do głowy.

- Jest dobrym kochankiem? - zawołał za nią, gdy już wychodziła. Sierowa odwróciła się, a na jej usta wypłynął cierpki, arogancki uśmiezek. Bałow wiedział, że nie otrzyma innej odpowiedzi.

Do wykonania zamachu na Stalina wybrano majora W.I. Czernowa. -^O świcie trzynastego kwietnia Czernow fechtował się z generałem Żukowem Ćwiczyli w sali koszar, niedaleko Kremla. Były to stare, zbudowane z czerwonej cegły koszary kawalerii, pochodzące jeszcze z epoki carów. Kwaterowało tam wielu oficerów sztabowych.

Na maneżu, gdzie potykali się obaj oficerowie, w dawnych czasach zimą kadeci trenowali jazdę konną. W tej chwili pierwsze światło dnia przedzierało się przez okna wysokiej kopuły, a kilka promieni dotarło aż na uklepaną ziemię, na której oczami wyobraźni można jeszcze było zobaczyć ślady podków.

W ciszy rozlegały się tylko uderzenia metalu o metal. Obie postacie w wywatowanych kamizelkach i grubych rękawicach odstały od siebie o krok i przyglądały się sobie nawzajem przez druciane oczka ochronnej maski. Na ugiętych nogach, z uniesioną lewą ręką, prawą mierzyli w siebie szpadami.

Zaatakował Żuków, cięższy z nich dwóch. Generał przy rozwiązywaniu wszelkich spraw zawsze polegał na swojej sile. Czernow poruszał się wdzięczniej, był szybszy i bardziej zwrotny. Żuków zamarkował wypad. Czernow sparował i sam rzucił się do przodu, co wywołało okrzyk zdziwienia generała.

Obaj znów dali krok do tyłu i pozdrowili się po szermiersku. Żuków zdjął maskę i rękawice.

Z twarzy spływały mu krople potu na kraciatą kamizelkę, też już mokrą Jego wojowniczy charakter nakazywał mu zwyciężać za wszelką cenę, ale szanował dobrych przeciwników i nie miał do nich pretensji, gdy ponosił porażkę.

Czernow też zdjął z twarzy drucianą maskę. Był tylko leciutko spocony. Pełne wargi, grabe jak u jakiegoś afrykańskiego bożka, nadawały mu zmysłowy wygląd.

Ten sztabowy oficer wywiadu słynął z szybkiego wyciągania wniosków, znajomości szczegółów i erudycji w kwestiach historii wojskowości. Studiował literaturę klasyczną i filozofię, uwielbiał operę, napisał też kilka doskonałych artykułów na temat kampanii napoleońskich.

- Czernow, wybierzemy się na przejażdżkę? - spytał Żuków.

Energia najlepszego generała Stalina wydawała się niewyczerpana. Fechtował się z podwładnymi, potem galopował konno aż zwierzę padało, i to wszystko jeszcze przed śniadaniem.

- Dziękuję, towarzyszu generale. Chętnie bym pojechał, ale wcześniej rano mam odprawę, a jeszcze muszę popracować nad mapami.

- Więc jutro. - Żuków wzruszył ramionami i dodał z żartobliwym sarkazmem: - Chyba że na czternastego też zaplanowałeś nie cierpiące zwłoki zajęcia.

- Na czternastego? Ach, nie. To zwykły dzień.

Czernow wrócił na swoją kwaterę, wykapał się w cynowej balii i ubrał w mundur. Potem uczesał gęste piaskowe włosy i włożył okulary, które uwydatniały jego chłodną inteligencję. Czernow robił karierę. Już teraz zwierzchnicy cenili go, choć miał zaledwie trzydzieści pięć lat.

Następnie położył na talerzu gramofonu firmy Wiktrola amerykańską płytę i ustawił ramię membrany z nową igłą. W pokoju rozległ się głos Carusa w kwartecie z „Rigoletta”.

Usiadł przy stole i wyjął z teczki dwa segmenty wskaźnika do map. Połączył je, potem obejrzał dokładnie maleńki otworek, prawie niewidoczny gołym okiem, i gumową nakładkę. Trzymając wskaźnik za dolny koniec, obrócił go dwa razy w kierunku przeciwnym do ruchu

wskazówek zegara. Z koniuszka wyskoczyła dwuipółcentymetrowa igła. W igle było wydrążenie, a jego zawartość wystrzeliwała, gdy nacisnęło się tłoczek.

Tak spreparowany wskaźnik miał posłużyć do zabicia Stalina. Czernow złożył przyrząd i podśpiewywał razem z Carusem. Zastanawiał się, czy to możliwe, by taki talent jak jego objawiał się częściej niż raz na sto lat.

Czernow urodził się w Leningradzie. Przed rewolucją jego rodzice żyli w dobrobycie. Ojciec był inżynierem rolnikiem i zarządzał jedną z carskich posiadłości nad Newą, natomiast matka, Lizawieta Michajłowna, pochodziła ze szlachty. Skończyła z najwyższymi ocenami klasę fortepianu w konserwatorium. Jej przyjaciele uważali, że wyszła za mąż poniżej swojego stanu, mimo że mąż miał dobre stanowisko i szczodłą pensję.

W dzieciństwie Czernow rzadko widywał ojca, którego obowiązki trzymały prawie przez cały rok w carskim majątku ziemskim. Dlatego przebywał głównie z matką. W jego wspomnieniach pozostał obraz kobiety w brokatowej sukni z długimi rękawami i mankietami obszytymi delikatną koronką. Siedziała przy fortepianie austriackiego mistrza Bosendorfera i grała intermezza Brahmsa, a także romantyczne utwory Schumanna. W takich chwilach jej kasztanowe, gęste włosy, upięte w kok na czubku głowy, wydawały się małemu chłopcu miękkie jak mgła.

Po urodzeniu pierwszego syna lekarze ostrzegli Lizawietę Michajłowną, że nie powinna mieć więcej dzieci, więc całą swoją troskę skierowała na jedynaka. Co roku w lipcu wyjeżdżali z miasta na letnisko do własnego domu na wsi. Wysokie okna tego domu wpuszczały do pokoi światło słońca, a za nimi rozciągał się przepiękny krajobraz. Wokół rosły brzozowe lasy, opadające w dół, ku bagnistemu jezioru. W dzień Czernow chodził z matką na jagody, a wieczorami matka czytała mu bajki i śpiewała piosenki. Ubierano go w biały marynarski mundur z prostokątnym białym kołnierzem i krawatem, obszytymi kilkoma pasmami granatowej tasiemki.

Czasami na letnisko przyjeżdżał ojciec i o zmroku, gdy ustępował już upał dnia, pływali łódką po jeziorze.

Wtedy właśnie, w chłopięcym wieku, Czernow poznał białe noce. Słońce nagle zapadało się pod horyzont, niebo i jezioro przybierały kolor perłowej macicy, a w pokojach ich letniskowej willi rozsnuwał się miękki, zamazany blask.

Pobłażano mu we wszystkim, matka wprost go rozpieszczała, ale zasługiwał na to. Ze szkoły przynosił dobre świadectwa, bo był naprawdę zdolny. Cokolwiek przeczytał, zapamiętywał od razu. Matka miała nadzieję, że poświęci się muzyce, ale dość wcześnie

zainteresowała go historia wojskowości, a także szachy. W wieku czternastu lat wygrywał już z największymi mistrzami, a jakaś zagraniczna gazeta obwołała go cudownym dzieckiem.

Niestety, w tym właśnie czasie nastąpił kataklizm. Rewolucja pozbawiła Czernowów środków do życia. Mimo to mieli świadomość, że zmiany są konieczne. Te poglądy uratowały ich przed zemstą nowej władzy, ale i tak burżuazyjna przeszłość na każdym kroku utrudniała im życie. Ojciec, rządca ziemskiego majątku cara, teraz nie mógł znaleźć pracy. Czernow pamiętał, że wkrótce po rewolucji jego matka, cała we łzach, patrzyła przez okno, jak wynoszą fortepian Bosendorfera.

Jedli tylko kaszę gryczaną i wątlusze. Ojciec próbował zapisać się do partii bolszewickiej, by zapewnić żonie i synowi kartki na żywność, ale podanie zostało odrzucone. W tym czasie jego zdrowie zaczęło szwankować. Nie przeżył zapalenia płuc, które dopadło go następnej zimy.

Lizawiecie Michajłownej udało się uzyskać posadę nauczycielki. Uparcie dążyła do tego, by jej syna przyjęto do Komsomołu. W domu nie pozwalała na najmniejszą nawet ironiczną uwagę o nowym ustroju i tłumaczyła synowi, że upadek poprzedniego reżimu był nieunikniony.

- Musisz radzić sobie z życiem takim, jakie jest - mówiła stanowczo. - Przestań myśleć o tym, co mogłoby być.

Jednak czasami w ich nędznym mieszkanku, zwłaszcza w długie zimowe noce, gdy ogień z brzuchatego piecyka rzucał cienie na ściany, wpatrywała się w płomienie i wspominała dawne życie: eleganckie bale w petersburskich pałacach, szelest taftowych sukien z wysokim stanem, panny tańczące z młodzieńcami na lśniących, marmurowych posadzkach i echo muzyki Straussów, unoszące się ku łóżkom kryształowych żyrandoli.

Czernow słuchał, jak matka wspomina dawne czasy, i czuł się rozdarty między lojalnością wobec Komsomołu a pamięcią o dawnym życiu, które rewolucja tak arbitralnie mu odebrała.

Lizawieta Michajłowna dbała jednak o to, by utrzymywać przydatne znajomości. Wśród jej prywatnych uczniów były dzieci rejonowych przewodniczących partii. To wystarczyło, by jej syn został przyjęty do szkoły oficerskiej.

Czernow miał wtedy dziewiętnaście lat. Wyrósł wysoko: miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, a ciało rozsadzała mu energia. Szczupła figura i jasna cera nadawały mu chłopięcy wygląd, chociaż piaskowe włosy zaczęły cofać się przedwcześnie ze skroni. Do czytania używał okularów. Szklą podkreślały zimną inteligencję malującą się w jego oczach.

Wargi miał zbyt pulchne; patrzącemu na tę twarz mogło się wydawać, że ktoś celowo je tak wymodelował. Do ludzi odnosił się z wyższością.

Kiedyś w klasie szkoły oficerskiej, w dyskusji o taktyce Kutuzowa podczas wojen napoleońskich, zaskoczył wykładowcę mówiąc:

- Kutuzow był głupcem. Mógł pobić Napoleona pod Austerlitz. I dlatego nie można mu wybaczyć, że przegrał pod Borodino. Po tej bezczelnej uwadze w sali zapanowała cisza.

- Wydaje ci się, że jesteś takim ekspertem w sprawach taktyki? - zadrwił wykładowca.

- Więc wyjaśnij nam, jakie błędy popełnił Kutuzow. Jestem pewien, że twoi koledzy kadeci wiele się nauczą, gdy zaprezentujesz im swoje genialne przemyślenia.

Czernow podszedł do tablicy i z pamięci narysował dyslokację artylerii i oddziałów piechoty. Potem wyjaśnił, jak należało przygotować bitwę. Mówił z wielką pewnością siebie.

Gdy wrócił na miejsce, wykładowca niechętnie skinął głową.

- Może nawet masz rację, ale zapamiętaj jedno: historia jest jak nieuczciwy kochanek. Zdradza swoje sekrety po fakcie, a nie przed.

W klasie Czernowa był pewien kadet, sierżant, który brał udział w walkach Budionnego przeciw Wranglowi na Krymie. Nazywał się Gritski. Dwa razy zdawał do szkoły oficerskiej, ale nie przeszedł przez egzaminy pisemne. W końcu, dzięki naciskom jego dowódcy batalionu, uczyniono wyjątek i przyjęto go do korpusu kadetów.

Gritski był średniego wzrostu, ale odznaczał się wyjątkowo mocną budową. Rozwinął mięśnie, gdy ładował dwanaście godzin na dobę worki z węglem w kopalniach na Ukrainie. Miał gruby kark, spadziste ramiona i wielkie, zniszczone ręce. Oczka, małe jak ziarenka fasoli, błyszczały nad złamanym nosem, a dzioby po trądziku szpeciły mu policzki. Pochylony nisko nad pulpitem, z głową opartą na ręce, słuchał komentarzy Czernowa.

Wieczorem w sali sypialnej, zatłoczonej piętrowymi pryczami, podszedł do Czernowa, który właśnie polerował buty.

- Kazali, żebyś poszedł do stajni - powiedział.

- Po co?

- W wojsku nie zadaje się pytań - warknął Gritski. - Po prostu wypełnia się rozkazy. Chodź, pokażę ci, gdzie masz się stawić.

Ale gdy weszli do stajni, nikt na Czernowa nie czekał. W powietrzu wisiał zapach paszy i końskiego łajna. Gritski oparł się o jeden z boksów, ręce opuścił luźno wzdłuż boków i paskudnie się uśmiechnął.

- Obserwowałem cię - powiedział. - Jesteś za mądry, a to nikomu nie wychodzi na dobre, bo pokazuje, jak głupi są pozostali.

Czernow patrzył przez Gritskiego tak, jakby go tu nie było, na światła w oknach koszar, widniejące na wzgórzu. Pomyślał, że koszary są bardzo daleko stąd. Już ruszył do wrót stajni, ale Gritski odepchnął się od boksu i zablokował mu drogę.

- Potrzebujesz lekcji dyscypliny - oznajmił Gritski. - Wytłumaczę ci, jak powinien zachowywać się prawdziwy żołnierz. Pokażę ci także kilka sztuczek, których Napoleon na pewno nie znał, Kutuzow zresztą też nie.

Czernow nie znał się na boksie, ale w tej chwili się tym nie przejmował. Ściągnął kurtkę i rzucił ją na belę siana. Nie warto przecież niszczyć munduru. Zdjął również okulary i położył je na kurtce.

Zaczęli krążyć wokół siebie. Uśmiezek zadowolenia ani na chwilę nie schodził z twarzy Gritskiego. Czernow trzymał pięści nisko. Gritski lewą ręką zamarkował zamach, a potem prawą uderzył dwa razy. Gdy Czernow poleciał do tyłu, Gritski wykorzystał okazję i walnął go pięścią w żołądek. Czernow aż cały się zgiął, bo cios pozbawił go powietrza. Kolejne uderzenie posłało go na ścianę boksu. Osunął się po niej i zastygł na czworakach. Wypluł ślinę z krwią, ale zaraz potem zdołał złapać przeciwnika za nogę i usiłował wspiąć się po niej do pozycji stojącej. Gruba pięść jeszcze raz rzuciła go na ziemię. Tym razem nie miał już siły, by chociaż zacząć się podnosić.

- Od teraz - powiedział sierżant - nie będziesz się chwalił przed oficerami. Tutaj ja rozkazuję. Zapamiętaj to, bo jeżeli się nie podporządkujesz, to następnym razem wybiję ci kilka zębów.

Czernow patrzył za kręłą sylwetką kierującą się na szczyt wzgórza, ku oświetlonym oknom koszar. Z trudem podniósł się na nogi i powłókł się do koryta z wodą. Zmoczył chusteczkę i przyłożył ją do oczu. Były opuchnięte i bolały. Ale mimo że dostał takie lanie, już planował odwet.

Następnego dnia podczas zajęć wykładowca zobaczył, w jakim stanie jest twarz Czernowa. Nie skomentował tego, ale wydawał się szczerze ubawiony. Za każdym razem, gdy Gritski spojrzał na Czernowa, w jego oczach pojawiała się drwiąca iskierka. Czernow zaczął rozumieć, jak działa ten system.

Przy pierwszej okazji, chociaż wbrew sobie, postarał się pomóc Gritskiemu. Podczas egzaminów podrzucał mu odpowiedzi na wszystkie trudniejsze pytania. W każdej chwili umacniał autorytet Gritskiego. Tak więc stopniowo stał się dla niego niezbędny i zapewnił sobie bezpieczeństwo. Gritski wziął swojego niedawnego wroga pod kuratelę.

Były sierżant lubił się przechwalać, że żadna kobieta mu się nie oprze. W ostatnich miesiącach kursu oficerskiego zaczął się spotykać z pewną dziewczyną i przysięgał kolegom,

że z nią sypia. Wykombinował sobie sposób na uciekanie z koszar po wieczornym capstrzyku. Jednak nie zawsze mógł się ulotnić, bo niektórzy oficerowie pełniący nocną wartę byli znani z tego, że sprawdzają sale sypialne. Inni po prostu spali w wartowni, gdzie na stojakach trzymano również załadowane karabiny, gotowe do natychmiastowego użycia.

Wieczorem Gritski wpychał szynel pod materac, a wypolerowane buty ustawiał tak, by oficer prowadzący inspekcję dobrze je widział. Kadeci stojący na warcie przed sypialnią wiedzieli, że źle skończą, jeżeli doniosą na Gritskiego. A Gritski wracał przed świtem, gramoląc się przez okno, które Czernow zostawiał uchylone.

Dwa dni przed promocją, nocną wartę pełnił porucznik Orłów. Miał reputację lenia i wiadomo było, że przesypia cały swój dyżur. Godzinę po gaszeniu świateł Gritski wysliznął się z koszar. Ale gdy wrócił nad ranem, okno zastał zamknięte. Poszedł więc do głównego wejścia i starał się niepostrzeżenie minąć wartownię. Liczył na to, że porucznik Orłów będzie spał. Niestety, Orłów, w pełni przytomny, siedział za drewnianym stołem, a lampa rzucała światło na korytarz. Podczas porannego apelu odnotowano nieobecność Gritskiego.

Tego samego popołudnia kadeci z klasy dyplomowej dostali przepustkę do dwudziestej pierwszej. Spora grupka, w której był również Czernow, poszła do burdelu. To Czernow zawiadomił, dokąd się udają. Przed wyjściem zatrzymał się jeszcze w zbrojowni i poprosił o sześć mosiężnych łusek od naboju wystrzelonych z nagana.

- Po co ci puste łuski? - spytał zbrojmistrz.

- Chcę komuś wypłatać figla - wyjaśnił Czernow.

W burdelu, w pokoju na piętrze, tańczyli ze skąpo odzianymi prostytutkami przy muzyce z gramofonu, wiele pili, głośno się śmiali, dym z papierosów wisiał ciężką chmurą pod sufitem. Czernow grał w karty przy okrągłym stole.

Nagle w pokoju zamilkł gwar rozmów, ucichły śmiechy. Czernow podniósł wzrok znad stolika do kart i zobaczył w drzwiach Gritskiego. Gritski był w mundurze, ale na ramionach nie miał epoletów z dystynkcjami kadeta. Rękę oparł o futrynę, dając do zrozumienia, że nikomu nie pozwoli wyjść z pokoju. Potem oderwał się od drzwi i wolnym krokiem podszedł do stolika. Pozostali gracze pospuszczali głowy, tylko Czernow patrzył mu prosto w oczy.

- Postanowili nie dać mi promocji - powiedział Gritski. - Wysyłają mnie do karnego batalionu. Ktoś na mnie doniósł. Myślę, że to byłeś ty.

- Oczywiście, że ja - potwierdził Czernow.

- I przyznajesz się do tego? Wobec nich wszystkich?



- Zrobiłem to dla dobra korpusu - wyjaśnił Czernow. - Nie nadajesz się do dowodzenia w walce. Po pierwsze, jesteś na to za głupi. Po drugie, jesteś tchórzem.

Gritski pochylił się do przodu i walnął pięścią w stół. Po jego twarzy przemknął wyraz całkowitego niezrozumienia, w zdumieniu potrząsnął głową. Ręka bezwiednie zacisnęła się na stosiku żetonów, a potem otworzyła i żetony z brzękiem spadły na podłogę.

- Pokażę ci, kto tu jest tchórzem - powiedział.

- Nie. Ja ci to pokażę - odparł Czernow. - Pasza! - zawołał wysokiego Ukraińca, który pracował w burdelu jako ochroniarz. - Daj mi rewolwer!

Obecni w pokoju kadeci zastygli w bezruchu. Czernow spojrzał ostro na Ukraińca. W jego zachowaniu wyczuwało się naturalną władczość, właściwą dla oficera wydającego rozkazy.

- No? Słyszałeś? Dawaj rewolwer! Biorę odpowiedzialność za wszystko. Nie będziesz miał kłopotów.

Pasza czekał jeszcze chwilę w nadziei, że ktoś się sprzeciwi, ale wszystkie twarze pozostały obojętne. W końcu wyjął rewolwer z kabury i niechętnie podszedł do stołu. Gracze szybko wstali i odeszli na bok.

- Siadaj - powiedział Czernow do Gritskiego, biorąc rewolwer od Paszy. Jak wiedział z poprzednich wizyt w burdelu, był to nagan kalibru 7,62 milimetra. | Otworzył magazynek i wyrzucił sześć okrągłych naboí, a na ich miejsce włożył sześć pustych łusek, które wyciągnął z kieszeni. Potem załadował jeden prawdziwy nabój, który wyglądem nie różnił się od łusek, i kilka razy obrócił bębenek. - Sześć ślepych naboí, jeden prawdziwy - oznajmił. - Patrz, ja pierwszy podejmuję wyzwanie.

Wycelował nagan w swoją skroń i pociągnął za cyngiel. W pokoju rozległ się tylko głuchy odgłos.

- Teraz twoja kolej - stwierdził. - Pięć do jednego, że pozostaniesz żywy. Oczywiście twoje szanse zmniejszają się z powodu prawa średnich. Sam musisz to obliczyć. Tym razem nie podpowiem ci, jaki jest wynik. No, bierz rewolwer.

Gritski patrzył na Czernowa przez długą chwilę. Znow znaleźli się w ciemnej stajni, ale teraz stali na krańcowo różnych pozycjach.

Ludzie w pokoju milczeli, zarówno z fascynacji, jak i ze strachu. Igła gramofonu z trzaskiem przejechała do końca płyty, ale nikt się nie ruszył, by ją zdjąć. Twarz Gritskiego nabrała bladożółtego koloru. Odbezpieczył bębenek i kilka razy go obrócił. Po chwili, która wydawała się wiecznością, przyłożył lufę do skroni i nacisnął spust. Łoskot metalu o metal

zabrzmiał tak głośno jak uderzenie młotem. Gritski wzdrygnął się, a na jego ustach pojawił się słaby uśmiech ulgi.

Czernow nie czekał ani chwili. Natychmiast podniósł nagan, przycisnął lufę do skroni i zwolnił spust. Nawet nie fatygował się, by przekręcić bębenek. Jeszcze raz nic się nie stało. Cała scenka trwała nie dłużej niż dwie sekundy, tylko tyle, ile było potrzeba na wycelowanie.

- To po prostu kwestia szczęścia - oświadczył Czernow. - A szczęście w znacznym stopniu zależy od znajomości rachunku prawdopodobieństwa. Według moich obliczeń istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że następna kula rozwali ci mózg.

Gritskiemu opadł na czoło kosmyk włosów. Chociaż w pokoju nie było zbyt ciepło, całą twarz miał skąpaną w pocie.

Popatrzył na nagan. Uplłynęła długa chwila, zanim wziął go do ręki. Podnosząc broń do skroni wydawał się zagubiony w myślach, oszołomiony. Palec zacisnął się na cynglu, ale potem chyba napotkał jakiś opór. Rewolwer drżał pod wpływem dwóch przeciwstawnych sił: pragnienia, by okazać odwagę, i strachu przed śmiercią. Potem lufa odsunęła się od głowy Gritskiego i, jakby poruszana własną wolą, wycelowała w Czernowa. Gritski zachowywał się jak człowiek we śnie. W pokoju dały się słyszeć ciche okrzyki. Któraś prostytutka jęknęła. Kilku kadetów skoczyło do przodu, wołając do Gritskiego, żeby nie strzelał. Tylko Czernow patrzył spokojnie na przeciwnika, a kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu pogardy.

- Widzisz? - powiedział. - Jesteś tchórzem.

W Gritskim coś pękło. Rewolwer w jego ręku stał się nieprawdopodobnie ciężki i zaczął opadać w dół, aż wreszcie uderzył o stół. Któryś kadet wyjął delikatnie broń z bezwolnej ręki Gritskiego, a on, patrząc w podłogę, wyszedł z pokoju wolnym krokiem.

Czernow wziął rewolwer, przyłożył do skroni i nacisnął cyngiel. Iglica znów opadła głucho. Na ustach Czernowa nadal malował się uśmiech pogardy i pozostał tam nawet wtedy, gdy koledzy, krzycząc wszyscy naraz, otoczyli go ciasnym kołem.

Trzynastego kwietnia rano, podczas gdy Czernow przygotowywał mapy na odprawę, Ryder i Kryłow siedzieli sami w mieszkaniu Kiszkina, znajdującym się w pobliżu parku Sokolnickiego. Sierowa wyszła wcześniej, by stanąć w kolejce do sklepu spożywczego.

Ryder zagotował na elektrycznej maszynce wodę do golenia, rozrobił pędzlem mydło w miseczce, a potem oskrobał twarz brzytwą. Nie miał na czym jej naostrzyć, więc golenie szło mu bardzo pomału. Tyle że w ciągu tego tygodnia oczekiwania wszystko, cokolwiek robił, wydawało mu się równie wolne.

Kryłow siedział przy oknie na wąskiej kanapce z wyłazającymi sprężynami i obdartym włosiem. W rękach trzymał otwarte Zmartwychwstanie Tołstoja, ale myślami znajdował się

daleko stąd. Ryder zobaczył, że zamyka książkę i wstaje z kanapki. Kryłow wziął krzesło, ustawił je koło miski, przy której Ryder się golił, usiadł, położył tomik na kolanach i zapytał:

- Ciekawe, kto ma to zrobić.
- Co zrobić? - nie zrozumiał Ryder.
- Zabić Stalina.

Brzytwa zatrzymała się w pół ruchu. Ryder wyprostował się i kawałkiem papieru wytarł mydło z ostrza.

- Co za różnica? Ważne jest tylko to, żeby mu się powiodło.
- Czasami chciałbym, żebyśmy mogli się obyć bez morderstwa.
- W Jekaterynburgu nie przejmowali się tym, że mordują.
- A jednak...

Ryder odwrócił się od lusterka i spojrzał na Kryłowa.

- Maksymie Nikołajewiczu - powiedział. - Nie przejmuj się tym, czego i tak nie możesz zmienić.

- Chyba masz rację.

Ryder znów zabrał się za skrobanie policzków. On miał inne zmartwienia. Nie dawało mu spokoju nagłe przeniesienie Własowa z frontu moskiewskiego na front leningradzki. Dlaczego akurat teraz? To było niepokojące. Może od samego początku ktoś niepowołany wiedział o wszystkim? Ale jeżeli tak, to dlaczego NKWD nie zgniotło spisku? Czy dlatego, że jeszcze nie zidentyfikowali zamachowca?

- Zastanawiam się, którzy generałowie biorą w tym udział - odezwał się Kryłow po chwili milczenia. - Może Żuków? Mówi się, że ma dostęp do Stalina.

- To nie ma znaczenia. - Ryder popatrzył w lusterko. - Może się przyłączyć po fakcie. Zresztą, dlaczego miałby tego nie zrobić? Przecież Własow powiedział, że mają wszystko do wygrania, a nic do stracenia.

Inni generałowie... A jeżeli tylko Własow w tym uczestniczy? Pomyślał o losie Kryłowa. Będą go wykorzystywać tak długo, jak długo okaże się przydatny do ich celów jako symbol szlachetnych intencji. Czy rzeczywiście cisi posiadają ziemię? Ale on został wydziedziczony. Miał niewiele, a i to jeszcze zostanie mu zabrane.

Kryłow spojrzał na niego tak, jakby wiedział, o czym myśli.

- Nie wierzysz w ich obietnice, prawda? - spytał. - Myślisz, że koniec końców i tak nie się nie zmieni? Ryder wzruszył ramionami.

- Maksymie Nikołajewiczu, świat zmienia się bez przerwy.

Zamilkli. Ryder zamoczył szmatkę w wodzie i wytarł z twarzy smugi mydła. Tępa brzytwa zadrasnęła mu skórę, więc przez chwilę przyciskał gałganek do skaleczenia, z którego ciekła krew. Po jakimś czasie Kryłow znów się odezwał:

- Często się zastanawiałem, co ojciec mógłby zrobić dla Rosji, gdyby ratunek przyszedł na czas. Sądzę, że zbyt późno zrozumiał uwarunkowania historii. Ostatnie fotografie za życia zrobiono mu w Carskim Siole. Na jego twarzy maluje się rezygnacja, ale także poczucie godności. Mówiono, że pracował razem ze swoimi gwardzistami w ogrodzie warzywnym. Mam ci powiedzieć, co naprawdę myślę? Uważam, że gdyby restaurowano monarchię, przekazałby znaczną część uprawnień Dumie. I myślę, że jego mordercy o tym wiedzieli, i właśnie tego najbardziej się bali.

- Nie możesz zająć miejsca swojego ojca - powiedział Ryder i włożył koszulę.

- Rzeczywiście, nie mogę, ale chciałbym kontynuować dzieło, którego on już nie zdążył wprowadzić w życie. Był człowiekiem honoru...

Palce Rydera zastygły na zapinanym właśnie guziku. Pomyślał o własnym ojcu, stojącym nieruchomo na baczność. „Słyszysz wojskową muzykę?”

- Byliśmy z matką w Paryżu - kontynuował Kryłow - gdy nadeszły wiadomości o Jekaterynburgu. Płakała całymi tygodniami. Wiesz, co wydaje mi się dziwne? Miała tylko pięćdziesiąt lat, tyle, ile ja teraz. Żyła jeszcze dwanaście lat, ale wydaje mi się, że jej życie skończyło się w dniu, w którym dowiedziała się o śmierci cara. Pochowana jest w Paryżu, na zboczu wzgórza skierowanym na wschód, w stronę Rosji...

W południe wróciła ze sklepu Sierowa. Stała w trzech kolejkach, ale nie dostała ani jarzyn, ani konserwy mięsnej. Przyniosła tylko bochenek chleba i trochę mąki z trocinami, którą zamierzała przesiać.

- Mamy jeszcze kilka liści kapusty - powiedziała. - Ugotuję zupę.

Senne popołudnie ciągnęło się z irytującą powolnością. Wcześniej zjedli obiad, Ryder wypalił przy oknie papierosa. Wreszcie zmierzch zaróżowił szyby. Potem przysza ciemność i miasto stało się niewidoczne. Na bezchmurnym niebie rozblęły pierwsze gwiazdy.

- Antonie Stiepanowiczu - powiedział Kryłow po rosyjsku - co nam wróży ten układ gwiazd?

- To nie gwiazdy decydują o naszym losie - odpowiedział Ryder. W półmroku Sierowa uśmiechnęła się, słysząc tę odpowiedź, ale nie odezwała się ani słowem.

Dochodziła dziesiąta rano trzynastego kwietnia, gdy Czernow przyszedł do sali konferencyjnej Stalina. Przy drzwiach zrewidowali go dwaj gwardziści. Jak zwykle sprawdzili zawartość teczki i kazali wyjąć rozłożony na dwie części wskaźnik do map.

- Mój kijek - powiedział z uśmiechem. - Trzymał oba elementy, podczas gdy jeden z gwardzistów pomacał pustą teczkę. Gdy skończył, skinął Czernowowi głową i pozwolił mu przejść.

W wysokim pokoju z dębową boazerią stał pośrodku długi stół, otoczony krzesłami. Na ścianie obok portretów Marksa, Engelsa i Lenina wisiały także portrety Kutuzowa i Suworowa, bohaterów wojen z Francją i Turcją. Czernow wolałby widzieć tu twarze Metternicha i Masseneta, ale artystyczny gust Stalina zadowalał się podobiznami bohaterów rewolucji i dawnych wojen.

Tego ranka Czernow miał poinformować o sytuacji na wszystkich frontach wojny Georgija Malenkowa, zastępcę i doradcę Stalina, a także kilku mniej ważnych komisarzy. Ma zwięźle opowiedzieć o działaniach radzieckich i niemieckich armii od Zatoki Fińskiej do Morza Azowskiego. Wieczorem następnego dnia przekaże te same wiadomości Stalinowi i członkom Stawki. Malenkow zażądał, by Czernow wcześniej podał wszystkie wiadomości jemu samemu, i nietrudno było zgadnąć, dlaczego mu na tym zależało. Chciał być dobrze poinformowany, by wyrzeć odpowiednie wrażenie na Stalinie.

Gdy Malenkow wszedł do sali, wszyscy powstali z miejsc. Szef spóźnił się o dwie minuty i dwadzieścia sekund, zauważył Czernow. Jutro wieczorem ten krępy, niski mężczyzna przybiegnie na czas. Stalin nie lubi czekać. Jego doradca więc skromnie usiadł przy stole, oczy niknące w fałdach tłuszczu będzie miał spuszczone, a na twarz przywołał wyraz służalczego oddania.

Ale dziś on był tu władcą. Zasiadł w fotelu Stalina tak, jakby to miejsce mu się należało z natury. Emanowała z niego aura władzy. Skinął głową jak jakiś car: można zaczynać.

Czernow omawiał sytuację spokojnie, bezbłędnie i bez zdenerwowania. Mówił nie zaglądając do notatek. Jego pamięć do szczegółów zawsze zadziwiała słuchaczy. Imponował tym nawet Stalinowi.

Stukając wskaźnikiem w mapę, starał się wyobrazić sobie, że u szczytu stołu konferencyjnego siedzi Stalin. Odbywał teraz próbę kostiumową przed jutrzejszym przedstawieniem.

Gdy skończył, nikt nie zadawał pytań. Czernow poszedł po swoją teczkę, którą zostawił pod portretem Lenina, zatrzymał się i zamknął zamek. Na ogół po zebraniu Stawki składał wskaźnik na pół. Jednak dziś pozostawił go otwarty na całą długość. W wyobraźni poruszył nim tak, jak będzie to musiał zrobić jutro, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, ale nie wymierzył go w wymyślonego wroga.

Oficerowie, zaprzątnięci dyskusją o tym, co właśnie usłyszeli, nie zwracali na niego uwagi. Jutro wyjdzie drzwiami znajdującymi się po lewej, za fotelem Stalina, na którym obecnie siedział Malenkow. Teraz ruszył właśnie tam. Minął Malenkowa. Nad kołnierzem munduru zastępcy Stalina zobaczył fałdy tłuszczu. Czernow tak się skoncentrował, że prawie usłyszał puls w tętnicy szyjnej zastępcy i, jak chirurg podczas operacji, widział dokładnie, gdzie ma wbić igłę.

O piątej po południu tego samego dnia Czernow znalazł się na skwerku, na który kilka dni temu Bałow przyprowadził Nataszę. Podszedł do drzwi antykwariatu i wszedł. Nad drzwiami rozległ się dźwięk dzwonka, potem szelest odsuwanej zasłony z koralików. W mroku słabo oświetlonego sklepu pojawiła się Natasza.

- Przyszedłem po popiersie Apollina - powiedział Czernow.

- To nie pan je tu zostawił - zauważyła.

- To prawda. Ale czy udało się wam je skleić?

- Tak, jednak pozostały wielkie rysy. Może chciałby pan, żebyśmy poszukali dla pana innej, podobnej rzeźby?

- Jestem przyzwyczajony do tego, że popiersia Apollina mają skazy - odparł Czernow, kończąc wymianę umówionych haseł.

Natasza cofnęła się za zasłonę. Czernow słyszał, jak idzie po schodach. Wróciła chwilę później, niosąc popiersie - puste w środku - i postawiła je na ladzie.

- Fiolki są wewnątrz - szepnęła.

- Gdzie?

- Przyklejone do dna.

- Co to za trucizna?

- Jad gabońskiej żmii.

- Jak długo trzeba czekać, by zadziałał?

- To zależy. Jeżeli trafi się w naczynie krwionośne w głowie, kilka minut. Wtedy nawet mała dawka okaże się śmiertelna.

Czernow wpatrzył się w alabastrową twarz. Na czasce widniały rysy po klejeniu. Wziął popiersie w ręce i wyszedł ze sklepu.

Na ulicy chłodny wiatr owiewał mu twarz. Pomyślał o tym, jak kark Malenkowa wystawał znad ciasnego kołnierza munduru. Malenkow byłby łatwym celem, jednak ze Stalinem pójdzie trudniej. Stalin pochodził z Tyflisu w Gruzji, a Gruzini są ostrożni i podejrzliwi, jak Beria.

Przystanął na skwerku i uśmiechnął się do kwietniowego księżycy. Podobała mu się myśl, że posklejany Apollo przyniesie Stalinowi śmierć. Nadawało to całemu wydarzeniu wymiar starożytnej tragedii.

Teraz wróci do koszar, posłucha Carusa, poczyta Marka Aureliusza i przestanie myśleć o Gruzynie, który miał być celem jego zamachu.

‘„Trzynastego kwietnia o drugiej nad ranem NKWD aresztowało Szewczenkę. J. Został przewieziony do izolatki w więzieniu na Łubiance.

Do przesłuchania zatrzymanego Bałow wyznaczył swoich dwóch najlepszych śledczych, Lariczewa i Krenka. Mieli maglować Szewczenkę na okrągło przez całą dobę.

Lariczew miał twarz w kształcie gruszki i miękkie, białe ręce. Jakieś zaburzenia hormonalne spowodowały, że broda ledwo mu rosła. Uśmiech cherubina odsłaniał zepsute zęby. Kolonie bakterii wżerające się w szkliwo były starym tematem docinków. Uważano, że Lariczew tylko ze strachu przed wiertłem nie może się zdobyć na wizytę u dentysty.

Natomiast Krenek był niski i przysadzisty. Nazywano go „Mechanik”. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że z tych dwóch to właśnie jego sadystyczną gorliwość trzeba czasami hamować.

W rzeczywistości to Krenek był inteligentniejszy, a ból podczas przesłuchań zadawał z całkowitą obojętnością. Nie sprawiało mu to przyjemności ani nie powodowało wyrzutów sumienia. Natomiast Lariczew o anielskim wyglądzie z radością torturował ludzi.

- Macie trzydzieści sześć godzin, by wydobyć z niego prawdę - powiedział im Bałow.

- Nie obawiajcie się - odparł Krenek. - Zacznie mówić o wiele wcześniej - obiecał.

Normalnie przesłuchania trwały całymi tygodniami. Więźniowi nie pozwalano spać, głodzono go, a nie kończące się pozbawienie wolności okazywało się tak samo dobrym narzędziem tortur jak gorący drut wkładany do nosa. Należało doprowadzić więźnia do tego, by sam uznał, że naprawdę popełnił przypisywane mu przestępstwo, bo w tym właśnie kryła się natura zbrodni nazywanej polityczną herezją.

Ale w przypadku Szewczenki brakowało czasu na gierki i subtelności. Informacja znajdowała się w zasięgu ręki, należało tylko ją wyrwać, jak chory ząb z dziąsła, i właśnie dlatego Bałow wybrał do tego zadania Krenka. Krenek był ekspertem w zadawaniu bólu. Łatwo znajdował odpowiedni nerw albo łamał kość jednym uderzeniem pięści. Poza tym miał instynkt lekarza, jeśli chodzi o nasilenie bólu, jaki człowiek może znieść i nie stracić przytomności.

Ale czternastego rano Bałow miał powody do niepokoju. Minęła już cała doba, a Szewczenko niczego nie powiedział.

Bałow siedział przy biurku i nerwowo bębnił palcami w blat. Nie mógł czekać dłużej. Trzeba zawiadomić Stalina. Śledztwo zostanie Bałowowi odebrane. Straci okazję, jaka zdarza się raz w życiu! Może nawet dostać naganę za to, że wcześniej nikogo nie zaalarmował. Wszystkich ogarnie panika i śledztwo w tych ostatnich godzinach nic już nie da, a spiskowcy dowiedzą się, że zostali wykryci, przyczają się i będą czekali na możliwość podjęcia rzeczy od nowa.

Jednak nie powinien zwlekać. Stalin musi się dowiedzieć. Najkrótsza droga wiodła przez generała Własika, który miał stały dostęp do Poskrebyszewa, szefa osobistego sekretariatu Stalina.

Bałow dwa razy próbował się dodzwonić, ale nie zastał generała. Przy trzeciej próbie słuchawkę podniósł pułkownik A.W. Andriejew, jeden z zastępców Własika. Jego głos brzmiał rzeško, jak u człowieka skutecznie załatwiającego nawet najtrudniejsze sprawy.

- Generał Własik wyjechał z Moskwy i ja go zastępuję.

- Kiedy wraca? - spytał Bałow.

- Nie wiem dokładnie - odparł Andriejew. - Jutro albo pojutrze. W jakiej sprawie dzwonicie?

Co za pech! Od czego tu zacząć? Bałow chwilę zbierał myśli.

- Prowadzona jest pewna operacja wojskowa. Jej kryptonim to „Szary Wilk”. Czy słyszeliście o niej?

- „Szary Wilk”? - powtórzył Andriejew. - Nie.

Może jednak okaże się, że nieobecność Własika wyjdzie mi na korzyść, pomyślał Bałow. Mógł utrzymywać, że poinformował biuro szefa ochrony o zagrożeniu, ale nie potraktowano go poważnie.

- Mamy powody, by sądzić - kontynuował - że pewni zdradzieccy oficerowie wmieszali się w działalność kontrrewolucyjną.

- O kogo chodzi?! - wykrzyknął Andriejew. - Podajcie nazwiska!

Bałow opowiedział o sprawie tak, jakby sam w nią nie wierzył. Na koniec dodał:

- Pewne oznaki wskazują, że coś może się wydarzyć dziś wieczorem, oczywiście jeżeli naprawdę istnieje jakiś spisek.

- Zamach na towarzysza Stalina? - wyjąkał Andriejew. - To nieprawdopodobne. Przecież on dziś w ogóle nie wyjeżdża z Kremla. Mam jego rozkład zajęć.

- Może mimo wszystko lepiej podwoić warty? - zaproponował Bałow.

- O dwudziestej jest narada Stawki. Wątpię, by przy stole konferencyjnym... albo pod nim zasiadał morderca.



- Cieszę się, że tak myślicie. Zresztą już kilka tygodni temu generał Własik poinformował o naszych podejrzeniach towarzysza Poskrebyszewa, ale jak na razie nic się nie stało.

- Macie jeszcze jakieś inne informacje, które mogłyby się przydać? - spytał Andriejew.

- Jeżeli dowiem się czegoś, zaraz do was zadzwonię - obiecał Bałow.

Rozmowa z Andriejewem była dobrym pomysłem. Teraz Bałow zyska jeszcze co najmniej sześć godzin na działanie bez tego, żeby ktoś mu się wtrącał. Andriejew raczej nie pójdzie do Poskrebyszewa, zanim nie porozumie się z Własikiem.

Gdzie może być Własik? - zastanawiał się Bałow. Wyjechał z miasta? Na ogół wyjeżdżał tylko razem ze Stalinem, a wtedy podróżowali w konwoju wielkich czarnych packardów z kuloodpornymi szybami. Nieobecność generała trochę niepokoiła Bałowa. Zaczęła go gryźć zazdrość, bo może chodziło tu o spotkanie z Nataszą.

Rozmyślał tak jeszcze przez jakiś czas, a potem zadzwonił do garażu, kazał sobie przygotować samochód i pojechał do sztabu generała Siniłowa, wojskowego komendanta Moskwy. Siniłow w towarzystwie trzech komisarzy prowadził inspekcję fortyfikacji otaczających stolicę. Bałow zorganizował to naprędce, zaraz po aresztowaniu Szewczenki. Inspekcja zajmie generałowi dobre dwanaście godzin.

W bunkrze dowódcy Bałow przestudiował pozycje obronne na mapie, a potem zwrócił się do starszego adiutanta:

- Czy w ciągu najbliższej doby do miasta wejdą jakieś nowe jednostki? Adiutant miał długi nos i dwie pionowe bruzdy na policzkach, co nadawało mu pozory arystokratycznej wyższości.

- Nowe jednostki? - powtórzył. - Nie. Spodziewamy się tylko wojsk do złuzowania tych, które tu są już od dawna. Przybędą pociągiem.

- Żadnych wojsk pancernych? A może jakieś oddziały odejdą z moskiewskiego frontu?

- Nikt nas o niczym takim nie powiadamiał. - Adiutant zmarszczył czoło. Najwyraźniej pytania oficera NKWD złościły go.

Przez szczeliny obserwacyjne bunkra wpadało trochę światła, rzucającego jasne plamy na belki sufitu i ściany. Na zewnątrz i na dachu leżały w stosach o wysokości metra worki z piaskiem. Z belek wydzielał się zapach kreozotu, którym go zaimpregnowano.

- Czy w ostatnich dniach przechodziły tędy jakieś większe oddziały? - dopytywał się Bałow.

- Nie.

- A co z waszymi własnymi jednostkami pancernymi?

- Od dłuższego czasu stoją na tych samych pozycjach.

Bałowa drażniły te niechętne odpowiedzi. Popatrzył ostro na adiutanta, nie tyle, żeby napędzić mu strachu, lecz żeby znaczenie tego, co zaraz powie, zostało dobrze zrozumiane.

- Zostawię wam mój numer telefonu. Żądam, byście mnie informowali o każdym większym ruchu wojsk. Osobiście jesteście za to odpowiedzialni. Nie chciałbym znaleźć się na waszym miejscu, jeżeli jakikolwiek oddział się tędy prześliznie, a wy mnie nie powiadomicie. Zrozumiano? do czwartej Bałow był z powrotem w swoim gabinecie na Łubiance. Aresztowanie Kryłowa i Rydera powierzył oddziałowi NKWD pod dowództwem majora Sirena, doświadczonego oficera służb bezpieczeństwa. Operacja została opracowana z wielką starannością, posłużono się przy tym planami budynku, a nawet planem samego mieszkania.

Bałow po raz ostatni omówił z Sirenem wszystkie szczegóły.

- Koniecznie musicie wziąć ich żywcem - ostrzegł. - Trupy do niczego nam się nie przydadzą.

Gdy Siren wyszedł, Bałow udał się do piwnic. W słabo oświetlonym korytarzu rozchodził się smród zionący z wiader na odchody, stojących w każdej celi. Bałow posłał strażnika po Krenka.

Po chwili usłyszał odległy łoskot żelaza i echo zbliżających się kroków. Gdy śledczy doszedł do Bałowa, ten zobaczył, że jego twarz i szyja lśnią od potu.

- Nic? - Bałow zadał pytanie, ale od razu mógł wyczytać odpowiedź ze zmęczonej twarzy Krenka.

- Ten Szewczenko to wyjątkowo odporne bydlę. - Krenek pokiwał głową. - Jeszcze nigdy nie miałem do czynienia z kimś takim jak on.

- Nie tego chciałem się dowiedzieć - warknął Bałow.

- Zadaliśmy mu tyle bólu, że co chwilę traci przytomność. Każdy inny by już pękł - tłumaczył się Krenek. - Musieliśmy dać mu odpocząć, bo bałem się, że serce mu nie wytrzyma i umrze. Nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałem. Będę potrzebował więcej czasu...

- Nie ma czasu.

Krenek rzucił przełożonemu spojrzenie, w którym malowała się zarówno złość, jak i poczucie porażki. Bałow uśmiechnął się. Byli do siebie tacy podobni. Żaden z nich nie potrafił pogodzić się z klęską. Ale taka postawa zakłóca zdolność do jasnego osądu wydarzeń.

- A co z jego żoną i córką? - spytał Bałow.

- To nasza ostatnia możliwość. - Krenek wzruszył ramionami. - Chciałem ją wykorzystać w razie ostateczności.

- Sprowadź je od razu - rozkazał Bałow. - Nie możemy czekać na informacje ani chwili dłużej.

/Czternastego kwietnia o piątej po południu Ryder i Kryłow siedzieli sami w mieszkaniu Kiszkina. Pół godziny wcześniej Sierowa pożegnała się i powiedziała, że przynosi się do bezpiecznego mieszkania na placu Komsomolskim. Obaj mężczyźni patrzyli przez okno, jak znajoma postać wchodzi do parku, idzie pod drzewami mokrymi od wiosennego deszczu i po chwili niknie w oddali.

- Jak myślisz, nic jej się nie stanie? - spytał Kryłow.

- Potrafi o siebie zadbać - uspokoił go Ryder.

Ulicą przejechał konwój wojskowych ciężarówek, łoskocząc o bruk.

- Ciekawe, czy oni też należą do spisku - zastanawiał się Kryłow.

- Niedługo się dowiemy.

Niebo znów się zachmurzyło. Spadł obfity deszcz, utrudniający obserwację ulicy.

- Spójrz. - Kryłow przyszedł z drugiego pokoju. - Sierowa zostawiła swój wisiołek.

- Po prostu zapomniała.

- Będzie jej przykro.

- Zachowaj go - poradził Ryder. - Wkrótce znów ją spotkamy. Kryłow pokiwał głową.

- Oczywiście.

Ryder spojrział na ozdobę zwisającą z wyciągniętej ręki Kryłowa. Widok tego złotego cacka przeniósł go nagle przed gablotę u jubilera na Regent Street w Londynie. Pośród refleksów światła widział inny wisiołek, leżący w otwartym aksamitnym pudełeczku. - Ten, proszę pana? - upewnił się jubiler. Kupował ten klejnocik dla żony.

- Może uda mi się znaleźć podobny. - Głos Kryłowa oderwał go od wspomnień.

- Co takiego? - spytał Ryder nieprzytomnie.

- Rosyjski wisiołek, taki jak ten.

- Po co?

- Na prezent - wyjaśnił Kryłow. - Chciałbym go dać twojej żonie. Nie wiem nawet, jak ma na imię.

- Catherine.

- Nigdy o niej nie mówisz.

- Nie żyje.

- Och, przepraszam. - Na brodatej twarzy Kryłowa pojawił się wyraz szczerego żalu. - Nie chciałem przywoływać bolesnych wspomnień, ale wiem o tobie tak mało. A wydaje mi się, że skoro mamy przejść przez to wszystko razem, powinienem wiedzieć więcej...

- Maksymie Nikołajewiczu - powiedział Ryder poważnie - lepiej, żebyś nic o mnie nie wiedział.

Niebo było cały czas pokryte chmurami, deszcz walił o jezdnię i chodniki. Uliczne latarnie, każda z trzema żarówkami, nie paliły się z powodu zaciemnienia, wystawy sklepów zasłonięte czarnym papierem, przy niektórych leżały stosy worków z piaskiem. W słabym świetle schyłku dnia na ulicy majaczyło kilka niewyraźnych postaci.

- Może przygotuję jakiś posiłek - zaproponował Ryder.

- Nie jestem głodny - odparł Kryłow. - Chyba zdenerwowanie odbiera mi apetyt.

- Ale nie wiadomo, kiedy znów będziemy mieli okazję coś zjeść.

- To prawda - zgodził się Kryłow.

Zjedli ostatni kawałek kielbasy, który Sierowa przyniosła rano ze sklepu, i czarny chleb. Chleb był twardy, więc moczyli go w bradze. Po posiłku Ryder został przy stole i palił papierosa. Kryłow dwa razy podchodził do okna, wyglądał na ulicę i znów siadał obok towarzysza.

- Za wcześnie - odezwał się Ryder. - Trzeba jeszcze trochę poczekać. Później obaj stanęli przy oknie i patrzyli w wieczorne niebo. Kryłow uśmiechnął się w zamyśleniu i powiedział:

- Kiedyś, po wojnie, chciałbym pojechać do domu.

- Do waszej willi koło Leningradu?

- Może jej już nie ma. Nie jestem też wcale pewny, czy znalazłbym ją.

- Ktoś musi wiedzieć. Istnieją przecież jakieś stare dokumenty.

- Najlepszą porą byłaby jesień. Gdy już spadnie pierwszy śnieg i jest suchy jak proch, a niebo ma zimny niebieski kolor. Właśnie tak to pamiętam.

- Tak było, gdy ostatni raz widziałeś ojca? - spytał Ryder. Smutne spojrzenie Kryłowa pobiegło gdzieś na zachód, w niezmierną dal. Po chwili odpowiedział:

- Antonie Stiepanowiczu, może mógłbyś mnie kiedyś odwiedzić? Poszlibyśmy do lasu. Pokazałbym ci, gdzie stał wilk.

Gromadziło się coraz więcej burzowych chmur. Ulica ginęła w ciemnościach, w pokoju panował mrok. Kryłow usiadł przy stole. Był cały spięty, spojrzenie miał nieobecne.

- Nie przychodzą - mruknął. - Coś poszło źle.

- Może jednak nie - odparł Ryder od okna.

Jakiś mężczyzna przeszedł przez jezdnię, wszedł do parku i usiadł na ławce. Ryder obserwował go i zastanawiał się, dlaczego ktoś przebywa na dworze w takim deszczu. Ale może ten człowiek po prostu czeka na tramwaj. Po zmroku jeździły nieregularnie albo wcale.

Ulicą wzdłuż domu przejechał samochód, zakręcił, przyćmione światła zajaśniały przez chwilę na wystawie szewca, a później czarny kształt zniknął w przecznicy.

Ławka w parku opustoszała. Potem Ryder zobaczył ogieniek papierosa, który nagle rozjarzył się pod drzewem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Dwa razy.

- Wujek Wania - szepnął cichy głos. Nie należał do Szewczenki. - Potem kolejne dwa stuknięcia.

Kryłow wstał, jego ręce nerwowo zacisnęły się na wisiorku. Ryder wskazał mu gestem, że ma zostać w pokoju, i sam poszedł otworzyć.

Uderzenie w splot słoneczny pozbawiło go tchu. Zatoczył się do tyłu, ręce przyciskał do żołądka. Do mieszkania wpadli jacyś ludzie. Ryder słyszał okrzyki i dudniące buty. Usiłował sięgnąć po pistolet, ale dostał cios w głowę i widział już tylko srebrzystą pustkę.

Po chwili oprzytomniał. Ktoś świecił mu latarką w twarz. Zamrugał w oszołomieniu. Ręce miał skute za plecami, włosy zwisały mu na oczy. Światło latarki drażniło wzrok jak koła, które widzi się w blasku słońca, gdy wyjdzie się z ciemności. Prawie czuł gorąco żaróweczki. Przez te koła zauważył schyłego mężczyznę. Nie mógł rozróżnić jego rysów. Mężczyzna krzychał:

- Co on zażył?! Co on zażył?!

Ryder odwrócił głowę i zobaczył Kryłowa. Leżał na podłodze z rozrzuconymi kończynami. W pierwszej chwili pomyślał, że bito go i kopano. Potem ujrzał nienaturalnie bladą twarz; oczy patrzyły w pustkę, zęby były zaciśnięte, z ust wypływała biała piana. Ludzie stłoczeni wokół Kryłowa usiłowali go przywrócić do życia. Dwóch pobiegło na korytarz. Inny zdarł z siebie płaszcz i podłożył Kryłowowi pod głowę. Ryder słyszał podniecone głosy i okrzyki, ale nie mógł zrozumieć słów. Jednak gdy po twarzy Kryłowa przestały przebiegać spazmy, panika napastników wzrosła. Na spodniach Kryłowa rozlała się ciemna plama. Stracił kontrolę nad zwieraczami.

- Co on zażył? - Czyjaś pięść uderzyła Rydera w twarz. Poczul w ustach krew.

Gdy go przeszukiwali, znaleźli kaburę z pistoletem przypiętą do łydki. W jednym z naboji była kapsułka z cyjankiem.

- Też to miał? - Mężczyzna, który uderzył Rydera, pokazał mu kapsułkę. - Połknął to?

Ryder nie odpowiedział. Enkawudziści przeklinali go i bili. Potem zgaszono światło. Oficer wykrzyczał rozkaz. Dwóch ludzi podniosło Rydera na nogi. Usta zakleili mu taśmą. Najwyraźniej ich przełożeni życzyli sobie, by obaj więźniowie pozostali przy życiu. A teraz, skoro mieli już tylko jednego, postarali się, by oczy rozszerzone i nieruchome. Nigdy już nie zobaczyły szarego wilka ani śniegu na wsi w pobliżu Leningradu.

Za dwadzieścia ósma wieczorem Bałow wszedł z Krenkiem do pokoju, w którym przesłuchiowano Szewczenkę. W pomieszczeniu bez okien unosił się przykry zapach. Na długim stole stały dwa samochodowe reflektory na baterie. Oświetlały twarz radzieckiego pułkownika. Przesłuchiwany siedział skurczony, nieprzytomny, na ciężkim dębowym krześle przytwierdzonym do podłogi. Skórzane pasy przytrzymywały jego nadgarstki i kostki u nóg, a także pierś. Na gołym, umięśnionym torsie widniały plamy krwi i wymiocin, a kał spływał po nogach na podłogę. Od głowy do kroczka Szewczenko pokryty był oparzeniami od papierosów. Zmiażdżone jądra przybrały kolor purpury. Tak wyglądał więzień oddany pod czułą opiekę Lariczewa.

Nad kostką jednej nogi widać było gołą kość. Wężem ogrodniczym wlewano Szewczence pod ciśnieniem do żołądka słoną wodę. Na brzuchu z lewej strony zwisały jelita, które wypadły na zewnątrz od uderzenia pałki Krenka.

Krenek chwycił Szewczenkę za podbródek i podniósł mu głowę. Jedno oko wisiało na krwawych kawałkach skóry, po policzku spływała przezroczysta, galaretowata substancja. Przez zgnieciony nos i rozbite o zęby, spuchnięte do podwójnej wielkości usta powietrze ledwo się przedostawało do płuc.

- Zdejmij mu pasy - rozkazał Bałow. - Już wygląda tak, jakby nie żył. Lepiej doprowadź go do przytomności, bo...

Krenek podstawił Szewczence pod nos fiolkę z amoniakiem. Szewczenko jęknął. Jego głowa, osadzona na grubej szyi, powoli przetoczyła się z boku na bok. Wstrząsnął się, po brodzie spłynęła mu strużka śliny. Spojrzenie skupiło się na Bałowie.

- Michaile Wasiliewiczu - powiedział Bałow, pochylając się nad zmasakrowaną twarzą. - Zanim weźmiemy się do dalszej roboty, chciałbym, żebyście coś zobaczyli.

Szewczenko nie mógł już chodzić. Krenek i strażnik wzięli go pod ramiona i powlekli korytarzem. Nogi Szewczenki, zagięte pod dziwnym kątem od złamań kości, ciągnęły się po podłodze. Po drodze znów zemdlął.

Podziemny korytarz rozgałęział się przed ciężkimi drzwiami, na których zamiast zwykłego judasza zainstalowano spore okienko z grubego szkła.

W celi na ławce siedziała żona Szewczenki i jego sześciolatka córka. Kobiecie kazano spuścić głowę, by nie mogła widzieć męża. Lariczew stał obok niej, łagodny uśmiech odsłaniał czarne dziury w przednich zębach. Bałow skrzywił się. Czerwone usta Lariczewa wyglądały okropnie, było w nich coś obrzydliwego, pulchne biodra też budziły obrzydzenie, tak samo jak białe dłonie, które torturowały Szewczenkę. Bałow pomyślał, że któregoś dnia pokaże Lariczewowi jak to jest, gdy podczas przesłuchania siedzi się po niewłaściwej stronie stołu.

Dziewczynka obejmowała matkę chudymi ramionkami. Jej lśniąca, czarna włosy przywiodły Bałowowi na myśl Nataszę. Matka głaskała je jedną ręką, a drugą przyciskała córkę do piersi. Dziewczynka patrzyła na Lariczewa z przerażeniem.

Podsunięto Szewczence pod nos następną fiolkę amoniaku. Oprzytomniał. Krenek chwycił go pod ramię i podniósł do okienka.

- Michaile Wasiliewiczu - powiedział spokojnie Bałow. - Poznajecie swoją rodzinę?  
Szewczenko patrzył w otępieniu.

- Posłuchajcie - kontynuował Bałow. - Złapaliśmy Kryłowa i Kanadyjczyka w mieszkaniu waszej siostry. Ten, kto znajdował się w samochodzie, który po nich posłaliście, też został zatrzymany. Zaalarmowano gwardię kremłowską. Do Moskwy właśnie teraz wjeżdżają jednostki pancerne, by uniemożliwić jakikolwiek zbrojny spisek. Mówię to wam, byście zrozumieli, że wasza akcja jest skazana na niepowodzenie. To już koniec. Żaden spisek przeciw rządowi się nie powiedzie. Straciliście przewagę polegającą na zaskoczeniu. Jedyne, co teraz możecie osiągnąć, to przelać jeszcze więcej radzieckiej krwi. Czy tego właśnie chcecie?

Mięsiste, pomarszczone czoło Szewczenki opierało się o okienko. Wolną ręką podtrzymywał wylewające się z brzucha jelita.

- Ciągle jeszcze macie wybór - mówił dalej Bałow. - Powiedzcie mi o wszystkim, a obiecuję, że szybko uwolnię was od wszelkiego bólu. Spójrzcie też na swoją żonę i dziecko. Czy nie żywicie do nich żadnych uczuć? Wyobrażacie sobie, jaką cenę zapłacą za wasze milczenie? Żona już nigdy nie wyjdzie z obozu pracy. A córka... ma sześć lat, prawda? Nigdy więcej nie zobaczy matki. W więzieniach jest wielu kryminalistów, którzy mają upodobanie do małych dzieci. Zwłaszcza jeden - chyba go znacie - nieuleczalny syfilytyk. Siedzi za gwałt na dwuletniej dziewczynce. Nie mógł się w nią wcisnąć, bo była za mała, więc przeciął ją.

Zrozumcie mnie dobrze, Michaile Wasiliewiczu - w głosie Bałowa nie było najmniejszej drwiny, tylko żal. - Mówię poważnie. Macie moje słowo, że to dopiero zapoczątkowałyby cierpienia waszej córki.

Z uszkodzonego oka Szewczenki wyciekła jakaś wodnista substancja. Bałow nie potrafił stwierdzić, czy to łzy czy materia. Wargi się rozwarły, wymawiając imię dziewczynki. Brzmiało to bardziej jak westchnienie niż jak artykułowane słowo.

- Tania...

Bałow skinął głową i powiedział:

- Ale wcale nie musi tak się stać. Jeżeli zaraz powiecie mi wszystko, co wiecie, obiecuję wam państwową ochronę dla was i dla waszej rodziny.

Bałow czekał. Wszystko zależało od odpowiedzi Szewczenki, ale wydawało się, że jest zbyt słaby, by w ogóle móc przemówić. Ze zmiądzonych ust popłynęła kolejna kropla czarnej krwi.

- Już może być za późno - wymamrotał Szewczenko i Bałow poczuł, jak ogarnia go niewysłowiona ulga. Była za dwie ósma.

Sekretarz Stalina Poskrebyszew garbił się, ale jego spojrzenie miało zabójczą moc.

W pierwszej chwili nie chciał podejść do telefonu, a gdy wreszcie się zgodził, rozmawiał ostro i nieprzyjaźnie. Bałow stracił sporo czasu na długie wyjaśnienia.

- Gabońska... co?

- Gabońska zmija. Jej ukąszenie jest śmiertelne. Nie dopuście, by oficer prowadzący odprawę zbliżył się do towarzysza Stalina. Jad jest we wskaźniku do map.

- Odprawa już się zaczęła! - krzyknął Poskrebyszew.

- Więc zatrzymajcie go. - Im bardziej Poskrebyszew się podniecał, tym spokojniejszy był Bałow. - Nie odkładajcie słuchawki. To bardzo ważne. Musicie aresztować Andriejewa.

- Andriejewa? - W głosie sekretarza pobrzmiwała narastająca panika. - Zastępcę Własika?

- Nie pozwólcie, by Andriejew zaczął wydawać rozkazy. Jeżeli to się okaże konieczne, lepiej nawet go zastrzelić. I cokolwiek się zdarzy, nie dajcie mu się zbliżyć do pokoju łączności.

- Nie rozłączajcie się! - krzyknął Poskrebyszew. Rzucił słuchawkę na stół z takim hukiem, że Bałowowi zadudniło w uchu.

Słyszał, jak Poskrebyszew wywrzaskuje rozkazy, a potem rozległ się łomot podkutych butów.

Czernow kończył odprawę. Stał przy mapie powieszanej na trójnogu. Czubkiem wskaźnika obrysowywał dyslokację niemieckich jednostek wzdłuż półwyspu Kercz na Krymie. Na zachodzie znajdował się Sewastopol, odcięty przez Jedenastą Armię von



Mansteina. Artyleria przemieszczała się na pozycje w oczekiwaniu wiosennej ofensywy i Czernow pokazywał jej ruchy, a także zaplanowaną docelową koncentrację wojsk.

Lampy rzucały lśniący blask na boazerię z karelskiej brzozy i na twarze mężczyzn otaczających Stalina przy stole konferencyjnym. Czernow znał ich wszystkich. Z jednej strony zajmowali miejsca oficerowie najstarsi rangą: Żuków, Wasilewski, Woroszyłow, Timoszenko, a także marszałek Borys Michajłowicz Szaposznikow, szef Sztabu Generalnego i bezpośredni przełożony Czernowa. Szaposznikow siedział po prawicy Stalina. Po lewej stronie przywódcy zasiadał Gieorgij Malenkow, potem Ławrentij Beria, podobny do nauczyciela o lodowatym sposobie bycia; jego przeszywającym oczom nie umknęłoby żadne uchybienie. Spokojnie można było ignorować tylko uprzejmego Nikołaja Aleksiejewicza Wozniesieńskiego, przewodniczącego rady gospodarczej do spraw przemysłu zbrojeniowego.

Ale Czernow całą uwagę skierował na Stalina. Pozostałe twarze wydawały mu się tylko białymi plamami. Stalin siedział sztywno, wyprostowany, bezową marynarkę miał zapiętą pod szyję, znad sztywnego kołnierza wylewały się fałdy grubego karku. Obie ręce trzymał na stole pokrytym zielonym suknem. Z jego fajki, trzymanej grubymi palcami, rozchodził się zapach tytoniu z Hercegowiny. Dym unosił się pod sufit, przesłaniając chwilami bystre oczy, niskie czoło i zaczesane do tyłu włosy.

Czernow opuścił wskaźnik i spytał, czy są jakieś pytania. Nikt nie podniósł ręki. Stalin krótko skinął głową. Znaczyło to, że oficerowie mogą odejść.

Przez cały czas Czernow nie mógł się doczekać, kiedy odprawa się skończy i wreszcie będzie mógł przystąpić do działania. Z niecierpliwości ledwie nad sobą panował. Jednak teraz ogarnęła go zimna koncentracja, zapomniał o wszystkich wojskowych celach, jakie wskazywał na mapie. Skupił się na swoim jedynym celu: na Gruzynie, siedzącym u szczytu stołu.

Podszedł do ściany za krzesłem Żukowa i pochylił się nad swoją otwartą teczką. Zamiast złożyć wskaźnik i włożyć go na miejsce, skręcił tylko gwint o jeden czy dwa obroty, dzięki czemu ukazała się igła, a pod nią tłoczek.

Szaposznikow mówił coś o polach naftowych Baku nad Morzem Kaspijskim. Czernow wyprostował się i mocno chwycił teczkę. Nikt nie zauważył, że nadal ma w ręku wskaźnik.

Ruszył do drzwi, znajdujących się na lewo od krzesła Stalina. Z prawej mignęła mu łysa głowa Timoszenki.

Odnosił wrażenie, że to wszystko dzieje się we śnie albo jak na zwolnionym filmie. Było to spowodowane częściowo pragnieniem, by mieć już wszystko za sobą, a częściowo tym, że tak wiele razy w wyobraźni powtarzał sobie każdy ruch.

Przez cały czas miał świadomość, że zbliża się do Stalina. Inni ludzie siedzący przy stole byli jak marionetki z odciętymi sznurkami. Dokładnie taki układ taneczny swojego pas de dęta ze Stalinem widział oczami duszy za każdym razem, gdy myślał o dzisiejszym wieczorze. Teraz tyran znajdował się już dość blisko, by można było spostrzec na jego twarzy dzioby po ospie, które wyglądały jak martwa skorupa asteroidy, widziana w teleskopie.

Nagle w odległym krańcu sali otworzyły się drzwi prowadzące do gabinetu Poskrebyszewa i jakiś głos krzyknął:

- Zatrzymajcie go!

Czernow na sekundę wybił się ze stanu najwyższej koncentracji. Zobaczył Poskrebyszewa i dwóch gwardzistów, pędzących w jego stronę.

Twarze ludzi siedzących przy stole gwałtownie zwróciły się ku niemu. W tym samym momencie skoczył, celując w gruby kark Stalina, wylewający się z kołnierza. Jednak dzięki ostrzeżeniu wykrzyczanemu przez Poskrebyszewa, Stalin uzyskał cenny ułamek sekundy. Podniósł gwałtownie lewą rękę. Igła trafiła między kciuk i palec wskazujący i wstrzyknęła jad w miękką tkankę.

Malenkow odskoczył do tyłu, zasłaniając twarz rękami. To Szaposznikow z zadziwiającą szybkością zerwał się z krzesła i rzucił się na Czernowa.

Ale już dopadli go obaj gwardziści. Jeden z nich od tyłu otoczył mu ramieniem gardło i przycisnął z całej siły. Gdy ciągnęli go do drzwi, próbował się uwolnić, ale unieruchamiające ramię wydawało się mocne jak stal. Wszyscy członkowie Stawki, prócz Berii, dawno już zerwali się na nogi, na ich twarzach malowało się przerażenie. Stalin wyrwał igłę z ręki i rzucił ją na podłogę koniuszkiem w dół.

Cios pięścią w brzuch pozbawił Czernowa tchu. Jego okulary spadły i potłukły się. Twarze przy stole straciły ostrość. Ktoś uderzył go jakimś twardym przedmiotem w głowę. Czernow upadł na kolana, po twarzy pociekła mu krew. Nie stracił przytomności, ale był oszołomiony i gdy gwardziści wyciągali go z sali, łapał tylko oddech i nie bardzo wiedział, co się wokół niego dzieje.

W kremłowskiej klinice, piętro niżej, Stalin znalazł się trzy minuty po zamachu. Na szczęście dla niego byli tam dwaj lekarze, ordynator Wojkow i lekarz dyżurny Łarin. Drugi okruczeństwa stanowiło to, że doktor Wojkow specjalizował się w toksykologii. Prawdę

mówiąc, zawdzięczał przydział do kliniki kremlowskiej wyłącznie patologicznej obawie Stalina przed otruciem.

Doktor Wojkow, mimo niewielkiego wzrostu, sprawiał wrażenie człowieka surowego i dystyngowanego, a jego twarz poniżej gęstej, srebrnej czupryny była gładka jak u chłopca.

Natomiast doktor Łarin był tęgi i niezgrabny i wyglądał tak, jakby cierpiał na przerost tkanek i kości: jego głowa, ręce i stopy osiągnęły nienaturalną wielkość. Wydłużone, chude policzki i brzydka cera jeszcze pogarszały aparycję. Jednak koledzy uważali go za doskonałego fachowca, chociaż trochę bujał w obłokach i nie dbał o ubranie. Buty miał zawsze brudne i znoszone, nigdy nie zapinał wszystkich guzików, czasami pojawiał się w skarpetkach nie do pary, a jego gęste włosy przypominały strzechę i domagały się grzebienia.

Poskrebyszew szybko powiedział obu lekarzom, co się wydarzyło, a także jakiego jadu użyto podczas zamachu. Zanim jeszcze wyrzucił z siebie ostatnie słowo, Wojkow już wydawał polecenia Łarinowi i pielęgniarce. Potem, gdy Poskrebyszew ciągle jeszcze się za nim snuł, gestykułował w podnieceniu i coś tam mówił, popędził do telefonu w sekretariacie i kazał się połączyć z Instytutem Herpetologii.

Młoda pielęgniarka, z włosami upiętymi pod czepkiem w kok, poszła za parawan przygotować roztwór nadmanganianu potasu.

Stalin siedział wyprostowany na leżance do badań. Był śmiertelnie blady. Drgnął, gdy Łarin podwinął mu rękaw na chorej ręce.

- Bardzo boli? - spytał lekarz, obwiązując mu ramię gumą.

- Tak - powiedział Stalin. - Boli i piecze.

- A jak wysoko dochodzi ból?

- Do przegubu.

W świetle lamp załśnił lancet. Doktor Łarin wykonał nacięcie w miejscu wstrzyknięcia jadu, które już było odbarwione i spuchnięte. Na palce Stalina popłynęła krew. Lekarz założył opaskę uciskową, potem przystawił do rany urządzenie ssące i zaczął wyciągać z niej płyny.

Stalin chciał się zerwać na nogi, ale Łarin go przytrzymał i zawołał pielęgniarkę. Razem położyli chorego na leżance. Pielęgniarka zdjęła Stalinowi buty, rozpięła pasek i górny guzik spodni, a następnie przykryła go kocem.

- Kręci mi się w głowie - mruknął Stalin. - Bardzo silnie.

Wrócił doktor Wojkow. Za nim szedł Poskrebyszew. Ordynator włożył na mundur biały fartuch. Na szyi miał stetoskop, a z kieszeni na piersi wystawała gumowa rurka. Stalin

spojrzał na niego. Jego oczy wyglądały jak dwa podłużne, jasne plasterki arbuza, malowała się w nich gruzińska energia.

- Czy to poważne? - spytał. - Mówcie prawdę.

- Nie widziałem, czym was zaatakowano - odparł doktor Wojkow. - Wydaje mi się, że była to igła do zastrzyków podskórnych, ale i tak nie mogę określić ilości jadu, która dostała się do waszego organizmu.

- Ale wiecie, co to za jad? Lekarz skinął głową.

- Chyba tak. To Bitis gabonica, afrykańska żmija. Jad jest wyjątkowo trujący. Gdyby dostał się przez kark, śmierć nastąpiłaby prawie natychmiast. Dobrze, że to tylko ręka.

- Macie surowicę?

- Dokładnie takiej jak trzeba nie mamy, przynajmniej w Moskwie. Telefonowałem do Instytutu Herpetologii i rozmawiałem z dyrektorem Mietlinem. To światowy autorytet w swojej dziedzinie. Już tu jedzie z różnymi surowicami. Na pewno któraś podziała.

- Różne surowice? - zdziwił się Stalin.

- Jad żmii gabońskiej zawiera zarówno toksyny hemolityczne, jak i neurotoksyny. Niszczy krew i tkankę, a jednocześnie atakuje ośrodki nerwowe i oddechowe. Ponieważ nie mamy właściwej surowicy, spróbujemy łączyć różne ich rodzaje, by przeciwdziałać uszkodzeniom nerwów i krwi.

Doktor Wojkow sprawdził tętno na prawym nadgarstku pacjenta. Doliczył się osiemdziesięciu czterech uderzeń na minutę. Oddech też był za szybki: dwadzieścia pięć. Włożył mankiet do mierzenia ciśnienia na ramię Stalina, nadmuchał go i sprawdził wynik. Sto dziesięć na sześćdziesiąt pięć. Ciśnienie spadało.

Zapisał wszystkie dane na karcie choroby. Zanotował, że opaska uciskowa z urządzeniem ssącym znajdowała się na ranie przez dziesięć minut, i kazał ją poluznić. Pielęgniarka przemyła ranę nadmanganianem potasu. Potem doktor Łarin znów zacieśnił węzeł opaski i z powrotem przystąpił do wysysania jadu.

Na twarzy Stalina pojawił się zimny pot. Przedramię miał mocno spuchnięte, granatowe od odznaczających się żył.

- Boli - mruknął Stalin przez zaciśnięte zęby.

- Gdzie?

- Po lewej stronie klatki piersiowej.

- Czy jeszcze coś wam dokucza?

- Trudno oddychać i boli mnie głowa.

- Proszę opisać ból głowy.

- Jakby ktoś naciskał. Bardzo mocno naciskał u góry.

Doktor Wojkow jeszcze raz sprawdził tętno i oddech. Serce uderzało teraz sześćdziesiąt razy na minutę, a oddech spadł do pięciu. Te zmiany go przeraziły. Zapisał je na karcie. Dodał jeszcze: „Ból po lewej stronie klatki piersiowej, promieniujący do serca”.

Znów trzeba było rozluźnić opaskę uciskową. Wojkow kazał to zrobić pielęgniarce, a Łarina odwołał na bok.

- Spójrz, robi się coraz gorzej - powiedział, uderzając ręką w kartę. - Reakcja jest szybsza niż oczekiwałem. Natychmiast potrzebujemy surowicy. Doktor Łarin zmarszczył czoło i zauważył:

- Ból w klatce piersiowej i trudności z oddychaniem. Widocznie jad dostał się do układu krwionośnego.

- Powiedziałbym, że nawet w dużej ilości. Skoro na razie nie mamy surowicy, musimy podać coś na podtrzymanie akcji serca i ułatwienie oddychania - myślał głośno Wojkow.

- Może kofeinobenzoesan sodu? - zaproponował Łarin.

- Dobrze. Ale najwyżej osiem granów - zgodził się Wojkow. - Połączmy to z jedną trzydziestą grama siarczanu strychniny.

Zrobili zastrzyk, ale Stalin dostał torsji. Pielęgniarka podniosła mu głowę i podstawiła nerkę. Gdy torsje minęły, pacjent zaczął się skarżyć na dreszcze. Doktor Wojkow kazał przykryć go dodatkowym kocem. Obserwował, jak zanikanie koloru i opuchlizna idą coraz wyżej od miejsca zranienia.

- Proszę mi podawać odczyt tętna i oddechu co dziesięć minut - polecił pielęgniarce. - Zresztą temperaturę też.

- Nadal ma mieć założoną opaskę uciskową? - spytał Łarin, a jego krzaczaste brwi zeszyły się w jedną kreskę.

- Tak, póki nie dostaniemy surowicy.

Odsuwając się od stołu, Wojkow wpadł na Poskrebyszewa. Zapomniał o obecności sekretarza z haczykowatym nosem. W pokoju i bez gapiów było już wystarczająco tłoczno, więc zaproponował Poskrebyszewowi, by zaczekał na zewnątrz.

Stalin spojrzał na nich. W jego przekrwionych oczach pojawiła się gwałtowna podejrzliwość.

- Niech zostanie - szepnął.

Wojkow nie protestował. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, był atak paranoi u pacjenta. Radziecki przywódca nie ufał ani swoim lekarzom, ani swoim generałom.

Przejechał rękami po grzywie srebrnych włosów. Był to gest raczej rezygnacji niż zniecierpliwienia. Gdzie podziewa się Mietlin z surowicą?

Na korytarzu rozległy się jakieś głosy i zaraz potem do pokoju wszedł Mietlin, niski, tęgi, zadyszany. Okulary w drucianej oprawce przekrzywiły mu się na nosie, brodę miał potarganą. Niósł lekarską torbę.

- Przyniosłem dwie różne surowice - powiedział i otworzył torbę. Mówiąc, z trudem łapał powietrze. - Żółta etykieta to surowica działająca na krew, uzyskana z *Timeresurus atrox*. Opóźni niszczenie erytrocytów i naczyń krwionośnych.

- A ta z zieloną etykietką? - ponaglał go Wojkow.

- Surowica z jadu kobry - wydyszał Mietlin. - Przeciw neurotoksynom.

Doktor Wojkow sprawdził godzinę. Od zamachu upłynęły trzydzieści dwie minuty. Szybko napełnił strzykawkę surowicą i zrobił pacjentowi zastrzyki: dwa centymetry sześciennie preparatu hematycznego w wierzch dłoni, pod miejscem ugryzienia, trzy centymetry w ramię, a resztę w mięsień piersi po lewej stronie. Dziesięć centymetrów surowicy z jadu kobry wstrzyknął w bark.

Doktor Łarin poluźnił opaskę uciskową, pielęgniarka wycierała gazą pot z twarzy Stalina, która stawała się coraz bledsza. Usta miał sine i lekko rozchylone. Oddech wydawał się coraz bardziej wytężony.

Potem pielęgniarka znów zbadła tętno i oddech. Bez słowa podała kartę Wojkowowi. Rytm oddechu utrzymywał się na tym samym poziomie, ale puls spadł do sześćdziesięciu uderzeń na minutę.

- Proszę przygotować wszystko do przewiezienia pacjenta do szpitala - polecił Wojkow Łarinowi.

Stalin spojrzał na obu lekarzy. Był skąpany w zimnym pocie, a jego głos, ledwo słyszalny, brzmiał ochryple.

- Nie wyjadę z Kremla. Przywieźcie wszystko tutaj. Poskrebyszew! Gdzie jest Poskrebyszew?

Sekretarz pochylił się nad Stalinem.

- Poskrebyszew - wydyszał Stalin. - Mój stary przyjacielu, mój wierny towarzyszu, nie pozwól im wywieźć mnie stąd. Zostanę na Kremlu, a ty zadbaj, by wiadomość o zamachu nie przedostała się na zewnątrz. Żadna wiadomość. Czy to jasne?

- Będzie, jak sobie życzyacie - obiecał Poskrebyszew.

Niech szlag trafi jego paranoję, zaklął w myślach Wojkow. Jeżeli nie wykończy go jad, roboty dokona podejrzliwość i nieufność. A jeżeli umrze z powodu tego głupiego uporu,

co się stanie z jego lekarzami? Najprawdopodobniej zostaną zesłani do obozów pracy i tam będą leczyli współwięźniów z odmrożeń i szkorbutu. W chwilach stresu Stalin zachowywał się tak, jakby znajdował się na krawędzi psychozy.

Po drugiej serii zastrzyków nie założono już opaski uciskowej, więc nie było potrzeby odsysania rany, z której teraz krew kapiała kropla za kroplą.

Po jakimś czasie Stalin zaczął się skarżyć na bóle w okolicy nerek. Doktor Łarin zamierzał założyć mu cewnik, ale nie zdążył. Stalin stracił przytomność. Na jego spodniach rozlała się ciemna plama. Znajdował się w zbyt ciężkim stanie, by można go poruszyć, więc pielęgniarka rozcięła spodnie nożyczkami i zdjęła je. Mocz był gęsty od krwi. Doktor Wojkow zapisał czas: pięćdziesiąt osiem minut od zamachu.

Stalinem znów zaczęły wstrząsać torsje. Tym razem żołądek wyrzucił jedynie krew. Pielęgniarka wycierała mu twarz. Wymioty jeszcze bardziej osłabiły chorego.

Pielęgniarka zmierzyła tętno, spojrzała na Wabikowa i powiedziała:

- Spadło do czterdziestu ośmiu i jest nierówne.

Otwarte oczy Stalina, patrzące nieprzytomnie w sufit, zamknęły się. Usta jednak pozostały uchylone, oddech był płytki. Wydawało się, że jego pierś w ogóle się nie unosi.

- Nie mogę wyczuć tętna! - krzyknęła pielęgniarka. Doktor Wojkow chwycił oftalmoskop, siłą otworzył powieki Stalina i zaświecił w źrenice. Obie były maksymalnie rozszerzone i nie reagowały.

- Umiera - powiedział ochryple Łarin.

- Spokojnie - warknął Wojkow. - Podaj strzykawkę z preparatem przeciwwstrząsowym. Szybko!

Zanim Łarin zdążył wrócić, Wojkow już przetaił przedramię Stalina watką zmoczoną w spirytusie. Zrobił zastrzyk bezpośrednio w żyłę odłokciową. Zawołał o następne dziesięć centymetrów surowicy z jadu kobry i wstrzyknął ją w dwóch miejscach.

- Ciągłe nie ma tętna - meldowała pielęgniarka.

- Sinica - mruknął w napięciu Łarin.

- Jeszcze osiem gramów kofeinobenzoesu sodu. - Wojkow wyciągnął rękę po strzykawkę, nie spuszczając wzroku z twarzy Stalina.

- Siarczek strychniny też?

- Tak.

- Ta sama dawka? - upewnił się Łarin.

- Zwiększ do jednej piętnastej grama.

Kilka sekund po zastrzyku z siarczanu strychniny pierś Stalina zaczęła się znów unosić i opadać.

- Nadal nie ma tętna - alarmowała pielęgniarka.

- Nie przerywaj badania i powiedz mi zaraz, gdy je wyczujesz - polecił Wojkow.

Stalin oddychał teraz trochę łatwiej. Lewą rękę miał spuchniętą do podwójnych rozmiarów. Odbarwienie doszło do barku, a od spodu, między nadgarstkiem a pachą, cała ręka była czarna.

- Wyczuwam tętno - zameldowała wreszcie pielęgniarka. - Szybkie... bardzo słabe.

Doktor Łarin spojrzął na swojego szefa i spytał:

- Może zmierzyć ciśnienie?

- Proszę - mruknął Wojkow, świecąc jeszcze raz oftalmoskopem w oczy chorego. Tym razem źrenice były mniej rozszerzone, prawa trochę bardziej niż lewa. Lewa nawet lekko reagowała na światło. Z obu oczodołów wyciekała powoli krew, spływając na policzki różowymi strużkami. W kącie ust uformował się czerwony bąbel.

Wojkow zrobił zastrzyk z nowokainy w spuchniętą rękę i dokonał skalpelem dwóch nacięć, pierwsze trochę nad miejscem, przez które dostał się jad, drugie po wewnętrznej stronie przedramienia. Z ranek pociekła krew, z naciętych miejsc zaczęła się wylać tkanka tłuszczowa, a zaraz potem do naczynia spłynęła czarna materia.

Mijała czterdziesta trzecia minuta od utraty przytomności. Nagle Stalin poruszył się i szepnął:

- Wody.

Doktor Wojkow jeszcze raz zbadał mu oczy. Obie źrenice wróciły do normalnych rozmiarów i reagowały na światło. Zapisał na karcie, że ustał krwotok w oczodołach i jamie ustnej, chociaż mocz ciekący przez cewnik ciągle jeszcze był jasnoczerwony. Zapisał również, że pacjent nadal cierpi na ostrą anemię, ma zimne kończyny i jest bardzo słaby.

- Proszę przygotować zestaw do transfuzji - polecił. -1 gruby, ciepły okład ze słonej wody na rękę.

Po raz pierwszy od prawie godziny doktor Wojkow odszedł od swojego pacjenta. Wytarł spocone czoło ręcznikiem i beztrąsko rzucił go w stronę wiadra na odpadki. Poskrebyszew, który cały czas trzymał się w pobliżu, chociaż starał się nie przeszkadzać, teraz podszedł do niego. Wojkow, wykończony fizycznie i nerwowo, spojrzął na tego małego, dość pokracznego człowieczka z prawdziwą pogardą. W przenikliwych oczach sekretarza Stalina malowało się pytanie, którego nie musiał wypowiadać na głos. Poskrebyszew po prostu stał tu i czekał na odpowiedź.



- Nie martwcie się - powiedział Wojkow. - Myślę, że go uratowaliśmy. Pierwszy kryzys minął. Następnymi zajmiemy się, gdy się pojawią.

Natychmiast po rozłączeniu się z Poskrebyszewem Bałow zadzwonił do trubeckich koszar. Oddziały NKWD w Trubeckim stanowiły część specjalnych sił bezpieczeństwa, rozlokowanych w Moskwie podczas paniki z października tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku. Ich zadaniem było ukrócić grabież i przywrócić porządek. Teraz Bałow zamierzał rozstawić te jednostki w strategicznych punktach miasta tam, gdzie czołgi Szewczenki zajmowały pozycję w oczekiwaniu na atak, który już nie nastąpi.

Bałow zażądał milicyjnej furgonetki i wyszedł z Łubianki. Pojechał ulicą Kujbyszewską, aż wreszcie zobaczył starą, brudną kamienicę, gdzie kiedyś mieściła się giełda. Czołgi stały w Rybnym Pierieulku, jednej z wąskich uliczek prowadzących do ulicy Razina i południowego krańca Placu Czerwonego. Bałow włączył przednie reflektory samochodu. Snopami światła wydobyl z mroku lśniące, wilgotne kamienie bruku, a potem skierował je w uliczkę. Ukazał się pierwszy rząd czołgów T-34, szarych i błyszczących. Stały niewzruszenie na swoich stalowych gąsienicach. W wieżyczce czołgu dowódcy, za działkiem 76,2 milimetra, pojawili się żołnierze w hełmach. Zastygli, widząc snopy światła. Dwaj zasłonili oczy rękami.

Ktoś krzyknął:

- Zgaście te światła! Nie wiecie, że obowiązuje zaciemnienie?

Bałow zignorował rozkaz. Najprawdopodobniej ich karabiny maszynowe były wycelowane w jego samochód. Jedna krótka seria stłucze reflektory albo zabije jego samego, gdy zacznie wysiadać. Jednak to nie czas na takie rozważania. Miał zadanie do spełnienia, a powodzenie zależało od tego, czy zdoła zachować się na tyle władczo, by przejąć inicjatywę i kontrolę. Najlżejsze wahanie albo oznaka słabości i już po nim. Poczuł, jak do krwi napływa mu adrenalina, palce wzmocniły chwyt na kierownicy.

- Zostańcie w samochodzie! - zawołał ten sam głos. Nie zastosował się do rozkazu. W chwili gdy stał przed czołgiem, usłyszał stalowy trzask zamka karabinu. Jednak seria strzałów nie rozległa się. Migotliwe światło reflektorów samochodowych, na którego tle szedł do przodu, dało mu chwilę przewagi. Załoga czołgu stała bez ruchu; nie wiedzieli, jak zareagować. Nie mieli pojęcia, kim jest ten oficer przed nimi. Bałow zobaczył, że w innych czołgach żołnierze też wyglądają przez wieżyczki. W ciemnościach rozjarzyły się ogieńki papierosów.

- Kto tu dowodzi? - spytał ostro.

Twarze zaczęły znikać z wieżyczek.

Bałow wskazał ręką najwyższego żołnierza i powiedział:

- Czekam na odpowiedź.
- Major Platonów - wyjąkał żołnierz.
- Gdzie on jest?
- Poszedł dokonać inspekcji kolumny.
- Przyrowadź go tu.

Żołnierz zawahał się, popatrzył po kolegach. Był młody, właściwie nie wyszedł jeszcze z wieku chłopięcego, miał najwyżej dziewiętnaście lat.

- Wykonaj rozkaz - ponaglił Bałow.

Młody czołgista jeszcze raz spojrział na towarzyszy, a potem zrezygnował z oporu. Zdecydowanie wszedł w uliczkę.

W wieżycze pojawiła się nowa twarz. Był to sierżant Wawilow. Właśnie on celował do Bałowa z karabinu maszynowego. Gdyby zdecydował się strzelać, zmieniłby bieg historii. Ale nie strzelił. Teraz zeskoczył na bruk.

- Do diabła, kim jesteście? - Sierżant wpatrywał się w Bałowa, który nie nosił dystynkcji.

- Bałow. Pułkownik Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych.

Po twarzy Wawilowa przemknął cień strachu. Spojrział ponad ramieniem Bałowa na światła furgonetki. Usiłował zobaczyć, czy ten obcy oficer ma jakieś wsparcie.

- Wiesz, dlaczego rozlokowano tutaj te czołgi? - spytał Bałow.
- Nie, towarzyszu pułkowniku. Czekamy na rozkazy. To wszystko, co wiem.
- Jakie rozkazy?

- Chodzi o coś wielkiego, ale nie potrafię wam powiedzieć, o co. Wypełniam rozkazy bez pytania. Jednak - dodał Wawilow - wszyscy to robimy, prawda? Właśnie tego nas uczą, gdy jesteśmy jeszcze tylko rekrutami.

- Powiedziano wam, że chodzi o spisek przeciw naszemu radzieckiemu państwu? Przeciw naszemu radzieckiemu narodowi? - drwił Bałow.

- Przecież coś takiego nie może się zdarzyć. O czym wy mówicie?

- Jeżeli nie chcecie zostać rozstrzelani jako element kontrrewolucyjny, lepiej podporządkujcie się moim rozkazom. Wróćcie do swojego czołgu i nie puszczajcie go w ruch, póki wam nie powiem. Od tej chwili pozbawiam waszych oficerów dowództwa. Rozumiecie?

Sierżant nie odpowiedział. Szukał wzrokiem oficerów. Co za oportunistą, pomyślał Bałow. Pójdzie tam, gdzie mu się każe.

Kilku żołnierzy zbliżało się do Bałowa. Słyszał stukot ich butów na bruku. Otworzył klapę kabury. Żołnierze zwolnili kroku, ale weszli w zasięg światła.

Przywódca był prawie tak samo wysoki jak Bałow, ale chudy. Ze zdenerwowania ciężko dyszał.

- Major Płatonow - przedstawił się. - A wy to kto?

Za Płatonowem stał jakiś kapitan i kilku szeregowców. Wszyscy, prócz obu oficerów, mieli na głowach hełmy, a w rękach automaty. Jednak nie były one wymierzone w Bałowa.

Bałow przedstawił się, a potem zwrócił się do Płatonowa:

- W imieniu partii i radzieckiego narodu aresztuję zarówno was, jak i pozostałych oficerów.

- Pod jakim zarzutem?

Bałow uśmiechnął się szyderczo. Pamiętał, że w carskich czasach mieszkający na tej uliczce handlarze ryb sprowadzali jesiotry i karpie, kroili na kawałki, a w zimie wsypywali do skrzyń z rybami śnieg i lód. Powiedział:

- Przecież nie przybyliście tu, by handlować rybami.

- Nie muszę przyjmować od was rozkazów - warknął Płatonow i splunął.

Bałow wyszarpnął pistolet z kabury i strzelił. Dopiero co głowa Płatonowa była cała, na twarzy malował się wyraz ponurej determinacji. Teraz w jednej chwili rozpadła się, a kawałki rozprysnęły się po całej uliczce. Ciało osunęło się na ziemię i leżało na plecach, z rozłożonymi rękami, ciemna krew spływała na mokry bruk. Wybite oko trzymało się tylko na skrawkach skóry, z czaszki wypływał mózg. Usta były otwarte, a białko drugiego oka jaśniało pod na wpół otwartą powieką.

- Kto jeszcze nie chce przyjmować rozkazów? - spytał Bałow.

Kapitan o cienkich wargach, nazwiskiem Ramzin, ukląkł przy ciele Płatonowa. Dotknął jego piersi w bezradnym geście niewiary i wpatrzył się w szaroczerwoną substancję wypływającą z otworu w czaszce.

W kąciку ust zaczął mu drgać nerw. Potrząsając głową wstał z klęczek, a po chwili zdołał wykrzyknąć:

- Zastrzelcie go!

- Nie - sprzeciwił się ktoś stojący za nim. Z wieżyczki czołgu wychylił się sierżant Wawilow. Światło lśniło na bębunku jego półautomatycznej pepeszy. Lufa przesunęła się. Nie celowała już w Bałowa, lecz w pierś kapitana Ramzina. Po raz drugi tej nocy sierżant wpłynął na rozwój wypadków, a cała dalsza historia zależała od tego, na kogo skieruje swoją pepeszę.

Bałow podszedł do Ramzina i kolbą pistoletu uderzył go w głowę. Oficer jęcząc osunął się po czołgu i opadł na ziemię.

- Podnieście go - rozkazał Bałow.

Dwaj żołnierze wykonali polecenie. Kapitan nie potrafił utrzymać się na nogach, żołnierze musieli go podtrzymać pod ramiona. Krew spływała mu z głowy na policzek.

- Jest tu więcej czołgów? - spytał Bałow.

- Nie - szepnął Ramzin.

- To nieprawda - zawołał z wieżyczki Wawilow. - Czołgi stoją też na Chrustalnym.

- Ilu macie oficerów? - Bałow kontynuował przesłuchanie.

- Dwóch.

- Pięciu - sprostował Wawilow.

- Macie łączność radiową? Tym razem kapitan skinął głową.

- Każcie oficerom, by tu przyszli. Bez broni osobistej.

Po wydaniu tego rozkazu Bałow polecił Wawilowowi zejść z czołgu na jezdnię.

- Awansuję was do rangi porucznika - powiedział. - Możecie wybrać pięć godnych zaufania załóg i spełniać moje rozkazy?

- Oczywiście, towarzyszu pułkowniku.

- Niech przed każdą kremłowską bramą stanie jeden czołg. Wy dowodzicie. Sami ustawcie się przed Wieżą Spasską. Powiedzcie strażom, że przybyliście z posiłkami na wypadek ataku.

- To wszystko, towarzyszu? - Wawilow sypał teraz słowem „towarzysz” z gorliwością biedniaka-komunisty.

- Poszukajcie kogoś, komu ufacie, i niech pilnuje oficerów.

- Czy to ma być ktoś, kto nie boi się zabijać ludzi?

- Tak. - Bałow spojrzał mu w oczy. - Właśnie o to mi chodzi.

- Nigdy nie wierzyłem tym pieprzonym oficerom - stwierdził Wawilow, ukazując w uśmiechu zepsute zęby.

Bałow już chciał powiedzieć: „Może to, że was dziś awansowałem do stopnia oficerskiego, złagodzi waszą niechęć”, ale się powstrzymał. Lepiej nie mówić takich rzeczy. Zamiast tego polecił:

- Pozostałe czołgi mają się skierować do kwatery polowej generała Siniłowa i oddać się pod jego dowództwo. Kapitan Ramzin wyda przez radio odpowiednie rozkazy.

Ramzin posłusznie wypełnił to, co mu kazano, i chwilę później Bałow usłyszał warkot silników. Czołgi wyjeżdżały z zaułka. Znow zaczęło mżyć. Za ścianą lekkiego deszczyku,

oświetlonego reflektorami samochodu, widać było siedzących na bruku oficerów. Skuleni patrzyli w deszcz. Sam ich wygląd świadczył o tym, że ponieśli klęskę.

W wartowni więzienia Łubianka major, który aresztował Rydera, kazał mu się rozebrać do naga. W pokoju bez okien stał tylko drewniany stół i krzesło. Lampa z papierowym abażurem rzucała na nie otynkowane ściany cień Rydera, gdy ten niezgrabnie zdejmował ubranie. Strażnicy zrewidowali po kolei każdą sztukę i oddali mu kalesony. Zapiął je i wygładził. Żarówka oświetliła jego umięśnione plecy. Jeden ze strażników zwinął ubranie w kłębek i położył na krańcu stołu.

Major otworzył notatnik i zaczął przesłuchanie. Spytał o nazwisko. Ryder nie odpowiedział. Oficer odchylił się w krzesło, bębniąc ołówkiem w blat stołu. Na jego policzku plaster krył ranę od golenia. Wykrzyknął jakiś rozkaz i strażnicy wyprowadzili Rydera na ławkę w korytarzu.

Lewy policzek miał tak spuchnięty, że z oka pozostała tylko szparka. Bolały go przecięte usta. Wiedział już, że spisek się nie powiódł. Nie słychać było dudnienia karabinów maszynowych ani ognia z dział zainstalowanych na czołgach T-34. Cisza potwierdzała, że ponieśli klęskę, i z każdą chwilą coraz bardziej pozbawiała go nadziei.

Strażnicy stali oparci o ścianę. Jeden zapalił papierosa. Ryder słuchał ich cichej rozmowy. Wydawało mu się, że głosy to przybliżają się, to oddalają, gubiąc się w grubych pokładach znużenia, które go ogarnęło. Zamknął oczy.

Twardy but kopnął go w łydkę.

- Siedź prosto! Nie wolno opierać się o ścianę.

Jeszcze dwa razy strażnicy wprowadzali go do pokoju przesłuchań, a major pytał o nazwisko. Brudny plaster spadł mu z policzka. Ryder tylko patrzył, a major bębnił ołówkiem po stole.

Potem wracał na korytarz i walczył z sennością. Powieki miał jak z ołowiu. Na łydce, tam gdzie strażnicy kopali go, gdy tylko przysypiał, rozpościerał się wielki siniak.

Gdy wprowadzono Rydera do pokoju przesłuchań po raz trzeci, zamiast majora zastał pułkownika. Ten nawet nie podniósł wzroku znad dokumentów, którymi był zajęty.

- Nazywasz się Antony Ryder - mruknął. W ciszy rozległo się skrobanie pióra po papierze. - A dokładnie: Anton Stiepanowicz Rydorow.

Oficer nadal nie podnosił wzroku. Dzięki ponurej koncentracji na tym, co czytał, sprawiał wrażenie, że obecność więźnia właściwie nie ma żadnego znaczenia. Nie zaszczycił Rydera ani jednym spojrzeniem, machnął ręką na znak, że może wyjść.

W celi nie było łóżka, a ściany zbudowano z mocnego cementu. Żarówka pod sufitem została osłonięta ochronną siatką. Wiadro bez pokrywy służyło za klozet. Co dwie minuty w drzwiach odsuwała się klapka i w otworze pojawiała się oko.

Ryder położył się na podłodze. Od zimnego kamienia dostał dreszczy. W którymś momencie strażnik odryglował drzwi i rzucił mu brudny koc. Ryder owinał się nim. Z materiału szedł smród zaschniętych wymiocin. Zasnął mimo bólu skopanej nogi, zapalonego światła i ciągłego skrobania klapki judasza po ścianie.

Po jakimś czasie obudził się. Ze skaleczeń wewnątrz jamy ustnej wypływała ropa. Całe ręce i nogi miał jak w wysypce. Na dłoni zobaczył napęczniałą od krwi pluskwę. Zgniół ją między paznokciami.

Załatwił się do wiadra. Był odwodniony, więc mocz przybrał kolor ciemnego bursztynu. Przypomniawszy sobie nagle rozmowę z Rosewallem w Hyde Parku. „Gdyby nos Kleopatry...”

„Gdyby zabójca Stalina”, pomyślał.

W obu wypadkach klęska wzbogaciła historię o ironiczny wymiar, ale nie zmieniła jej biegu.

Winnej celi Łubianki Czernowowi śniła się matka. Akcja snu nie była ciągła, lecz rwała się jak na niestarannie zmontowanym filmie, w którym sekwencje połączono bez zachowania logicznej kolejności. W jednej chwili matka siedziała w swojej długiej, białej sukni przy fortepianie Bosendorfera i grała walce Brahmsa, a zaraz potem oboje biegli do rozświetlonego słońcem brzozowego lasu, nad staw, by zbierać poziomki. Po twarzy matki igrały cienie rzucane przez liście, a jej radosny śmiech unosił się w powietrze razem z pyłkami i nasionami drzew.

W tym śnie Czernow nie postrzegał samego siebie; widział tylko czerwone poziomki rozgniecione na lnianej bluzie marynarskiego mundurka. Słyszał, że Lizawieta Michajłowna go woła. On kuczał w gąszczu poziomek i zrywał pyszne owoce, ale teraz podniósł głowę i zwrócił się w kierunku, z którego dobiegał głos. Zobaczył, że matka stoi daleko, między drzewami, jej pięknie ukształtowana ręka spoczywa na piersi, pod kaskadą koronek obrzeżających dekolt. Wołała go i wołała, a on nie mógł rozpoznać wyrazu jej twarzy, bo oślepiały go promienie słońca przedzierające się przez liście wysokich brzoź.

Obudził się cały obolały na pryczy, na której leżał twarzą w dół, z głową osłoniętą rękami. Tak bardzo pragnął wrócić do swojego sennego marzenia. Z korytarza dobiegły go szorstkie głosy i zaraz potem otworzyły się drzwi celi. Strażnicy rzucili kogoś na podłogę. Drzwi znów się zatrzasnęły z głośnym hukiem. Czernow kilka razy zamrugał, a gdy odzyskał

ostrość wzroku, spojrzał na człowieka przeklinającego strażników najgrubszymi słowami. Mężczyzna uniósł głowę, i światło podsufitowej żarówki padło na twarz sierżanta Wawiłowa.

Czernow usiadł prosto na swojej pryczy, oparł się o ścianę i obojętnie przyjrzał drugiemu więźniowi. Ten człowiek nie odgrywał żadnej roli w jego planie. Był tak samo nieważny, jak nieważne są kamienie, z których zbudowano celę.

Po dłuższej chwili Wawiłow wstał, otrzepał rękawy munduru wielką, kwadratową ręką, na palcach wyraźnie odznaczały mu się kostki. Usiadł na drugiej pryczy, naprzeciwko Czernowa.

- Nazywam się Wawiłow - powiedział. - Jestem sierżantem w batalionie czołgów. O co tu chodzi? Możesz mówić?

Twarcz Czernowa była mocno poraniona. Miał spuchnięte wargi, a kilka zębów chwiało się na ostatnim włosku. Gdy się odezwał, poczuł ostry ból, ale podał swoje nazwisko, a potem spytał:

- Dlaczego cię tu wsadzili?

- Z tego samego powodu, co was, towarzyszu.

- W celach nie ma towarzyszy - pouczył go Czernow. - Więzienie odbiera tożsamość i wojskową rangę. Czyżby ci tego nie powiedzieli?

- Nie. Za bardzo się spieszyli z przesłuchaniem.

Dajcie im trochę czasu, pomyślał Czernow, a zapomną o wojskowej etykiecie.

- Za co cię aresztowali? - spytał.

- Byłem w kolumnie czołgów przed Bramą Spasską. Mieliśmy wejść, gdy tylko dostaniemy wiadomość, że Stalin nie żyje. Ale coś poszło źle. Nie wiem, co. NKWD nas zatrzymało. Aresztowali oficerów i starszych sierżantów. Przesłuchiwali mnie bez chwili przerwy całą dobę. Na to jest tylko jeden sposób. Musisz udawać głupka. Mówić, że nie wiesz, o co chodzi, i tylko wykonywałeś rozkazy.

Na twarzy sierżanta widać było, że latami mieszkał w koszarach. Pozostały na niej ślady bójk: nos złamany pięściami wiele razy i źle zestawiony, błyszczące sprytem oczy i zniekształcone kości policzkowe przywiodły Czernowowi na pamięć sierżanta Gritskiego z Leningradzkiej Szkoły Kadetów. W spojrzeniu Wawiłowa malowała się czysta podłość, a jego wymowa przypominała sposób mówienia Gritskiego. Pomyślał, że czuje pogardę dla tego człowieka właśnie z powodu swoich wspomnień. A zresztą po co wrzucano by sierżanta do jego celi? Chyba NKWD miało w tym jakiś cel. Oczywiście, będą masowe aresztowania, w więzieniach znajdą się zarówno ludzie winni, jak i niewinni. Chodziło przecież o to, by

wywrzeć odpowiednie wrażenie na Stalinie. Ale dlaczego Wawilow znalazł się tu razem z nim?

- Jak się w to wplątałeś? - spytał.

- Widziałeś kiedyś karny batalion? - odpowiedział Wawilow. - Ja spędziłem trzy lata w takim batalionie. W lecie łykaliśmy pył ze stepów, w zimie odmrażaliśmy tyłki, a do jedzenia dostawaliśmy tylko nie kraszoną kaszę. Przez siedem dni w tygodniu. Powiem ci, co się stało. Któregoś dnia do obozu wjechał czołg. Każdemu z nas dano łopatę i kazano kopać. Cztery minuty, powiedzieli nam, a jeżeli nie zdążymy wykopać transzei, czołg przetoczy się po nas. W takich warunkach człowiek łatwo się uczy. Jednemu z koleżków, który nie kopał swojego odcinka dość szybko, czołg przejechał po kręgosłupie. W taki właśnie sposób zwalniano miejsca w karnym batalionie dla następnych skazańców. Ale ja zdążyłem i mogłem wrócić do swojej jednostki, by zacząć od nowa.

- Na nieszczęście twój okres rehabilitacji nie trwał długo. - Czernow nie potrafił już ukrywać sarkazmu i nieufności.

- Nie zrehabilitowano mnie - powiedział Wawilow. - Po prostu nabrałem sprytu. Przynajmniej tego nauczyłem się w karnym batalionie. W końcu nie jest ważne, kto cię tam wysłał. Kończysz nienawidząc tego łajdaka Stalina ponad wszystko. To on stworzył ten pieprzony system.

Wawilow popatrzył Czernowowi prosto w oczy i Czernow odniósł wrażenie, że w jego spojrzeniu lśni jakaś iskierka szczerzej niechęci wobec radzieckiego przywódcy. Sierżant potrząsnął głową i dodał:

- Miałeś go zabić, a spaprałeś robotę.

- Skąd wiesz, że ja miałem to zrobić? - zdziwił się Czernow.

- Podczas przesłuchania wymieniali twoje nazwisko co najmniej dziesięć razy. Wiem o tobie wszystko.

Czernow tylko wzruszył ramionami.

Wawilow sięgnął do kieszeni bluzy po papierosa, ale nic tam nie znalazł.

- Zabrali mi papierosy i zapalki - pożalił się.

- No to co? - Czernow uśmiechnął się. Zabolalo. - Zanim poprowadzą cię przed pluton egzekucyjny, dadzą ci narkotyki.

- A tobie?

- Dla mnie nie szykują kuli - powiedział Czernow. - To byłoby za szybkie.

„Trzeciego dnia strażnicy zaprowadzili Rydera do łazienki. Stał w otwartej kabinie prysznic, rozkoszując się strumieniem letniej wody, a potem umył się ługowym mydłem,



które mu dali. Odebrane wcześniej ubranie leżało porządnie uprane i złożone obok, na ławce. Brakowało tylko paska i sznurowadeł.

Następnie pojechali windą na czwarte piętro. Na korytarzu zatrzymali się przy biurku strażnika oddziałowego, który wpisał do rejestru: „Rydorow, A.S.” Po dopełnieniu tej formalności jeden ze strażników odprowadził go do celi, kazał wejść i zatrzasnął z hukiem drzwi.

Na pryczach siedziało troje więźniów: Czernow, sierżant Wawiłow i Natasza Iwanowna.

Czernow miał paskudnie opuchniętą twarz, purpurowe siniaki przechodziły w czerń. Zauważył, że Ryder mu się przygląda i powiedział:

- Twierdzą, że stawiałem opór. A co z tobą?
- To samo.
- Właśnie to nazywają sprawiedliwością - zażartował Czernow.
- Za co cię zamknęli? - spytał Wawiłow.

Ryder popatrzył na grubo ciosaną twarz sierżanta, na której wyraźnie malowała się zbyt wielka ciekawość, i natychmiast poczuł nieufność.

- Za nieprawomyślność - odparł tylko.

Słyszając tę lakoniczną odpowiedź, sierżant z trudem ukrył irytację. Wskazał Czernowa mówiąc:

- Ten tutaj próbował zabić tego łajdaka Stalina. Pomyśleć tylko. Kiedyś może być sławny. A my siedzimy razem z nim, w tej samej celi.

- Nie udało mi się - oznajmił Czernow.
- Użyłeś trucizny? - spytał Ryder.
- Byłem tak blisko niego jak teraz od ciebie - opowiadał Czernow. - Trucizna znajdowała się w specjalnej strzykawce, wmontowanej we wskaźnik do map. Ale trafiłem w rękę zamiast w kark.

- Jaka to była trucizna?

Wtrącił się Wawiłow, wskazując ręką Nataszę.

- To ona dostarczyła jad węża.
- Lekarze uratowali go - kontynuował Czernow. - Wraca do zdrowia.
- Skąd wiesz?
- Śledczy mi powiedział.
- Może kłamał? - zasugerował Ryder.
- Na pewno nie. Stalin przeżył. Inaczej nie znaleźlibyśmy się tutaj.

- Ja - powiedział Wawiłow, waląc się pięścią w piersi - byłem na Rybnym Pierieulku w kolumnie czołgów, mającej wjechać na Kreml. Czekaliśmy tylko na sygnał, że Stalin nie żyje, ale nie dostaliśmy go. Potem usłyszeliśmy, że oddziały NKWD aresztują przywódców spisku. Złapali wszystkich oficerów, nie został nikt, kto mógłby dowodzić. I tak to się skończyło.

Ryder przyglądał się twarzom swoich towarzyszy. Miał absolutną pewność, że jedno z nich musi być nasiedką, czyli osobą umieszczoną tu specjalnie, by uzyskać informacje. Tylko które z nich trojga? Najprawdopodobniejszym kandydatem wydawał się sierżant. A jeżeli nie on, to kto? Czernow? A może dziewczyna?

- Gdzie byłaś - zwrócił się do niej - gdy to wszystko się działo? Podniosła głowę. Przy tym ruchu czarne włosy odsłoniły policzki i pełne wargi.

- W Kuncewie - powiedziała.

Ryder zmarszczył brwi. Pamiętał, że Szewczenko wspomniał tę nazwę. Miało to coś wspólnego z komendantem gwardii kremlowskiej Własikiem, który sypiał z pewną dziewczyną...

- Słyszałem, że aresztowano syna Mikołaja Romanowa - odezwał się Wawiłow.

- Od kogo o tym usłyszałeś? - zdziwił się Ryder.

- Od naszych oficerów.

Teraz Ryder musiał zdecydować, ile może im powiedzieć. Jeżeli jedno z nich jest informatorem, zorientuje się, czy on kłamie, czy nie. Lepiej w miarę możliwości mówić prawdę, postanowił.

- On nie żyje - oznajmił. - Popęlił samobójstwo.

- Jesteś pewny? - Czernow przyjął te słowa z niedowierzaniem.

- Byłem wtedy z nim.

Wawiłow potrząsnął głową i powiedział:

- Co za pech dla brytyjskiego wywiadu.

- Brytyjski wywiad nie był w to wmieszany - oświadczył Ryder. - Działaliśmy na własną rękę, z powodów czysto osobistych. Ale co to teraz za różnica? I tak niedługo wszyscy umrzemy.

Przeniósł spojrzenie z Wawiłowa na dziewczynę i zobaczył, że w jej oczach kręcą się łzy.

- Chodzi o mojego ojca - wyjaśniła. - Jest chory. Kto go teraz pielęgnuje? Sam sobie nie poradzi.

Ryder uświadomił sobie, że patrzy na jej białe dłonie leżące nieruchomo na podolku. Była w tym samym wieku co jego zmarła żona. Poczuł znajomą, zimną złość, nie mającą jednak nic wspólnego z tą więźniarką, ot, po prostu chroniczny ból, który musi się nasilić, zanim trochę ustąpi.

Godzinę później przyszedł strażnik.

- Kozłowa! - zawołał.

Dziewczyna wstała powoli, bardziej zrezygnowana niż wystraszona. Ryder obserwował ją. Zanim drzwi się zamknęły, spojrzała na niego. Zauważył w jej czarnych oczach gorycz, ale i ślad sympatii. To sprawiło, że znów zaczął rozmyślać, czy to nie ona jest nasiedką.

Natasza już nie wróciła. Ryder pomyślał, że może zabrano ją na blok kobiecy, znajdujący się na drugim piętrze.

- Albo rozstrzelano - wyraził przypuszczenie Czernow.

- Szkoda - jęknął Wawilow. - Byłoby przyjemnie mieć tu kobietę do towarzystwa. Widzieliście jej tyłeczek, gdy wychodziła? Mówię wam, idealny do pieprzenia.

Wieczorem klawisz przyszedł po Rydera. Strażnik oddziałowy wpisał do rejestru, że więzień wychodzi. Potem prowadzili go wilgotnymi korytarzami z zastałym powietrzem do pokoju przesłuchań.

Jako śledczych Bałow wyznaczył także Krenka i Lariczewa, tych samych oficerów, którzy złamali Szewczenkę w trzydzieści sześć godzin. Ale tym razem kazał stosować inne metody.

- Żadnych trwałych okaleczeń - ostrzegł ich. - Macie tylko obniżyć jego próg wytrzymałości. Nic więcej. Rozumiecie?

W dusznym pokoju posadzono Rydera na stołku. Nad głową, z przodu i po bokach miał mocne lampy. Świeciły mu w oczy jak reflektory na planie filmowym. Dostrzegał jakąś pulchną postać przy stole, za rzędem lamp.

Drugi mężczyzna usiadł z tyłu. Ryder widział tylko jego skrzyżowane nogi. Na kolanach trzymał gumową pałkę.

Pytania koncentrowały się na pobycie Rydera w Stalingradzie, gdy przed wojną przyjechał tam jako kontraktowy inżynier. Najwyraźniej wiedziano o wszystkim, co robił w tamtym okresie. Od czasu do czasu białe, miękkie ręce, należące do Lariczewa, ukazywały się w świetle, by unieść do oczu jakiś kolejny raport.

Po trzech godzinach zmieniono temat.

- Wiemy, że za operacją „Szary Wilk” stoi brytyjski wywiad. Jak do tego doszło?

- Nie mam z tym nic wspólnego.
- Zaprzeczasz, że pracujesz dla brytyjskiego wywiadu?
- Nie.
- Kiedy cię zwerbowano?
- Zatrudniono - sprostował.
- Kiedy?
- W trzydziestym dziewiątym - skłamał Ryder.

Nastąpiła chwila milczenia. W świetle lampy stojącej na biurku ręce grzebały w papierach.

- Zapomniałeś o swoim pobycie w Hiszpanii?
- Pojechałem do Hiszpanii na własną rękę - powiedział Ryder. - Walczyłem po stronie republikanów. Nie wykonywałem misji wywiadowczej.
- Do jakiej pracy cię zwerbowano?
- Jako tłumacza. - Ryder znów skłamał. - Tłumaczyłem z rosyjskiego na angielski.
- Czy wywiad brytyjski wysyła tłumaczy na specjalne kursy operacyjne do posiadłości Montagu w Hampshire?

Ryder zapatrzył się w białe dłonie przerzucające plik papierów. Trochę go zaniepokoiło, że tyle o nim wiedzą. Wzruszył ramionami i odpowiedział:

- Może. Nie informowali mnie o swoim systemie szkolenia.
- Ale wysłali cię do szkoły agentów.
- Tak, zanim zacząłem pracować w charakterze tłumacza.
- Wiemy wszystko o twojej pracy w MI-6.
- Więc musicie też wiedzieć, że odszedłem stamtąd. Czyżbyście mieli luki w dokumentacji?

Pulchna sylwetka zeszywniała. Ryder czuł palące spojrzenie rzucone mu zza lampy.

- Jestem obywatelem Kanady - kontynuował. - Zamierzałem wrócić do domu.
- Dlaczego?
- Moja żona zginęła w czasie niemieckiego nalotu. Nic mnie już nie trzymało w Londynie.

- Ale nie wróciłeś do Kanady. Związek Radziecki nie jest jedną z kanadyjskich prowincji. Pomyliłeś kierunki.

Zza pleców Rydera odezwał się Krenek.

- Gdzie poznałeś reakcyjnego zdrajcę Kryłowa?
- Na spotkaniu towarzyskim.

- U kogo?
- W prywatnej rezydencji w Mayfair.
- Twierdzisz, że to było przypadkowe spotkanie?
- Przy brydżu - uzupełnił Ryder.
- Właśnie tak się poznaliście? - spytał Lariczew.
- Mówię po rosyjsku. To nas zbliżyło. Inne rzeczy też.
- Jakie inne rzeczy!

Ryder szybko zastanowił się, jak daleko może się posunąć i do jakich granic wystawiać ich cierpliwość na próbę.

Odpowiedział:

- Pogarda dla bolszewickich morderców, którzy w pewnej piwnicy zabili kobiety i dzieci.

Za sobą usłyszał zgrzyt krzesła po podłodze. Pałka Krenka uderzyła go w łokieć. Ból sparaliżował mu rękę aż do czubków palców.

- Uważaj, jak się wyrażasz o państwie radzieckim - poradził Lariczew.

- Chciałem tylko dać prawdziwą odpowiedź na wasze pytania - rzekł Ryder i czekał na następne uderzenie. Ale następne uderzenie nie przyszło.

- I chcesz, byśmy uwierzyli, że ty i ten wyrzutek Kryłow działaliście na własny rachunek, bez pomocy brytyjskiego wywiadu?

- Wierzcie, w co chcecie. Ja mówię prawdę.

- Kto wam to zlecił? - spytał Krenek.

- Uchodźca z Łotwy, który miał kontakt z monarchistami w Czerwonej Armii.

- Jego nazwisko?

- Jedyne człowiek, który je znał, nie żyje.

- Kto? - rzucił niecierpliwie Lariczew.

- Kryłow.

- Ty nigdy nie spotkałeś się z tym Łotyszem?

- Nie. Dajcie mi kartkę papieru. Dam wam to na piśmie i podpiszę się. Będziecie mieli oświadczenie.

- Przypląnąłeś do Murmańska na brytyjskim eskortowcu, prawda? - kontynuował Lariczew, nie zwracając uwagi na prośbę Rydera.

- Nie - skłamał Ryder. - Przypląnąłem statkiem handlowym, eskortowanym przez Królewską Marynarkę. Był to masowiec pod panamską banderą.

- Jak sobie załatwiłeś przejazd?

- Dałem łapówkę. - I dodał z ironicznym uśmiechem: - Zapłaciłem funtami, a nie rublami. To wam może powiedzieć, jaką moc ma twarda waluta. Pałka uderzyła w to samo miejsce. Ból znów sparaliżował mu rękę.

- Bez dygresji - pouczył go Lariczew. - Rozmawiamy o tym, jak płynąłeś tu statkiem, a nie o ekonomicznych teoriach. Ten drobny ból łokcia ma cię tylko zachęcić do dawania poważniejszych odpowiedzi.

- Postaram się być tak poważny, jak tylko sobie życzyście - obiecał Ryder. W tym momencie poczuł zapach tytoniu i uświadomił sobie, że w pokoju jest też ktoś trzeci. W smugach światła, rzucanych przez lampy, zobaczył dym unoszący się pod sufit. Jednak osoba, która paliła, pozostała poza zasięgiem jego wzroku. Trzymała się gdzieś z tyłu. To przełożony śledczych, pomyślał. Teraz zauważył, że obaj przesłuchujący zachowują się troszkę inaczej. Nikt też nie walił go już pałką w łokieć.

- Skoro zerwałeś kontakt z wywiadem - zaczął Lariczew - jak wytłumaczysz swoją rozmowę w Hyde Parku ze starszym oficerem SIS na dwa tygodnie przed wypłynięciem do Murmańska?

- Nie pamiętam, żebym spacerował po Hyde Parku, ale może jednak tamtędy przechodziłem. - Przypomniał sobie mężczyznę karmiącego gołębie niedaleko pomnika Piotrusia Pana. - O jakiego oficera wywiadu wam chodzi? Nie znacie jego nazwiska?

- Rozwel - powiedział Lariczew, wymawiając je nieprawidłowo.

- Nie znam żadnego Rozwela.

- Widziano cię, jak z nim rozmawiałeś.

- To jakaś pomyłka.

- Nie, to nie pomyłka. Rozwel ma poparzoną twarz. A taką twarz jest tak samo łatwo zidentyfikować jak odciski palców.

- No tak! - wykrzyknął Ryder. - Zapewne mówicie o Grahamie Rosewallu. Przyjaźnimy się. Znał moją żonę. Teraz sobie przypominam. Poszliśmy na pożegnalnego drinka do pubu, a potem spacerowaliśmy po Hyde Parku.

- Mężczyzna nazywany przez ciebie Rosewallem - wyjaśnił Krenek - to wysokiej rangi oficer, jeden z bliskich współpracowników sir Stewarta Menziesa, szefa tajnych służb, znanego pod kryptonimem C...

- Którego bezpośrednim przełożonym jest Churchill - dodał Lariczew.

- Nawet ryzykując, że mi złamiecie kości w łokciu - powiedział Ryder - oświadczam wam, że nie wiem, kim jest C. Przeceniacie mnie. Nigdy nie słyszałem o sir Stewarcie, czy jak mu tam, i nie mam pojęcia, jakie stanowisko Rosewall zajmuje w wywiadzie. Owszem,

widywałem się z nim, ale było to przy dzinie z tonikiem, a rozmawialiśmy o krykiecie i piłce nożnej.

- I o operacji „Szary Wilk”-wtrącił Krenek - zaplanowanej wspólnie przez Churchilla i Menziesia.

- Brytyjski premier może podlegać pewnym ludzkim słabościom - odparł Ryder - ale głupota na pewno nie jest jedną z nich.

Chmura dymu z papierosa wisiała nieruchomo w smugach światła. Ktoś cicho zamknął drzwi z tyłu pokoju. Rydera paliło gardło i miał pełny pęcherz. Poprosił, żeby zaprowadzono go do ubikacji.

- Później - zbył go Lariczew. - Na razie zaczniemy od początku, od twojego pobytu w Stalingradzie.

Każdego ranka o szóstej wiertuchi, strażnicy, waleniem w metalowe kubły budzili więźniów i zaraz otwierali drzwi cel. Więźniowie, ustawieni w szereg, maszerowali korytarzem do latryn, a dyżurny z każdej celi wynosił wiadro z nieczystościami.

Potem strażnicy przynosili śniadanie: kleistą kaszę i ćwierćkilogramową rację gąbczastego chleba z mąki kartoflanej.

Więźniom przysługiwał codzienny dziesięciominutowy spacer na dachu piątego piętra. Dach był otoczony cementowym murem sześciometrowej wysokości. Strażnicy obserwowali więźniów z wieżyczek, każdy z nich miał przewieszoną przez ramię pepeszę. Więźniowie widzieli skrawek niebieskiego, wiosennego nieba, a czasami chmurka, nieskalanie biała, przepływała przed ich oczami i znikwała za murem.

- Ciesz się tym, póki możesz - radził Ryderowi Wawiłow. - Niedługo na tym dachu zaznamy upał i smrodu.

Na przesłuchanie u Lariczewa i Krenka prowadzono Rydera po kontroli cel. W zamku drzwi obracał się klucz i strażnik, pozostając na korytarzu, wywoływał jego nazwisko. Czasami wzywali również Czernowa albo Wawiłowa. Któregoś dnia, gdy sierżant został wezwany i drzwi zamknęły się za nim z hukiem, Czernow szepnął:

- Nie ufaj mu.

- Dlaczego?

- Nieraz miałem do czynienia z takimi jak on. Rozmawiali leżąc na pryczach.

- To kapuś? - spytał Ryder. - O to samo można by podejrzewać ciebie albo i mnie.

- Oczywiście - zgodził się Czernow. - Wszystko jest możliwe. Ale istnieje pewna zasadnicza różnica. Ja wiem, że cię zdradzę, nim to wszystko się skończy. I nie ma znaczenia, czy pracowałeś dla wywiadu brytyjskiego, czy nie.

Możesz być pewny, że napiszę to w moim przyznaniu się do winy, zanim mnie rozstrzelają.

- Więc dlaczego mi o tym mówisz? - zdziwił się Ryder.

- Słuchaj. To kwestia zwykłej logiki, a oni rozumują logicznie. Ile jest wart podpis zmarłego? Albo nawet dwudziestu zmarłych, którzy przyznali się do tego, że współpracowali z wywiadem brytyjskim? Nic, prawda? Oni potrzebują twojego oświadczenia, i to udzielonego z wolnej woli. Nie mogą sobie pozwolić na to, by cię zastrzelić. Ciekawa sytuacja, co? To ty jesteś - kończył Czernow z uśmiechem - prymusem w klasie. A jeśli chodzi o mnie - machnął obojętnie ręką - nie spodziewam się promocji.

Czernow wychylił się z pryczy i bacznie przyglądał się współwięźniowi.

Ryder ułożył się na plecach i przemawiał do sufitu:

- Pamiętasz dziewczynę, którą stąd zabrali?

- Kozłową? - upewnił się Czernow.

- Pytali mnie o nią.

- Oczywiście. - Czernowa to wcale nie zdziwiło. - Próbują odkryć jej związki z wywiadem brytyjskim.

Ryder wiedział, że Czernow ma rację. Świadczyły o tym pytania, które mu zadawano.

- Ona się przyzna - kontynuował Czernow. - Przyzna się, nawet jeżeli nic o tym nie wiedziała. Najzabawniejsze jest to, że nawet ja nie wiem, czy rzeczywiście miała takie kontakty. O tym poinformowano zaledwie kilku ludzi na samym szczycie. Ja znam tylko człowieka, od którego dostawałem rozkazy, i wiem jedynie o tym, co sam miałem zrobić. Tak postanowiono ze względów bezpieczeństwa.

- Dlaczego więc się nie udało? - spytał Ryder.

- Jest tylko jedno wyjaśnienie. Wpadł im w ręce ktoś z samego szczytu, kto znał wszystkie szczegóły, i zmusili go do mówienia. Ale pękł dopiero pod sam koniec, bo inaczej nigdy bym się nie dostał do sali odpraw Stalina.

Ryder zaplótł ręce za głowę i wpatrzył się w brudną ścianę. Myślał o Nataszy Iwanownie.

Po chwili Czernow znów się odezwał. Mówił tak, jakby widział jakieś od dawna nieistniejące miejsca.

- Czasami śnię o letnim domu, brzozowym lesie i jeziorze. Gdy byłem dzieckiem, właśnie do takiego domu jeździliśmy dorożką na lotnisko. We śnie widzę matkę i słyszę, jak mnie woła. Chciałbym tam wrócić. Jak myślisz, może śmierć jest tylko takim snem?



Wydawało się, że Czernow przepowiedział własną przyszłość. Nagle zaczęto go wzywać coraz częściej na przesłuchania do Krerika i Lariczewa. Po tych przesłuchaniach wracał bardzo pobity. Kiedyś pałka Krenka wybiła mu ząb. W ciągu doby ból stał się niemożliwy do zniesienia. Wywiązało się zakażenie i Czernowowi spuchł cały policzek.

- Nie mam czym tego przebić - martwił się Ryder.

- Nie szkodzi. Już piszą moje przyznanie się do winy. Niedługo będzie gotowe. Podpiszę je, a wtedy dostanę kulę w głowę. To najlepszy środek przeciwbólowy.

Dwa dni później wyprowadzono go z celi. Był teraz tak chudy, że cały czas musiał przytrzymywać spodnie w pasie, aby mu nie opadły, policzki miał zapadnięte i posiniaczone od nieustannego bicia. W drzwiach jeszcze się obejrzał.

- Wczoraj wieczorem podpisałem przyznanie się do winy. W tym oświadczeniu figuruje twoje nazwisko - powiedział Ryderowi. Uśmiech w kąciu jego ust był tak samo ironiczny, jak w chwili gdy przykładął rewolwer do skroni i naciskał spust, tego dawno minionego dnia, w burdelu. - Nie przewiduje się zaproszeń na pogrzeb - dodał. - To będzie prywatna uroczystość.

Ryder pytał o niego podczas spaceru. Nikt nic nie wiedział. Może zamknięto go w karczerze albo wywieziono na wschód, do obozu. Możliwe też, że go rozstrzelano. W końcu i tak nie stanowiło to specjalnej różnicy. Mógł w ogóle nigdy nie istnieć, chyba że jako chłopiec, w swoich snach.

W ten sposób Ryderowi do towarzystwa pozostał tylko sierżant Wawiłow. Nie wątpił już, że to właśnie Wawiłow jest nasiedką. Chociaż często wzywano go na nocne przesłuchania, nie wydawał się cierpieć z powodu braku snu. Nie chudł też na więziennym jedzeniu. Skarzył się na bicie i raz wrócił z podbitym okiem. Jednak podczas cotygodniowego prysznicu Ryder nie widział śladów tortur na jego nagim ciele.

- Teraz wiem, że cała ta sprawa była czystą głupotą - narzekał Wawiłow któregoś wieczoru, gdy jedli tłusty kapuśniak. - Od początku nie mieliśmy szans. A co z tobą? Nie miałeś nawet planu ucieczki na wypadek, gdyby wszystko poszło źle?

- Nie mogliśmy z niego skorzystać. - Ryder wzruszył obojętnie ramionami. Klapka na judaszu zazgrzytała o ścianę, przerywając im rozmowę. Wawiłow zamilkł. Gdy oko zniknęło z wizjera i klapka wróciła na miejsce, kontynuował:

- I tak chyba by ci się nie powiodło - mówił, skrobiąc łyżką po dnie cynowej miski. - Jak zamierzałeś dostać się do któregoś z północnych portów? Przecież na pewno by cię złapali.

Ryder podniósł na niego wzrok. Wawiłow czekał na odpowiedź ze skrywaną niecierpliwością.

- Zamierzałem uciekać na południe - powiedział.

- Na południe? Zwariowałeś?

- Do Iranu. W lecie, gdy śniegi już stopnieją, łatwo można przejść granicę. Potem mieliśmy pojechać pociągiem do Tabrizu.

- Ale najpierw musielibyście jakoś dojść do granicy.

- Na całej trasie do Stalingradu przygotowano nam bezpieczne domy, a w samym Stalingradzie mam znajomych z dawnych czasów. Mieli nas zawieźć rzeką do Astrachania, a potem dalej na południe, do Baku, barką do przewozu ropy. A tam już bez trudu moglibyśmy się ukrywać w górach.

Wawiłow z uznaniem pokiwał głową.

- Całkiem dobry plan - przyznał.

- Szkoda tylko, że nie mogliśmy go wcielić w życie - mruknął Ryder. Był pewny, że sierżant przekaze tę informację swoim mocodawcom. Ktoś się zaniepokoi, może nawet ten sam człowiek, który, stojąc przy drzwiach poza światłem lamp w pokoju przesłuchań, palił papierosy.

Ale podczas następnego przesłuchania nie pytano go ani o bezpieczne domy, ani o plan ucieczki. Wydawało się, że specjalnie unikają tego tematu, żeby rozproszyć podejrzenia Rydera co do sierżanta Wawiłowa.

Jednak nocne sesje trwały dalej. Chodziło o to, by pozbawić Rydera snu, a przez to również odporności. Po kolacji w zamku obracał się klucz i strażnik wywoływał jego nazwisko. Ich kroki głośno rozbrzmiewały na pustym korytarzu. Potem siadał na stolku, twarzą do ostrych światel.

Którejś nocy Lariczew zawiesił sobie na palcach złoty łańcuszek z wisiorkiem i huśtał nim przed oczami Rydera. Ryder rozpoznał klejnocik Sierowej.

- Mamą zeznanie Szewczenki - powiedział Lariczew. - Ta kobieta, Sierowa, wyszła z mieszkania kilka godzin przedtem, nim zostaliście aresztowani. Dokąd poszła?

- Nie wiem.

- Na pewno byłeś ciekawy. Nie spytałeś jej?

- Może powiedziała Kryłowowi.

Pytania zawsze nawracały do kwestii brytyjskiego wywiadu.

- Otrzymywałeś rozkazy z Whitehallu.

- Nie.

- OdChurchilla.
- Co za absurd!
- Co wiesz o Churchillu?
- Przypuszczam, że mniej niż wy. Pali cygara i jest tęgi.
- I jest wielkim wrogiem socjalizmu.
- Jednak sprzymierzył się z wami przeciw nazistom.
- Sprzymierzeńcy nie spiskują przeciw sobie nawzajem...

Rydera coraz bardziej ciekawiło, kim jest trzeci mężczyzna, który czasami zjawiał się w pokoju, ale nigdy się nie pokazał. Którejś nocy prawie udało mu się go zobaczyć. Odwrócił nagle głowę do tyłu i usiłował przebić wzrokiem barierę świateł. Przez sekundę widział buty i wysoką postać opierającą się o ścianę. Jednak natychmiast lampy go oślepiły i w oczach został mu tylko powidok, palący źrenice.

To, że właściwie przesłuchiowano go dość delikatnie, tylko potwierdzało przewidywania Czernowa: „Nie mogą cię zabić”. Nawet gdy jego odpowiedzi rozwścieczyły ich, najczęściej tylko grozili mu karą.

Jednak podczas któregoś z kolejnych przesłuchań Lariczew wszedł w światło, potrząsając jakimś papierem. Oznajmił, że to zeznanie Czernowa. Pochylił się nisko nad Ryderem, na twarzy wykwitły mu rumieńce złości, co zdarzało się bardzo rzadko.

- Jesteś w to wszystko wmieszany! - wykrzykiwał.
- Włóż to sobie gdzieś - mruknął Ryder po angielsku.
- Mów po rosyjsku! - wybuchnął Lariczew. - Co powiedziałaś?!
- Towarzyszu Lariczew, tego zdania nie da się przetłumaczyć dokładnie, ale znaczy mniej więcej, że prosi się was, byście natychmiast włożyli ten papier w otwór swojego tyłka.

Krenek jednym ruchem wykopał spod niego stołek. Ryder znalazł się na podłodze. Jęcząc pod uderzeniami i ciosami twardych butów, zasłaniał sobie twarz rękami. Do pokoju wbiegło kilku ludzi. Chyba ze stołu spadła jakaś lampa, bo słyszał trzask szkła pod ich nogami, gdy wyciągali go na korytarz.

- Karcer - rozkazał Krenek.

Winda zjeżdżała na dół ze skrzypieniem lin. Gdy wrzucili go do celi, pomyślał, że może to ta sama, w której znalazł się zaraz po aresztowaniu. Bez okien, zapluskwiona.

Czuł, że ma popękane zębra. Bolało go przy każdym oddechu, a w okolicy nerek wprost paliło od kopnięć twardymi butami. Powłókł się do kubła i gdy się załatwiał, zobaczył, że w moczu jest krew.

Ból wzmagał się coraz bardziej. Ryder skulił się w kącie celi, rękami objął żebra i starał się oddychać jak najpłycej. Co kilka minut klapka na judaszu przesuwała się, a potem wracała na miejsce, ale nikt nie wchodził do celi.

Po kilku dniach izolacji wyprowadzono go na spacerniak: otoczone wysokim murem, nisko położone podwórze, zbyt nisko, by docierało do niego słońce. Już nie miał krwi w moczu, a żebra się goiły. Bolało go tylko w dole klatki piersiowej, poza tym czuł odrętwienie.

Pośród więźniów chodzących w kółko po spacerniaku było kilka kobiet. Po chwili Ryder zauważył Nataszę Iwanowną. Ona też go spostrzegła i leciutko skinęła głową. Ryder przesuwał się między więźniami, aż znalazł się koło niej. Rozmowa podczas spaceru była zabroniona, ale jednak udawało się zamienić kilka słów, jeżeli mówiło się cicho i ze spuszczoną głową.

- A więc pani żyje - szepnął.

- Na razie. Nie wiem, co chcą ze mną zrobić później. Mijali strażnika, więc na chwilę umilkli.

- A pan? - podjęła rozmowę, gdy już było bezpiecznie. - Co panu zrobili?

- Przenieśli mnie do prywatnego apartamentu.

- Wie pan, że Szewczenko nie żyje?

- Jest pani tego pewna?

- Rozmawiałam z kimś, kto był w infirmerii, gdy go przyniesiono.

- Co się stało?

- Za mocno go pobili. Uszkodzili mu jamę brzuszną i dostał zapalenia otrzewnej.

- Ile im powiedział?

- Trudno zgadnąć. W każdym razie dość, by zdołano uratować Stalina.

- A może słyszała pani, co się dzieje z Czernowem? - spytał Ryder.

- Nie, niestety.

- Zabrali go z celi. Mam nadzieję, że tylko do karceru.

- Wtedy widywałabym go podczas spaceru.

- Może jednak go rozstrzelali - stwierdził z żalem Ryder.

- Codziennie słyszy się tu plotki o masowych aresztowaniach i egzekucjach. Podobno Stalin nie pokazywał się publicznie przez cały tydzień. Najprawdopodobniej przebywał w swojej willi, ale teraz już jest zdrowy.

Strażnik rzucił im karcące spojrzenie. Ryder to zauważył i zwolnił kroku. Natasza szła przed nim. Z przyjemnością patrzył na jej zgrabną sylwetkę i czarne włosy, związane brudną

tasiemką w gęsty koński ogon. Strażnik zaczął obserwować innych więźniów, więc znów do niej podszedł.

- Ma pani jakieś wiadomości o ojcu?

- Obiecali mi, że umieszczą go w szpitalu i będą mu podawali środki przeciwbólowe.

- Obiecali?

Chwilę się zawahała, ale w końcu odparła:

- W zamian za zeznania.

- I co? Zeznawała pani?

- Tak. Opowiedziałam im o moim udziale w spisku. Zresztą dlaczego miałabym tego nie zrobić? I tak wiedzieli o wszystkim. A nazwiska, które im podałam, to nazwiska ludzi, którzy albo już nie żyją, albo siedzą w więzieniu, jak Szewczenko czy Czernow. Po co miałabym również ojca skazywać na cierpienie?

- Chyba ma pani rację - uznał Ryder, wzruszając ramionami.

- Strażnik na nas patrzy - ostrzegła.

Potem okrążali spacerownik w milczeniu. W pewnej chwili ich ręce się zetknęły i poczuł, jak jej ręka się cofa, wystraszona tym fizycznym kontaktem.

- Może jeszcze kiedyś spotkamy się podczas spaceru - szepnęła. - A jeżeli nie będzie nam to dane, życzę pani szczęścia, Nataszo Iwanowna.

Następnego dnia czuł się zbyt chory, by wyjść na dwór. W nocy zmusił się do jedzenia, ale dostał torsji. Nie mógł niczego zatrzymać w żołądku, a gdy wymiotował, ból przeszywał mu żebra.

Był słaby jak dziecko na skutek biegunki i wysokiej temperatury. Z trudem czołgał się z siennika do kubła i z powrotem.

Potem gorączka wzrosła jeszcze bardziej. W głowie go paliło, nawet nie golony zarost sprawiał mu ból. Bezmyślnie drapał się po bąblach od ugryzień pluskiew, ale w stanie nieprzytomności nawet o tym nie wiedział. Zapadał się w jakieś gorączkowe sny. W jednym z nich Lariczew wszedł do celi i proponował lekarstwa w zamian za zeznania. W chwilach świadomości Ryder nie wiedział, czy to sen czy rzeczywistość. Gdy się budził, wstrząsały nim dreszcze. Zamykał oczy i owijał się brudnym kocem.

Kiedyś, nawet nie wiedział kiedy, obudziły go jakieś głosy. Słyszał je z ogromnej odległości. Potem jednak uświadomił sobie, że rozlegają się na korytarzu.

Drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że huknęły o ścianę. Ryder nie był pewien, czy naprawdę to się dzieje, czy też po prostu śni. Zobaczył światło i zamrugał. Wydawało mu się, że na progu stoi Bałow. W tym śnie energiczny, władczy Bałow spojrzał na niego, a potem

odwrócił się i zaczął mówić do kogoś, kto stał na korytarzu. Ryder nie widział rozmówcy Bałowa.

- Dlaczego mnie nie powiadomiono? - usłyszał.

- Nie wiem. - Wysoki męski głos, który odpowiedział na to pytanie, wydawał się Ryderowi podobny do głosu jego śledczego Lanczewa. - Nie rozumiem, co się tu stało. Widocznie ktoś nie wypełnił rozkazu.

- Jeżeli umrze, ty będziesz za to odpowiedzialny.

Bałow wszedł do celi i przykucnął nad siennikiem. Ryderowi wydawało się, że żarówka pod sufitem świeci całe kilometry od niego, ale właściwie nic go to nie obchodziło.

- No, Antonie Stiepanowiczu - powiedział serdecznie Bałow. - Jak się czujesz? Zapewne źle, ale nie martw się. Dopilnuję, żeby zajął się tobą lekarz. A potem, gdy tylko utrzymasz coś w żołądku, dostaniesz porządne jedzenie. I wtedy porozmawiamy o dobrych, starych czasach.

Przez cztery dni trzymano Rydera w szpitalu na Seriebriańskim Pierieulku. Drugiego dnia, dzięki aspirynie, spadła gorączka. Salowy splukał mu głowę karbolem, a lekarz pomacał żebra.

Piątego dnia rano, wykąpany i w czystym ubraniu, pilnowany przez dwóch strażników, wrócił na Łubiankę.

Windą pojechali na piąte piętro, do nowej celi. Pod wysokim sklepieniem miała nawet okno, chociaż chronione kratą. Znajdowało się tam również łóżko z czystą pościelą. Na drewnianym stole stała szachownica, a także leżał stos książek. W tej nowej celi nie było kubła na nieczystości, więc nie rozchodził się po niej odór amoniaku od zastalego moczu. Przez okienko do pomieszczenia wpadały promienie słońca.

Po jakimś czasie do celi wszedł Bałow. Za nim strażnik niośł herbatę i talerzyk z plasterkami świeżej cytryny.

- Przed rewolucją - powiedział Bałow - ten dom stanowił własność Rosyjskiego Towarzystwa Ubezpieczeniowego, a w tym pokoju dyrektorzy pijali herbatę.

- Jak to miło, że przypadło ci w udziale korzystanie z redystrybucji dóbr - zadrwił Ryder.

- Siadaj, Antonie Stiepanowiczu. Niech ci się przyjrzę. Chyba niewiele się zmieniłeś. Może tylko o tyle, że jesteś odrobinę szczuplejszy. Ale cóż, Łubianka raczej nie jest znana z doskonałej kuchni. Chociaż, gdy patrzę na ciebie z bliska, widzę także inne zmiany. Przez te sześć lat, odkąd się nie widzieliśmy, stałeś się poważniejszy.

- Perspektywa kuli między oczy nie wpływa pozytywnie na poczucie humoru.

- Myślisz, że cię rozstrzelamy?

- Nie przypuszczam, by udekorowano mnie Orderem Lenina.

- Jeżeli tylko dam radę temu zapobiec, na pewno cię nie zabijemy - oświadczył Bałow.

- Doprawdy?

- Jesteś dla nas zbyt ważny. Zabijamy tylko tych szaleńców, którzy do niczego nie mogą się nam przydać. Czy mogę, ci nalać herbaty? Ryder siorbał gorzką herbatę przez plasterki cytryny.

- Czy Czernow należał do grupy mało ważnych szaleńców? - spytał.

- Był ważny - odparł Bałow. - Nawet niebezpieczny. Ale w końcu okazało się, że jest tylko szaleńcem.

- To rozróżnienie musiało go rozbawić.

- Ale nie rozbawiło naszych państwowych władz. Pomijając już wszystko inne, Czernow był żołnierzem i zdrajcą.

- Jedynym, co odróżnia zdrajcę od patrioty, jest to, czy pracuje dla zwycięzców, czy dla przegranej strony - zauważył Ryder.

- Ale każdy, kto przegrywa, musi zapłacić rachunek - powiedział Bałow.

- Przypuszczam, że mnie też obciążycie rachunkiem.

- Jeśli chodzi o ciebie, jeszcze go nie sporządziliśmy. Ryder czekał, popijając herbatę.

Po chwili milczenia Bałow znów się odezwał:

- Antonie Stiepanowiczu, dlaczego wpakowałeś się w tak głupie przedsięwzięcie?

- Przejmujesz przesłuchanie od swoich podwładnych? - spytał Ryder.

- Rozmawiam z tobą, bo jesteśmy starymi przyjaciółmi. To nie jest przesłuchanie.

- Polityka i przyjaźń nie idą w parze - pouczył Bałowa Ryder. - Przeszkodą w tym są przekonania.

- Chcesz, żebym ci powiedział, czym są przekonania? - spytał Bałow. - Przecież sam wiesz, jak łatwo je złamać.

- A czym warto je zastąpić?

- Rozsądnym dostosowaniem się do wymagań rzeczywistości - powiedział Bałow.

- Na ogół rozsądek dostosowuje się do każdej rzeczywistości.

- Jednak rzeczywistość zawsze kryje jakąś niezwyklejszą prawdę. W twoim przypadku ta prawda polega na tym, że jesteś Rosjaninem.

- Mój paszport nie świadczy o tym.

- Czy paszport potrafi zmienić to, co człowiek czuje w duszy? Słuchaj, Antonie Stiepanowiczu. Na pewno wiesz, po co tu przyjechałeś? Ja ci to powiem. Przyjechałeś tu, bo to twój kraj. Tu są twoje korzenie. Twoja przeszłość to Rosja.

Ryder nie odpowiedział. Po chwili Bałow zaczął się zachowywać mniej poważnie.

- Pamiętasz dawne czasy? - spytał. - Nasz pobyt w Stalingradzie?

- To było w przeszłym życiu. - Ryder wzruszył ramionami.

- Pamiętasz park? Ciemnowłosą dziewczynę, która tam przychodziła wieczorem i siadała przy fontannie?

- Chciałeś się z nią przespać.

- Ty też - przypomniał mu Bałow.

Przez umysł Rydera przemknęło wspomnienie żółtego cienia, rzucanego przez słoneczniki na twarz tej nieznanym dziewczyny.

- Miałeś ją? - Bałow puścił oczko.

- A ty?

- To jedna z wielu nie wykorzystanych w moim życiu okazji - zaśmiał się Bałow. - A pamiętasz Saszę akordeonistę? Jak on grał! I zapach lata w zagajniku... Potem już nigdy drzewa tak nie pachniały.

- Rzeczywiście, nie - przyznał Ryder.

- I te kamienne lwy pod gwiazdami - wspominał dalej Bałow. - Nigdy nie ustaliliśmy, co symbolizują.

- Może lepiej nie rozumieć znaczenia niektórych rzeczy - powiedział Ryder patrząc mu w oczy.

Bałow przychodził do jego celi dość często. Rozmawiali o polityce i o wojnie, a nawet sprzeczali się o dialektykę socjalizmu. Któregoś dnia zagrali w szachy. Ta gra jeszcze bardziej uwidoczniała głęboki konflikt psychologiczny między nimi.

Wychodząc Bałow spytał, czy Ryder czegoś potrzebuje.

Ryder przejechał ręką po zaroście na twarzy.

- Brzytwy - powiedział.

- Nie mogę ci tego dać.

- Dlaczego?

- Gdyby niechcący ześliznęła ci się na gardło, nie zniósłbym wyrzutów sumienia.

Następnego dnia rano przyszedł fryzjer i ogolił Rydera. Był to stary mężczyzna, który w tysiąc dziewięćset czternastym roku ucierpiał od gazu musztardowego. Naostrzył zniszczoną brzytwę o pas, a potem po każdym pociągnięciu wycierał mydło o swoją rękę.



Przez cały czas obok stał strażnik. Od tego dnia fryzjer przychodził każdego ranka, ale nigdy nic nie powiedział.

Pewnego popołudnia Bałow wezwał limuzynę i pojechali do parku rozciągającego się na wzgórzu nad rzeką Moskwą. Gdy przejeżdżali przez most, Ryder zobaczył we wstecznym lusterku jadący za nimi samochód. W parku zatrzymał się na poboczu niedaleko nich i wysiadło z niego czterech mężczyzn. Bałow jak zawsze ostrożny, pomyślał. Zbocze opadało łagodnie do brzozowego lasu, białe pnie lśniły w promieniach słońca przesianych przez liście. Weszli do lasu, ale nie oddalali się zbyt daleko, pozostając w zasięgu słuchu obstawy.

Spacerowali między drzewami i przyglądali się rzece. Ryder pomyślał, że ma do niej nie więcej niż sto metrów. Poczł impuls, by rzucić się w tamtą stronę. Szansa na wolność powodowała napływ adrenaliny do żył.

- Znowu mamy lato - powiedział Bałow. - Czujesz, jak pachnie powietrze?

- Lepiej niż na Łubiance.

- Właśnie dlatego tu przyjechaliśmy. Wydawało mi się, że taka zmiana sprawi ci przyjemność.

Ryder uśmiechnął się.

- Walerianie Wasiliewiczu, nigdy nie dostaje się niczego za darmo. Tutaj też przyjechaliśmy z jakiegoś określonego powodu. O co chodzi?

- Powiedzieć ci prawdę? No, dobrze. Powiem. Antonie Stiepanowiczu, jesteś oficerem brytyjskiego wywiadu. Możesz temu zaprzeczać, ale ja wiem, że to prawda. Wiemy też o operacji „Szary Wilk”. Nawet jeżeli Churchill jej nie zlecił, to przynajmniej zgodził się na nią, co w końcu sprowadza się do tego samego.

- Skoro tak sądzisz, to po co mnie przesłuchujecie?

- Żebyś to potwierdził.

- Działalem na własną rękę - oświadczył Ryder. - Kryłow też.

- Ludzie, którzy cię przesłuchiwali, mogliby torturować cię tak długo, aż wyciągnęliby z ciebie prawdę. Jak myślisz, dlaczego tego nie zrobili? Nie zrobili tego dlatego, że potem odwołałbyś swoje zeznanie. Ja potrzebuję oświadczenia danego z wolnej woli.

Spacerowali dalej w cieniu drzew. Ryder spojrzał w dół, na rzekę. Dwaj enkawudziści przechadzali się brzegiem. Wyżej, w pobliżu drogi, zobaczył trzeciego. Czwarty najprawdopodobniej szedł za nim i Bałowem. Mimo braku nadziei, adrenalina nadal wlewała mu się do żył.

- Nasz Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych - mówił dalej Bałow - nalegał na Whitehall, by zgodzili się na spotkanie między towarzyszem Stalinem a Churchillem.

- I gdzie takie spotkanie miałyby się odbyć? - spytał Ryder.

- W Moskwie.

- A w jakim celu?

- Żeby przekonać Brytyjczyków, że utworzenie drugiego frontu jest absolutną koniecznością.

Ryder pokiwał głową i powiedział:

- To niemożliwe. Churchill nie może teraz tego zrobić.

- Wiemy wszystko o Churchillu. Głośno mówi o sojuszu angielsko-radzieckim, ale nie sprawiłoby mu większej przyjemności, niż patrzeć, jak Niemcy zgniatają Związek Radziecki. Chciałby, żeby armia niemiecka i radziecka wyniszczyły się nawzajem. Dopiero wtedy utworzy drugi front.

- Jak widzę, nie uważasz go za człowieka honoru.

- To nie jest kwestia honoru. Silni ludzie zawsze czuli pokusę uprawiania hazardu z historią. Silni ludzie nie przejmują się honorem.

- Stalin też?

- Drugi front musi powstać. - Bałow zignorował pytanie Rydera. - Bez tego zginą miliony radzieckich ludzi.

Czernow miał więc rację. Ryder lekko się uśmiechnął. Bałow go potrzebuje. Nie zabiją go, bo tylko żywy stanowi dowód brytyjskiej zdrady. Co za śliczny szantaż. Stalin użyje go, by wyciągnąć od Churchilla decyzję utworzenia drugiego frontu.

- A co z życiem milionów Brytyjczyków, jeżeli Churchill powoła drugi front, zanim będzie do tego gotowy?

- Jesteś Rosjaninem - rzekł Bałow. - Nie Brytyjczykiem. Ryder nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Słuchaj - mówił Bałow. - Przecież my już zapłaciliśmy naszą daninę krwi. Dlaczego ktoś inny nie może ponieść przynajmniej części kosztów? Zresztą i tak chodzi głównie o to, że jeżeli szybko nie powstanie drugi front, zimą wojna w Rosji może dobiec końca.

Zatrzymali się na słonecznej dróżce, skąd mieli piękny widok na rzekę niknącą za horyzontem. Ucieczka wydała się nagle Ryderowi tak samo niemożliwa jak chwycenie w ręce refleksów światła na wodzie.

- Antonie Stiepanowiczu - powiedział jeszcze Bałow. - Z początku chcieli cię zabić. Przekonałem ich, żeby z tym trochę poczekać. Teraz masz szansę. Jeszcze jest czas. Ale ten czas ucieka i niedługo już nic nie będę mógł dla ciebie zrobić.

- A wtedy może dowiemy się, co symbolizują lwy - mruknął Ryder uśmiechając się.

Podczas gdy Bałow i Ryder wracali samochodem na Łubiankę, w kobiecej części więzienia Natasza, zupełnie naga, czekała w ogonku do prysznic. Były tylko dwa, zawieszony nad rowem odpływowym. Nogi więźniarek ślizgały się na lepkiej od mydła, cementowej podłodze.

Strażniczki bardzo skracaly i tak niedługi czas regulaminowo przyznany na mycie. Gdy przyszedła kolej Nataszy, szybko weszła pod strumień wody i namydliła się. Jej ręce myły piersi, jędrne i gładkie, potem zsunęły się na ciemny trójkąt włosów. Tam palce stały się nagle niezręczne. Kropki grzyba powstałego z wilgoci, pstrzące tynk na ścianach, przywiodły jej na myśl podeszłą ropą wysypkę na piersi i plecach Własika. Spłukała się, wytarła i ubrała przy ławce, na której leżały złożone rzeczy. Przez cały czas patrzyła w ziemię i nie odzywała się do nikogo.

Potem, sama w celi, usiadła na pryczy z policzkiem przyciśniętym do ściany i cichutko płakała. Czuła się brudna, może nawet zarażona, chociaż na razie nie stwierdziła u siebie objawów choroby wenerycznej.

Własik nie był delikatny, a widok jego wielkiego, purpurowego członka przyprawił ją o mdłości. Gdy niezręcznie pakował się w nią, zamknęła oczy i miała tylko świadomość przygniatającego ją ciężaru i bólu błony dziewiczej, która, jak jej się wydawało, rozciągała się w nieskończoność, ale nie dawała się przerwać.

- Musisz się nauczyć, jak podniecać mężczyznę - powiedział później, biorąc ją za rękę i nakierowując na siebie. Gdy wyczuła pod palcami jego miękki teraz członek, znów o mało nie zwymiotowała.

W ciągu tych długich godzin, które spędziła z nim sama w Kuncewie, zmuszał ją do robienia obrzydliwych, wprost nienaturalnych rzeczy. Gdy protestowała, tylko się śmiał albo okrutnie jej wymyślał, więc znów robiła, co chciał, aż w ciemnościach i zapachu cielesnych wydzielin zaczynał wydawać dźwięki jak kopulujące zwierzę.

Była przekonana, że ją zaraził, i teraz przy każdym oddawaniu moczu wyobrażała sobie, że wszystko ją pali. Niedługo, myślała, podejrzenia się potwierdzą. Na jej ciele wystąpi ropiejąca wysypka, infekcja zaatakuje organy przeznaczone do dawania życia. Coś w niej umarło. Wiedziała, że już nigdy nie pozwoli sobie na intymną bliskość z mężczyzną. Wstyd zawsze przeważa nad pragnieniami.

Przez długi czas przyciskała mokrą od łez twarz do ściany celi. Nic nie czuła, zupełnie jakby zapadła w katatonię. Tylko chwilami przez jej umysł przebiegały iskierki myśli, a dotyczyły przeważnie ojca i wspomnień z dzieciństwa.

Widziała sanki z czerwonym oparciem i żelaznymi płozami, pamiętała, że zimą chodzili do parku, w którym śnieg usypywał się w zasy pod drzewami i bielił szczyty wzgórz, a ona siedziała na kolanach ojca, który wołał: „Trzymaj się mocno!” i frunęli w dół, a płozy skrzypiały na zamarzniętym zboczu. Nosila futrzaną czapkę i rękawiczki, włosy wymykały się spod rondka, ostry wiatr ciął w twarz. Drzewa pędziły do tyłu, a ona krzyczała z radości. Czasami sanki się przewracały, wyrzucając ich na śnieg w fontannie białego pyłu. Wtedy ojciec podnosił ją wysoko. Jego ręce były mocne, czuła się w nich bezpieczna i oboje głośno się śmiali.

- Zjedziemy jeszcze raz? - wołała. - Zjedziemy?

- Musisz zająć się Własikiem przez co najmniej dwanaście godzin - powiedział jej Szewczenko. - To jest krytyczny czas.

W zamku obrócił się klucz, popchnięte drzwi uderzyły w ścianę.

- Kozłowa! - zawołano z korytarza.

Po powrocie do gabinetu Bałow posłał po Nataszę. Na biurku miał sterty dokumentów. Znalazł jej teczkę i zapalił papierosa.

Gdy strażnik przyprowadził Nataszę, stanęła przed biurkiem. Po dłuższej chwili Bałow podniósł głowę. Spojrzał na nią twardo zza smugi dymu unoszącej się z papierosa, którego trzymał w ustach.

Osiem tygodni więzienia odebrały jej rumieniec. Oczy wydawały się większe, a kości policzkowe bardziej wydatne.

- Okazał się dobrym kochankiem? - spytał Bałow.

- Nie wiem, o czym mówicie.

- OWłasiku.

Jej oczy pozostały chłodne, bez wyrazu, ukrywały ból. Nie odpowiedziała. Bałow błędnie wytłumaczył sobie jej milczenie.

- Bardzo wzruszające. - Uśmiechnął się. - Podziwiam twoje poświęcenie dla kraju.

- Wolę o tym nie mówić.

- Oczywiście - przytaknął Bałow. - Jednak, Nataszo Iwanowna, musisz zrozumieć, że to nie ty wybierasz temat rozmowy. Po aresztowaniu raz na zawsze zdjęto z ciebie trud dokonywania wyborów. A to, czy zostaniesz rozstrzelana, czy też wyślemy cię, żebyś zgnęła w obozie, też nie będzie zależało od twojej decyzji.

Gestem pokazał jej, że ma usiąść. Zajęła miejsce i wpatrzyła się w popękany tynk na ścianie nad jego głową. Ręce złożyła na podołku. Szkoda jej, pomyślał Bałow, ale prócz żalu

czuł też złość na siebie samego. Powinien był przespać się z nią tamtego wieczoru po balacie, w swoim mieszkaniu. Ale czy to by coś zmieniło?

- Spójrz na mnie - polecił.

Jej ciemne oczy uchwyciły jego wzrok, potem przesunęła spojrzenie w bok. Bałow wyszedł przed biurko, przysiadł na blacie i chwycił Nataszę pod brodę, unosząc jej głowę tak, że była zmuszona patrzeć mu w oczy. Natychmiast wyczuł w niej potrzebę ucieczki.

- Zachowałeś się jak ostatnia idiotka - stwierdził.

W jej wzroku nie dostrzegł oporu, tylko obojętną pustkę. Podeszedł do okna i wyjrzał na dwór. Ulica tętniła życiem.

- Gdy podpisałam przyznanie się do winy, dano mi pewne obietnice - powiedziała Natasza.

- Obietnice?

- Że mój ojciec będzie leczony i że dostanie środki przeciwbólowe.

- I ta obietnica została dotrzymana.

- Skąd mogę wiedzieć, czy to prawda? Mielicie go tu przywieźć na widzenie. Bałow wrócił za biurko. Przez długą chwilę milczał i tylko palił papierosa.

- Chciałabyś spotkać się z ojcem? - spytał wreszcie.

Przez okno limuzyny widzieli wznoszące się w niebo kopuły Kremla. Na ulicach było pełno wojskowych konwojów, większość jechała na południe, wzmocnić armię Timoszenki. W Głównej Kwaterze uważano, że Hitler już wkrótce zacznie wiosenną ofensywę atakiem na Moskwę. Gdyby tak się stało, Bałow zamierzał przenieść Rydera do więzienia we Władimirze, sto pięćdziesiąt kilometrów na wschód. Co do Nataszy, jeszcze nie podjął decyzji.

- Tędy nie jedzie się do szpitala - zauważyła Natasza.

- Rzeczywiście - przyznał.

Dojechali do przedmieść i skręcili w polną drogę. Natasza zobaczyła porośnięte drzewami, trawą i krzakami jeżyn wzgórze, otoczone wysokim kamiennym murem. Ponad koronami drzew wznosiły się złocone kopuły jakiejś opuszczonej cerkwi.

Kierowca zatrzymał samochód koło świątyni. Bałow przechylił się, by otworzyć drzwiczki, i ręką wskazał Nataszy, żeby wysiadła. Wysoko, ponad gałęziami drzew, widać było kamienie nagrobne.

Bałow wziął Nataszę pod rękę. Poszli ścieżką wśród zieleni, rozjaśnianej od czasu do czasu jaskrawymi pączkami kwiatów. W końcu zatrzymali się przed nowym nagrobkiem.

- Tu leży twój ojciec - powiedział Bałow.

Natasza zeszywniała pod wpływem szoku. Szok z opóźnieniem, pomyślał, bo na pewno od razu zgadła, po co ją tu przywiózł. Potrzebowała tylko realnego potwierdzenia, by pozbyć się irracjonalnej nadziei.

Uklękła i dotknęła kamienia. Bałow nie widział jej twarzy, tylko zgarbione plecy. Nad nimi gąszcz tworzył sklepienie, a plamki światła rzucane przez promienie popołudniowego słońca, które przedzierały się między splątanymi gałęziami, nadawały zeszlórocznym zeschlým liściom kolor miedzi. Natasza przeżegnała się, a potem gwałtownie odwróciła.

- Więc to tak dotrzymujecie obietnic?

- A co ci obiecano? Że nie będzie cierpiać z braku lekarstw. Tylko tyle.

- Zastanawiam się - szepnęła - czy można was nienawidzić jeszcze bardziej, niż ja was teraz nienawidzę.

- Iwan Nikołajewicz popełnił samobójstwo - powiedział Bałow. - Dzień po tym, jak cię aresztowano.

- Nie mogliście mi tego powiedzieć?

- Kraj potrzebował twojej pomocy. Zresztą i tak nic nie mogłabyś na to poradzić.

- Proszę mi powiedzieć, jak umarł.

- Podciął sobie żyły.

Natasza znów odwróciła się do grobu. Teraz płakała.

- Załatwiłem mu pogrzeb tutaj - dodał Bałow - na poświęconej ziemi. Czekaj, aż Natasza się opanuje. W końcu skinęła głową, chociaż ciągle jeszcze na niego nie patrzyła.

- Możemy zostać tu dłużej, jeżeli chcesz.

Powiał wietrzyk, poruszając zeschlými liśćmi. Miedź rozsypała się na setki kawałków. Natasza wstała, twarz miała poważną i smutną. Gestem dała znać, że nie chce tu dłużej zostawać.

Gdy Bałow wezwał strażnika, by zaprowadził Nataszę z powrotem do celi, nad Moskwą zapadała już noc. Ostre przesłuchanie nie wniosło nic nowego, chociaż jakiś instynkt go ostrzegał, że ta kobieta ukrywa przed nim ważne informacje. Gdy został sam, oparł się o framugę okna i wpatrzył w niebo ciemniejące nad dachami.

Jakiś czas później pojechał tramwajem do mieszkania na Prospekcje Karola Marksa, gdzie umieścił Sierową. Mieszkanie zostało przydzielone aktorce występującej razem z zespołem przed żołnierzami na froncie moskiewskim. Zgodziła się zostawić Bałowowi klucze.

Wszedł do środka. Słyszał tylko tykanie zegara stojącego na gzymsie kominka. W otwartym oknie wiatr poruszał koronkową firanką. Pomyślał, że Sierowa wyszła, ale zaraz

ją zobaczył. Siedziała w miękkim fotelu. Nie widział jej torsu, lecz tylko zarys skrzyżowanych nóg, lśniących w świetle księżyca, i dym papierosa wznoszący się w niewyraźnej poświacie.

- Co cię zatrzymało? - usłyszał z ciemności.

- Musiałem coś załatwić.

- Mogłeś zadzwonić. - W jej głosie nie słyhać było zainteresowania. Tylko palce szarpiące papierosa świadczyły, że jednak jest zdenerwowana.

- Nie miałem pod ręką telefonu - skłamał.

- Bałow, zbyt wiele rzeczy przyjmujesz jako oczywiste.

- Doprawdy? - Widział, jak prostuje długie nogi, a potem wstaje. - Więc może cię zainteresuje, gdy ci powiem, że byłem z inną kobietą.

Bałow złapał ją za rękę, zanim zdążyła przeorać mu policzek paznokciami. Odwrócił ją i unieruchomił jej ręce za plecami. Sierowa odrzuciła głowę do tyłu. Nie mogła się uwolnić. Bałow uśmiechnął się z zimną bezczelnością i jakby niechcący, pocałował ją niezbyt przyjaźnie w usta.

- Niech cię szlag - mruknęła pod jego wargami, ale już czuł, jak jej opór się rozplywa i zupełnie odmienne uczucie zastępuje gwałtowną złość.

- Katia, tracisz czas. - Znów się do niej bezczelnie uśmiechnął. - Przecież oboje wiemy, czego naprawdę chcesz.

Potem, gdy zaczął się odsuwać, powoli rozluźniła chwyt drżących palców na jego ramionach.

- Nie, nie odchodź - jęknęła, a nagły skurcz mięśni pochwy przyprawił go o nowy spazm rozkoszy.

Wreszcie jej ręce ześliznęły się na poduszkę, gorącą od potu. Bałow obrzucił ją pocałunkami, aż wreszcie się odsunął.

- Teraz porozmawiamy - oświadczył.

- O czym?

- Pamiętasz, co powiedział nam Wawilow o bezpiecznych domach i planie ucieczki?

- Chyba w to nie wierzysz.

- Nie, i to mnie właśnie martwi. Cały ten plan jest na tyle nierealny, że może być prawdziwy. To właśnie ten rodzaj gry, jaką podjąłby brytyjski wywiad, bo jest zbyt głupia, by ktokolwiek w nią uwierzył.

- Jak na to wpadłeś?

- Podczas przesłuchiwania Kozłowej.

- A więc to z nią spędziłeś cały dzień.

- Tak, prawie cały.

- Słyszałam, że jest ładna.

- Owszem, raczej ładna.

Ręka Sierowej poruszyła się pod kołdrą. Gorące palce chwyciły członek Bałowa.

- Ale to ja mam tę część ciebie, której ona nigdy nie dostanie.

Znów był podniecony. Natychmiast wbiła paznokcie w jego twardniejące prącie, roześmiała się i sięgnęła na nocną szafkę po papierosa. W bladym świetle księżyca zabłysło jej nagie ramię. Oparła się na łokciu, pozostawiając między sobą a nim pewną odległość. Nawet jej piersi, zgniecione podniesionym ramieniem, cnotliwie znajdowały się poza jego zasięgiem, przesłonięte dymem papierosa.

- Skoro tak bardzo chcesz porozmawiać, to niech ci będzie. Porozmawiajmy przez chwilę. Czy ta dziewczyna, którą przez cały dzień bez litości przesłuchiwałeś, powiedziała coś o generale Własowie?

- Nie - przyznał Bałow. - Chociaż w tej chwili nie ma to już specjalnego znaczenia.

- Dlaczego?

- Wszystko, co pozostało z armii Własowa, znajduje się w okrążeniu na południe od Leningradu. A to znaczy, że są skończeni.

- AWłasow?

- Wysłano po niego samolot z Moskwy, ale odmówił powrotu.

- Nie sądzisz, że to o czymś świadczy?

- Masz oczywiście rację. Wszystko wskazuje na to, że Własow jest jednym z przywódców spisku. Jednak to tylko poszlaki. Gdybyśmy mogli go na czymś przyłapać...

- Więc dlaczego nie potraficie tego zrobić?

- Ponieważ już postanowiono, że trzeba mu pozwolić polec razem z jego armią. Stalin chce, by to się odbyło w ten sposób. Zeszłej zimy Własow był bohaterem. Ocalił Moskwę. Nastroje w radzieckim społeczeństwie są ważne, więc nie należy pozwolić, by dowiedziano się, że okazał się zdrajcą.

- Może to jedyny generał, który przystąpił do spisku - myślała na głos Sierowa.

- Chyba raczej nie - parsknął ze złością Bałow.

- Wala - szepnęła. - Zaczynasz widzieć kontrewolucjonistów za każdym drzewem.

- Skoro tak myślisz, będziemy ścinać każde drzewo.

- Ale może oni kryją się wyłącznie w twojej wyobraźni?



- Wydaje ci się, że wyobraziłem sobie również bezpieczne domy? - obruszył się Bałow. - Jednak istnieje tylko jeden sposób, by to wykryć.

- Jaki? - spytała Sierowa.

- Pozwolić im na ucieczkę. Kozłowej i Kanadyjczykowi. Mógłbym to zaaranżować.

- Chcesz ich puścić? Chyba oszalałeś.

- Nie. A ty pójdziesz z nimi.

- Ja?

- Nie martw się. Ktoś cię będzie ubezpieczał. Chociaż nie przypuszczam, byś tego potrzebowała.

- Bałow, boję się. - Sierowa zmarszczyła brwi. - Jeżeli coś pójdzie źle...

- Załatwimy to tak, by nic nie poszło źle. - Bałow uśmiechnął się i ułożył się wygodnie na poduszcze. - Prawie widzę, jak to się odbędzie - mówił. - Przeniesienie z Łubianki do Władimira, oni razem, w zamkniętej kabinie furgonetki, wyjeżdżający z miasta na wieś...

Furgonetka odjechała sprzed więzienia na Łubiance po północy. Ryder i Natasza siedzieli naprzeciwko siebie na ławkach pod burtami samochodu. Druciana krata osłaniała tylne okno, a na szybie, przez którą można było zobaczyć kabinę kierowcy, zaciągnięto zasłonę.

- Czernow nie żyje - powiedział Ryder. Natasza milczała, nie podnosząc na niego wzroku.

- Mnóstwo ludzi nie żyje - rzuciła po długiej chwili tak, jakby śmierć była czymś zwykłym, nie gorszym niż katar.

Przy tylnych drzwiach widniała dziura po wyrwanym piecyku. Ryder wstał i przyłożył oko do otworu, ale zobaczył tylko nie oświetloną ulicę uciekającą do tyłu i budynki. Wrócił na ławkę. W ciemnościach twarz Nataszy zaznaczała się bladym owalem.

- Może nas rozstrzelają - odezwała się bez emocji.

- Gdy tylko uznają, że przyszedł na to czas. - Ryder wzruszył ramionami.

- Dlaczego przenoszą nas do Władimira? - spytała tym samym monotonnym głosem.

- Boją się niemieckiej ofensywy na Moskwę.

Na jej smutnej twarzy pojawił się lekki uśmiech, bardziej gorzki niż rozbawiony.

- Wierzysz w to?

- Nie.

Furgonetka często zakręcała, zwalniała, potem przyspieszała. Przez chwilę jechali jakąś główną ulicą, potem znów zwolnili i skręcili w brukowaną drogę. Koła podskakiwały na

wyboistej powierzchni, żwir tłukł w błotniki. Po jakichś dwóch kilometrach kierowca ostro zahamował. Ryder uderzył głową w burtę, Nataszę prawie rzuciło na podłogę.

Stali, ale silnik pracował. Kierowca wystawił głowę z szoferki i coś krzyczał. Ryder wyrzwał przez tylne okno. Zobaczył polną drogę. Po obu stronach wznosiły się zrujnowane budynki.

- Co się dzieje? - spytała Natasza.

- Mamy kłopot. Może jakaś blokada?

Usłyszeli, jak kierowca klnie. Nagle wiązanka przekleństw urwała się. Rozległ się okrzyk zdumienia, przerwany wystrzałem z pistoletu, a zaraz potem rozjęczał się klakson. Wydawało się, że nigdy nie ucichnie; nappełniał nocne powietrze nieznośnym hałasem. W końcu zamarł. Ktoś zgasił silnik.

Podłoga zatrzeszczała pod nogami konwojenta, potem usłyszeli gwałtowną wymianę zdań i szelest żwiru. Drzwi otworzyły się, ale zamiast strażnika do furgonetki wdrapała się Sierowa.

- Szybko! - krzyknęła, ponagając ich gestami. - Wsiadajcie!

- Sierowa? - Ryder zmarszczył brwi. - Ale jak...

- Nie teraz.

Ryder poszukał wzrokiem strażnika. Zobaczył, że stoi rozbrojony koło przednich drzwiczek. Obie ręce trzymał na karku, a w jego oczach malowało się przerażenie.

Dwa metry dalej mierzył do niego z pistoletu rudy olbrzym. Szerokie ramiona osiłka rozpychały wojskową bluzę. Nawet pistolet wyglądał w jego ogromnej dłoni jak zabawka.

- Kierowca nie żyje - powiedziała Sierowa. - Pomóżcie mi wydostać go. Musimy zabrać stąd furgonetkę.

Szofer ciężko opierał się czołem o kierownicę. Oczy i usta miał otwarte. Niebieski otwór w jego policzku był spuchnięty wokół krawędzi. Nie krwawił zbyt wiele, z rany wyciekła tylko cienka strużka, wyglądająca jak czerwona wstążka.

Wyciągnęli go za ubranie. Przewrócił się na plecy i jego płócienna czapka spadła na ziemię. Sierowa zatrzymała się, żeby ją podnieść.

- Połóżcie go z tyłu - rozkazała.

Ryder ciągnął zmarłego za nogi. Na nim nie robiło to już wrażenia. Ale Natasza odwróciła się i zamknęła oczy.

Mężczyzna z pistoletem pomachał na strażnika.

- Ty też - polecił. - Wsiadaj z tyłu i połóż się twarzą do podłogi. Szybko!

Gdy tylko zamknięto drzwi, mężczyzna w wojskowej bluzie zatknął pistolet za pas i usiadł na miejscu kierowcy. W jego potężnych rękach kierownica wprost ginęła. Co za obwód karku, pomyślał Ryder. Co najmniej pół metra. Mięśnie szyi wyglądały jak stalowe liny.

- Tędy - wskazała Sierowa Ryderowi i Nataszy. - Mamy ciężarówkę. Pospieszcie się.

Ryder wziął Nataszę za ramię, ale ona natychmiast się wywinęła. Zobaczył, że nie znajdują się wśród ruin, lecz na opuszczonym placu budowy. Wyglądało to na domy mieszkalne. Najprawdopodobniej wstrzymano pracę, gdy zaczęła się wojna, gdyż mieszkania przestały być potrzebne, skoro większość fabryk ewakuowano na wschód, za Ural.

Z tyłu, w ciemnościach, rozległ się warkot silnika furgonetki. Pojazd cofnął się na drodze, zatrzymał i zawrócił. Usłyszeli, jak odjeżdża na niskim biegu, a pod jego kołami szeleści żwir.

- Kto to jest? - spytał Ryder.

- Ilia Pawłowicz - odparła Sierowa. - To dezterter. Możecie mu ufać. Z przodu zobaczyli wyłaniającą się z ciemności wojskową ciężarówkę. Do tej pory blokowała drogę.

- Skąd ją macie?

- Ukradliśmy - wyjaśniła Sierowa. Rozejrzała się niespokojnie. - Lepiej, żebyście jechali na skrzyni. O tej porze nie powinno tu być nikogo, ale dźwięk w nocy rozchodzi się daleko. Nie chcemy ryzykować.

Podniosła plandekę, Ryder z Nataszą wdrapali się na pakę i ukryli pod ładunkiem. Ciężarówka przewoziła końskie derki i uprząż. Skóra była świeżo wyprawiona i lśniła pod warstwą oleju. Po kilku minutach usłyszeli kroki. Ilia Pawłowicz podbiegł, wsiadł do kabiny i uruchomił silnik.

- Wszystko w porządku - powiedział Ryder, gdy już jechali. - Znam ją. To ona przywiozła nas z Murmańska.

- Dokąd nas zabierają?

Ryder uniósł brzeg plandeki, ale zobaczył tylko polną drogę biejącą w świetle brzasku. Wrócił do Nataszy. Nawet mimo ciemności z bliska widział lęk na jej twarzy.

- Nie wiem. Ale chyba lepsze to niż Władimir, nie sądzisz?

/Ciężarówka zatrzymała się przy jakimś kamiennym murze. Sierowa odpięła plandekę z przytrzymujących ją zaczepów i kiwnęła na Rydera i Nataszę.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Ryder.

- W klasztorze albo raczej w tym, co z niego pozostało. Nie martwcie się, mieszka tu tylko dozorca.

- A co z kierowcą? - Ryder zajrzał do kabiny. - Idzie z nami?

- Porzuci gdzieś ciężarówkę, a potem wróci pieszo.

Ciężarówka odjechała. Weszli za mur. Zobaczyli teren porośnięty drzewami i dawno nie strzyżonymi krzakami. Księżyc oświetlał wierzchołki drzew, ale niżej było ciemno. Przed nimi rysował się kształt cerkwi, połączone kopuły mieniły się srebrem w księżycowym świetle. Przeszli dziedziniec i wstąpili pod arkady.

Dozorca, mocno kulejąc, wyszedł im ze świecą na spotkanie. Twarz porastał mu szary zarost, a ubranie miał tak pogniecione, jakby w nim spał.

- Gdzie jest Ilija Pawłowicz? - spytał, patrząc spode łba na Rydera i Nataszę.

- Przyjdzie później - odparła Sierowa. - Zaczekam na niego. Aleksieju Siergiejewiczu, dajcie mi świeczkę i wracajcie do łóżka.

Starzec skinął głową i pokuśtykał gdzieś do wnętrza budynku.

- Ma trochę nie po kolei w głowie - powiedziała Sierowa. - Wydaje mu się, że ma objawienia, ale jest nieszkodliwy.

Poszli za Sierową korytarzem. Klasztor był państwowym muzeum, zamkniętym w październiku. Na ścianach zobaczyli siedemnastowieczne freski: świętych i anioły w walce z szatanem. Postacie już wypływały. Może jeszcze szatan przeżyje wszystkich.

W wąskim skrzydle budynku znajdowały się cele mnichów, którzy dawno temu umarli. Kobiety zajęły jedną z nich, mężczyźni drugą. Sierowa zapaliła łojową świeczkę. Na pryzkach leżały sienniki. Otwór wybity wysoko w ceglanej ścianie służył za okno. Oślaniały je drewniane okiennice zamocowane na żelaznych zawiasach.

- Po drugiej stronie korytarza jest toaleta - powiedziała Sierowa. - Ale obawiam się, że to tylko nocnik.

- A woda do picia? - spytała Natasza.

- Musimy nabrać jej ze studni na dziedzińcu. Potem przyniosę.

Zostawili Nataszę siedzącą na łóżku. W celi, w której Ryder miał spać z Ilią, Sierowa zapaliła jeszcze jedną świeczkę. W jej świetle zobaczyli gołe ściany i jaśniejsze miejsca, skąd zerwano ikony.

Sierowa z uśmiechem na szerokich ustach podeszła do Rydera, dotknęła palcem jego policzka i powiedziała:

- Masz brodę. O ile dobrze pamiętam, drapie. Ryder chwycił ją za przegub i odsunął, ale nie puścił.

- Wiele zrobiłaś dla mężczyzny, którego broda drapie - zauważył.

- Wolałbyś, żebym tego nie zrobiła?

- Interesuje mnie tylko, dlaczego tak ryzykowałaś.

- Jesteś sceptykiem z natury - odparła wykrętnie. - Mnie raczej interesują sprawy fizyczne.

Ryder puścił jej nadgarstek i usiadł na pryczy. Płomień świecy oświetlił bliznę w kształcie drutu kolczastego na jego policzku.

- Jak się dowiedziałas o furgonetce? - spytał.

- Od tygodni wiedziałam, gdzie cię trzymają. Tej nocy, kiedy przyszli po ciebie i po Maksyma Nikołajewicza, obserwowałam wszystko z pewnej odległości.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Zapomniałam zabrać wisiołek po matce - wyjaśniła. - Okropnie się tym martwiłam, więc wróciłam. Zobaczyłam, jak enkawudziści wyciągają cię z domu. Wtedy pomyślałam, że nie będę bezpieczna w mieszkaniu poleconym mi przez Szewczenkę.

- I gdzie poszłaś?

- Do ludzi, których znałam jeszcze z pierwszego pobytu w Moskwie. Ilia jest ich siostrzeńcem. W pierwszej chwili wystraszyli się. Szybko zorientowałam się, dlaczego. Okazało się, że już od tygodni go ukrywają. Jest dezterem.

- Dlaczego uciekł?

- W Smoleńsku jego dowódca rozkazał, by oddział się wycofał. NKWD aresztowało wszystkich. Oficerów rozstrzelano, a szeregowcom urządzono sąd polowy i skazano na obozy pracy. Ilii Pawłowiczowi udało się uciec podczas ataku Niemców. Nienawidzi Stalina i NKWD.

- Nienawidzi tak bardzo, że chciał zaryzykować dla dwojga nieznajomych?

- Jego rodzina ma kontakty na Łubiance. Od trzech dni wiedzieliśmy o tym, że będziesz przewieziony do Władimira. Ryzyko staje się mniejsze, gdy zna się plany wroga.

Ryder nie pozbył się wątpliwości, ale był śmiertelnie zmęczony. Jego umysł już nie pracował i nie potrafił dostrzec różnicy między prawdą a kłamstwem.

- Kryłow znalazł twój wisiołek - powiedział. - Chciał go zachować i oddać ci przy pierwszej okazji.

- Biedny Kryłow - szepnęła i Ryder prawie uwierzył, że Sierowa oplakuje śmierć Maksyma Nikołajewicza.

- Kiedyś - odezwał się po chwili milczenia - Kryłow mówił mi, że zawsze chciał uczestniczyć w jakiejś szlachetnej sprawie, by dowiedzieć się, jaki naprawdę jest. Zastanawiam się, czy w ostatniej chwili nie zmienił zdania.

- Przynajmniej nie żył wystarczająco długo, by zobaczyć klęskę - odparła Sierowa.

- To prawda. - Ryder skinął głową. - Może i dobrze się stało.

- Lepiej idź spać - zaproponowała Sierowa. - Mamy teraz większe kłopoty.

Ryder obudził się o świcie. Ilią spał zwinięty w kłębek na drugiej pryczy. Nad flanelowymi onucami widać było muskularne łydki. Bluzę zwinął i użył jej jako poduszki, a pistolet podłożył pod siennik koło głowy.

Usłyszawszy powłóczenie nogą, Ryder wstał i otworzył okiennice. Zobaczył dozorcę, Aleksieja Siergiejewicza, który wychodził z sadu, niosąc w czapce owoce i jajka.

Później starzec dał mu mydło, brzytwę i ręczne lustro. Ryder wyszedł na dziedziniec. Przy studni napompował wody, zdjął koszulę i umył się, a potem ogolił.

Poranne słońce nadawało kamiennym arkadom żółty kolor. Ryder umieścił lustro w szczelinie muru i zgolił brodę. Za nim znajdowały się drzewa, kościół i cmentarz. W lustrze widział odbicie kamieni nagrobnych.

Pochylił się, by wypłukać twarz, a gdy się wyprostował, zobaczył w lustrze Nataszę. Pojawiła się nagle i stała nieruchomo jak jeszcze jeden marmurowy posąg.

Ryder wytarł twarz, zapiął koszulę i podszedł do niej.

- Nataszo Iwanowna, co się stało?

Stała patrząc w dół, na bezimienną mogiłę. Nie podniosła głowy, a gdy się odezwała, mówiła obojętnie, ukrywając uczucia.

- Ten widok przypominał mi grób ojca.

- Widziałaś go? - zdziwił się Ryder.

- Raz mnie tam zabrano z Łubianki. Tamten cmentarz przypominał ten. Nawet klasztor tam był.

Natasza podeszła do drzewa, objęła je obiema rękami i przytuliła twarz do pnia. Ryder zobaczył, że jej ramiona drżą od płaczu.

Lekki wiaterek poruszył liśćmi, a po ziemi pomknęły cienie.

- Zabił się - powiedziała. - Po tym, jak mnie aresztowano. Znów zatkała. Miotły nią gniew i ból, ale także jakieś jeszcze uczucie, którego Ryder nie rozumiał.

- Nie wiedział, co robiłam w Kuncewie, chyba że mu powiedzieli - szepnęła. - A jeżeli mu powiedzieli, to wtedy ja ponoszę winę za jego śmierć.

Jej rozpacz obudziła w Ryderze emocje, nie doznawane przez niego od chwili, gdy bezradnie patrzył na twarz żony zasłoniętą bandażami i na jej nieruchomą postać. Przeszyło go drżenie, które poruszyło w nim zapomniane uczucia. Tyle że tak łatwo pomylić współczucie z rozpaczą. Tak właśnie stało się w Coventry. Dlaczego w Kuncewie miałyby być inaczej? Cokolwiek zdarzyło się tam z Własikiem, niczego już nie można było zmienić, tak samo jak nie można było zmienić tego, że jego żona umarła od poparzeń.

- W Kuncewie postąpiłaś tak, jak musiałaś - powiedział spokojnie. Obojętnie skinęła głową i wróciła do grobu, wycierając łzy ręką.

- Ojciec zawsze chciał, by powróciło dawne życie - powiedziała. - Przed rewolucją miał piękną dorożkę ze skórzanymi siedzeniami i dzwonkami. Jesienią zabierał matkę na wieś na przejażdżki.

Znów delikatny wiaterek poruszył liśćmi. Wspomnienie rozplynęło się w cieniach.

- Ostatnio nie mógł spać. Siadał na krześle i przyglądał się zdjęciu matki. Może śnił o tych jesiennych dniach w dorożce. - Natasza ze smutkiem pokiwała głową. - A teraz śpi snem wiecznym.

Ktoś ich zawołał. Zobaczyli Sierową, stojącą pod arkadą.

- Lepiej idźmy do niej - powiedział Ryder.

W ciemnej, wysokiej kuchni siedzieli na ławkach wokół stołu zbitego z grubych desek.

- Na pewno znaleziono już ciężarówkę - odezwał się Ilia.

- A furgonetkę? Jak myślisz? - spytała Sierowa.

- Chyba też.

Ilia miał niesymetryczną twarz, zupełnie jakby ktoś niestarannie ją ulepił. Jedno oko wydawało się większe niż drugie, nawet głęboki dołek w brodzie znajdował się trochę z boku zamiast pośrodku.

- Zeszłej nocy - Sierowa zwróciła się do Rydera - chciałeś wiedzieć, dlaczego zaryzykowaliśmy i pomagamy wam. Powiem ci dlaczego: skoro dostałeś się tu dzięki pomocy brytyjskiego wywiadu, na pewno pomogą ci również się stąd wydostać, a nam razem z tobą.

- Jedynym sposobem na ucieczkę, jaki przewidywali, była pigułka cyjanku.

- A co z bezpiecznymi domami?

Ryder popatrzył na nią przez stół i znów zaczął się zastanawiać, kim ona naprawdę jest. Zapewne Wawilow przekazał informację. Kółko się zamknęło. Co się stało z prawdziwą Sierową? Najprawdopodobniej nie żyje.

- Kto ci mówił o bezpiecznych domach? Kryłów? - spytał.

Nie odwróciła spojrzenia i poczuł zimny podziw dla jej bezczelności.

- Raz o tym wspomniał - odparła - ale bez szczegółów, a ja nawet nie chciałam ich znać.

Ryder wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że bezpieczne domy zostały wykryte, tak samo jak cała reszta.

- Jednak - wtrącił się Ilia, marszcząc czoło - jeżeli istnieje dla nas jakaś szansa...

- Tylko taka, żeby dać się zabić - stwierdził Ryder, zastanawiając się jednocześnie, w jakim departamencie NKWD Bałow znalazł tego olbrzyma. Przecież nie wybierał na chybił trafił. Zbyt wiele od tego zależało.

- Podjęliśmy ryzyko i udało nam się - oznajmiła Sierowa. - Dlaczego nie pójść dalej? Zresztą i tak nie mamy innego wyboru.

Ryder poprosił o papierosa. Ilia popchnął paczkę i zapalki przez stół.

- Nie lubię niespodzianek - powiedział Ryder, wydmuchując dym. Szybko odrzucił papierosy i zapalki. Ilia złapał paczkę z papierosami, ale nie trafił ręką w zapalki. Ma słaby refleks, pomyślał Ryder. Ale kompensują to wzrost i siła. NKWD nie wysłałoby z taką misją człowieka, który nie potrafi sobie poradzić. A za pasem Ilia miał pistolet. Trzeba mu go odebrać.

Nadal siedzieli w kuchni, przy stole z grubych brzoźowych desek. - Możesz zadzwonić z tej samej budki, z której kontaktowałeś się, przedtem - powiedział Ryder do Sierowej.

- Dlaczego z tej samej budki? To parę godzin jazdy stąd.

- Przypuszczam, że trzymają kogoś w pobliżu właśnie na wypadek takiego telefonu.

- I co miałabym powiedzieć?

- Przekażesz hasło, odwieszysz słuchawkę i poczekasz. Na pewno ktoś oddzwoni i powie ci, co dalej robić.

- No dobrze. Podaj mi hasło i numer, pod który mam dzwonić.

- Podam ci je, gdy przygotujesz się do wyjazdu. Ale tylko tobie. - Powiódł wzrokiem po pozostałych osobach. - Jeżeli się rozdzielimy albo złapią któreś z nas, im mniej kto będzie wiedział, tym lepiej.

- On ma rację - zgodził się Ilia. - To dobry środek bezpieczeństwa.

- No to jadę - rzekła Sierowa. - Mam tramwaj do miasta.

- Nie teraz - sprzeciwił się Ryder. - Trzeba dzwonić po zmroku. W jej spojrzeniu nagle odmalowała się podejrzliwość.

- Dlaczego? - spytała. Uśmiechnął się do niej przez stół.

- To nie ja ustalałem zasady - odparł i wyszedł z kuchni. W holu zatrzymał się przed freskiem, na którym Archanioł Michał wypędzał Lucyfera z nieba. Nagle przestraszył go jakiś głos:

- Podobno spadł na ziemię z szybkością błyskawicy. Aleksiej Siergiejewicz. Ryder nie słyszał, jak starzec się zbliża.

- Widziałem go. - Stary dozorca mówił z ociąganiem. - Tego anioła z malowidła.



- Gdzie?

- Pośród drzew, koło grobów.

- Może to był marmurowy posąg?

- Nie - upierał się dozorca. - Miał miecz w ręku. To Anioł Śmierci. - Zmarszczki na twarzy pogłębiły mu się w uśmiechu. - A teraz jest wśród nas. Zobaczysz go.

Aleksiej Siergiejewicz odszedł kuśtykając. Potem Ryder dostrzegł przez okno, jak staruszek rozmawia z Ilią w sadzie. Już nie wydawał się niespełna rozumu. Mówił z ożywieniem, twarz miał poważną, a Ilią stał w takiej pozycji, jak podwładny przyjmujący rozkazy od przełożonego.

Zobaczył również Nataszę. Stała samotnie przy studni na dziedzińcu. Poszedł do niej. W sadzie liście były zielone i oświetlone słońcem. Żaden z mężczyzn go nie zauważył. Dalej rozmawiali wśród drzew.

Ryder nabrał kubek wody z koryta i zaczął szeptać do Nataszy:

- Bezpieczne domy nie istnieją. To tylko taki fortel. Zaraz jak się ściemni, uciekam stąd. Jeżeli chcesz, możesz iść ze mną.

- Nie rozumiem. - Natasza zmarszczyła brwi.

- To NKWD ułożyło nasze przeniesienie do Władimira i ucieczkę. Mieli nadzieję, że naprowadzę ich na ślad siatki spiskowców. Tyle że nic takiego nie istnieje.

- Przecież zabili kierowcę swojej własnej furgonetki - oponowała. - Naprawdę go zabili. Sam widziałeś.

- Najprawdopodobniej to był również więzień, taki jak my. Przebrali go, żeby wyglądał przekonująco. A on nie wiedział, czym to się dla niego skończy, póki nie zobaczył pistoletu wymierzonego w swoją twarz.

Popatrzyła na Rydera z obawą, ale on ponad jej ramieniem obserwował obu mężczyzn rozmawiających w sadzie.

- Może nam się już nie nadarzyć okazja do rozmowy sam na sam - mówił dalej. - Musisz szybko podjąć decyzję. To jest wielka gra i będziemy grać do chwili, kiedy Sierowa pojedzie wieczorem zatelefonować. Wtedy los nas wszystkich stanie się przesądzony. Jeżeli mi nie wierzysz, to zostań tutaj.

- Co chcesz, żebym zrobiła? - spytała Natasza, bo już podjęła decyzję. Obaj mężczyźni wracali z sadu. Olbrzym odgarniał smagające go gałęzie.

- Poczekamy do wyjazdu Sierowej - tłumaczył Ryder. - Wtedy będziesz musiała odwrócić uwagę dozorca, podczas gdy ja zajmę się Ilią. Może poproś go, żeby ci pokazał cerkiew. Powiedz, że chcesz zapalić świeczkę dla ojca.

Na wczesną kolację zjedli barszcz z grzybami i zieleninę z ogrodu. Sierowa niecierpliwie wyglądała pory wyjazdu. Ryder odprowadził ją aż za arkady. Musiał zaimprovizować ostatni dialog, by przedstawienie było kompletne, chociaż jeden z aktorów grał pośmiertnie. Oprócz Kryłowa również inne pierwszoplanowe postacie nie wstaną z desek sceny, gdy kurtyna już opadnie. Jak NKWD traktuje tych, którym się nie powiodło? Zapewne bardzo nieprzyjemnie.

- Powodzenia, Jekaterino Aleksiejewna.

- Nie wierzę w szczęście - odparła. - Po prostu należy bezbłędnie wykonywać to, co ma być wykonane.

- Bardzo dużo ryzykowałeś. Nie wiem, czy zdołam ci się odplacić za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

- Nie mów głupstw i przestań się zamartwiać. Nic mi nie będzie. Chciałbyś mnie pocałować, zanim wyjadę?

Chłodne usta zadrżały pod jego wargami. Szare oczy słały obietnicę, dotknięcie jej palców na plecach miało zmysłowy podtekst. Potem poszła. Minęła cerkiew i zniknęła w sadzie.

Ryder wrócił do klasztoru. W wielkim holu o zniszczonych ścianach zobaczył Nataszę. Siedziała z książką na kolanach, głowę miała spuszczoną. Niedaleko od niej stał Ilija, opierał się ramieniem o ścianę i przyglądał się Nataszy przez dym papierosa.

Przez otwarte francuskie okna widać było Aleksieja Siergiejewicza, który przystanął koło krzaku róż. W ciszy rozlegał się tylko zgrzyt jego sekatora.

- Ilijo Pawłowiczu, zagramy w szachy? - zaproponował Ryder.

Natasza zamknęła książkę, wstała i poszła do ogrodu.

Podeszli do lśniącej szachownicy z kości słoniowej. Ryder wyciągnął zamknięte pięści. Ilija stuknął w lewą. Przypadły mu białe pionki.

Gdy usiedli, Ryder mógł słyszeć fragmenty rozmowy prowadzonej w ogrodzie. Natasza poprosiła dozorcę, by otworzył cerkiew. Powiedziała, że chce się pomodlić za ojca. Aleksiej Siergiejewicz odparł, że w środku jest już za ciemno.

- Ale możemy zapalić świece - nalegała.

Potrząsając niechętnie głową pokuśtykał za nią przez dziedziniec. Jednak dawało się zauważyć, że nie chce jej tracić z oczu. Najprawdopodobniej Bałow wydał surowe rozkazy w tej sprawie.

- Jak było w Smoleńsku? - spytał Ryder.

- Rzeźnia - odparł Ilią. - Otoczyły nas faszystowskie jednostki pancerne. Wszystko dostarczano im drogą powietrzną. Nam rozkazano uderzać na nich falami. Gdy tylko ktoś starał się wycofać, NKWD zabijało go na miejscu.

Może Ilią rzeczywiście walczył pod Smoleńskiem, pomyślał Ryder. Ale jeżeli nawet tak, to raczej jako jeden z katów. Na ogół milczał i był pogrążony we własnych myślach, ale gdy już zmusiło się go do mówienia, wysławiał się raczej jak oficer niż jak prosty żołnierz. Teraz wydało się Ryderowi, że jest czujny i niebezpieczny, ale na razie niczego nie podejrzewa.

- Mielicie szczęście, Iliu Pawłowiczu.

- NKWD zdierało buty ze zwłok zanim zdążyły zamarznąć - opowiadał dalej Ilią. - A potem układano ciała jak sęgi drewna. Myślałem wtedy, że przyszedł na mnie koniec.

Na szachownicy pierwsze pionki już zmieniły pozycje. Ilią bębnił palcami w stół. Drugą rękę trzymał na nodze, blisko pistoletu zatkniętego za pas. Był to automatyczny, bezdrutowy tokariew z magazynkiem na osiem nabożów. Na rękojeści miał wyrzeźbionych pięć radzieckich gwiazd. Ryder zauważył, że kurek jest odwiedziony. Oznaczało to, że w komorze znajduje się nabój.

Przesunął laufra na pole przed królową i powiedział:

- Jest coraz ciemniej. Trzeba zapalić lampę.

Wstał i po chwili wrócił z lampą naftową. Metalowy pierścień przytwierdzał gruby klosz do solidnej mosiężnej podstawy. Ryder udał, że zastanawia się nad następnym ruchem na szachownicy, i obojętnie poprosił:

- Iliu Pawłowiczu, dajcie mi zapalki.

Palce przestały bębnić o stół, ręka skierowała się do kieszeni bluzy. Ryder miał nadzieję, że Ilią sięgnie po zapalki drugą ręką, tą, która spoczywała koło pistoletu. Uderzył lampą.

Olbrzym chyba jednak miał się na baczności, bo w ciągu tej sekundy zdążył do połowy wyciągnąć pistolet zza pasa. Gwałtownym ruchem odskoczył i uderzenie nie trafiło go w twarz. Lampa opadła mu na czaszkę nad uchem w chwili, gdy podnosił się z krzesła. Szkło się rozbiło. Ilią upadł z łoskotem, aż zatrzęsła się podłoga. Pistolet wysliznął mu się zza pasa. Zaczął się podnosić, opierając się na obu rękach. Oderwane ucho wisiało na strzępku skóry. W otępieniu mrugał oczami, niezdolny do skoncentrowania wzroku na Ryderze; Antony złapał krzesło i zaczął nim walić Ilię po głowie i ramionach. Walił tak mocno, że od krzesła odłamała się noga. Podłoga znów zadrżała, gdy olbrzym opadł nieprzytomny.

Ryder odrzucił krzesło na bok i rozejrzył się za pistoletem. Nagle usłyszał sapnięcie. Okręcił się szybko, by zobaczyć, co się dzieje, ale w pół ruchu zatrzymał go atak Ilii. Obaj stracili równowagę i upadli na stół, który się przewrócił.

Ilia był na wierzchu. Jego palce dusiły Rydera z siłą stalowych lin. Antony'emu brakowało już powietrza. Zaczął walić Ilię po twarzy, potem wpakował mu kciuki we wgłębienia pod uszami, ale Ilia był niewrażliwy na ból. W jego oczach malowała się determinacja, by skończyć to, co zaczął. Ryder walczył jak szalony. Czuł, że zaraz pęknie mu tchawica.

W pobliżu głowy zobaczył odłamki szkła. Zdołał dosięgnąć jednego, w kształcie sztyletu, i wbił go w kark napastnika, mając nadzieję, że trafia w tętnicę.

Ilia nie wydał żadnego dźwięku, ale w jego oczach odmalowało się zaskoczenie. Przez chwilę wydawało się, że nic mu się nie stało. Potem z jego palców, zaciśniętych na gardle Rydera, zaczęła uchodzić siła. Antony uderzył go w klatkę piersiową pod sercem i palce jeszcze bardziej rozluźniły chwyt. W końcu Ryder odepchnął się obiema rękami i olbrzym opadł na podłogę jak kawał granitu.

Ryder uniósł się na kolano, spazmatycznie łapiąc powietrze. Chwycił pistolet, odbezpieczył go i przykucnął przy nieruchomym Ilii, by sprawdzić mu kieszenie.

Wśród jego rzeczy znalazł legitymację NKWD, gruby zwitek banknotów i urzędowe pismo stwierdzające: „Kapitan I.P. Krugłow wykonuje tajną misję o najwyższym znaczeniu dla bezpieczeństwa państwa. Posiada specjalne zezwolenie na podróżowanie po całym ZSRR. Należy udzielić mu wszelkiej niezbędnej pomocy”. Dokument nosił podpis generała majora W. Iwanowa i opatrzony był pieczęcią Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych.

Ryder zachował pieniądze i dokument. Zabezpieczył pistolet, włożył go za pasek, pod marynarkę, a potem chwycił Ilię za nogi i zaciągnął go do kuchni. Olbrzym żył, ale jego źrenice nie reagowały na światło, a powietrze wydobywało się z płuc z gulgotem. Usta miał otwarte, szczękę miękką, a z boku gardła wystawał mu kawałek zakrwawionego szkła.

Ryder zostawił go w spizarnce, której drzwi zamknął na skobel. Potem poszedł do biura i wyrwał kabel telefoniczny ze ściany. Nagle usłyszał głosy. Natasza i Aleksiej Siergiejewicz wracali z cerkwi. Ryder pobiegł do holu.

Na twarzy Nataszy malowało się napięcie. Dozorca rozejrzył się szybko po pomieszczeniu. Gdy zobaczył przewrócony stół, rozbite szkło i plamy krwi na podłodze, jego podpuchnięte oczy zwęziły się.

- Gdzie jest Ilia Pawłowicz?

- Wpadł na lampę i skaleczył się - wyjaśnił Ryder. - Poszedł się położyć.

Aleksiej Siergiejewicz popatrzył na niego z niedowierzaniem, a potem szybko pokuśtykał do holu. Ryder w pierwszej chwili chciał iść za nim, ale zaraz pomyślał, że bezpieczniej będzie po prostu zabierać się stąd.

- Stawał się podejrzliwy - szepnęła Natasza. - Nie mogłam go zatrzymać dłużej. Chyba wie.

- Idziemy - ponaglił Ryder, biorąc ją za ramię.

- A co z Ilią? Masz pistolet?

- Mam.

Przemknęli przez dziedziniec i zniknęli w cieniach nocy. Usłyszeli wołanie Aleksieja Siergiejewicza:

- Kozłowa! Ryder! Rozkazuję wam wrócić!

Wsunęli się do niszy, Ryder popchnął Nataszę za załom muru i przycisnął się do niej. Aleksiej Siergiejewicz wybiegł na dziedziniec. Tym razem nie kulał. W jednej ręce trzymał latarkę, w drugiej automatyczny pistolet. Przebiegł wzdłuż arkad i popędził do sadu.

- Wyjdziemy przez cmentarz - szepnął Ryder.

Pochylając się przemknęli za drzewa przy cerkiewnym murze. Ryder w każdej chwili spodziewał się, że nocną ciszę rozedrze strzał z pistoletu. Teraz szli wzdłuż zaniedbanego żywopłotu. Nagle usłyszał cichy okrzyk. Obejrzał się i zobaczył, że Natasza upadła. Cofnął się.

- Skręciłam nogę w kostce.

- Możesz dojść do muru?

- Spróbuję.

Ryder otoczył ją ramieniem w talii. Cicho szli wśród nagrobków i pomników.

Ponad nimi, w lesie, latarka rzucała smugi światła, wydobywając z ciemności pnie drzew.

- Schodzi! - krzyknęła Natasza.

Ryder wepchnął ją do dołka za jednym z marmurowych aniołów. Leżeli płasko, zasłonięci krzakami i winoroślą. Ciężar pistoletu w ręku dodawał Ryderowi odwagi. Jednak jeżeli tylko uda się tego uniknąć, postanowił nie zabijać starego dozorcę.

Usłyszeli trzask suchych gałęzi i krzewów. Aleksiej Siergiejewicz zbliżał się. Pod rozrośniętymi pnączami anioł zajaśniał w świetle latarki. Potem smuga światła przesunęła się po krzakach, pod którymi leżeli, i po chwili była już daleko od nich. Usłyszeli, jak Aleksiej Siergiejewicz klnie, wracając do klasztoru.

- Zadzwoń po pomoc - szepnęła Natasza.

- Przeciąłem drut. To nam daje trochę czasu, ale i tak musimy się spieszyć.

Pomógł Nataszy wstać. Nad nimi, w ciemności, anioł patrzył przed siebie pustymi oczami. Ale nie ma w ręku miecza, pomyślał Ryder, więc jednak nie jest Aniołem Śmierci.

W zrujnowanym po nalocie budynku puste okna wyglądały jak ślepe oczy. Od ścian odpadały kawały tynku. Część pokrycia dachu się zapadła i przez belki zerkały gwiazdy.

Cementowa podłoga zasypana była żwirem; turbiny i maszyny nadające się do uratowania zostały wysłane na wschód. Z cementu wystawały pogięte stalowe pręty.

Siedzieli w cieniu pod zniszczonym rusztowaniem i patrzyli w gwiaździste niebo.

- Myślisz, że będą nas szukali tak daleko od klasztoru? - spytała Natasza.

- Na pewno, ale dopiero jutro rano.

- Jeżeli nas znajdą, pistolet nie na wiele się przyda.

- Sam zrobię z niego użytek - odparł Ryder. - Nie zamierzam wracać na Łubiankę.

Uświadomił sobie, że Natasza patrzy na niego, chociaż w ciemnościach nie widział jej twarzy.

- Tak bardzo pragniesz umrzeć? - odezwała się po dłuższej chwili. W jej głosie nie wyczuł ironii ani kpiny, lecz tylko ciekawość. Wzruszył ramionami.

- Wszystkich nas to czeka, prawda? Nieważne, kto pociągnie za cyngiel, bo od początku życia wiadomo, że i tak się ono skończy.

Całą rękę miał pokaleczoną, od palców po nadgarstek. Musiało to się stać wtedy, gdy usiłował wbić kawałek klosza od lampy w szyję Ilii.

- Co ci się stało w rękę? - spytała Natasza.

- Nic.

- Ale jest pocięta. Ryder zacisnął palce.

- To nie są głębokie skaleczenia.

- Jednak powinieneś mieć opatrunek.

Uśmiechnął się.

- Obsługa na Łubiance była poniżej wszelkiej krytyki. Moje chusteczki nie wróciły z pralni.

- Proszę. - Zdjęła z głowy chustkę, a przy tym ruchu jej piersi naprężyły się pod sukienką. - Przynajmniej uchroni cię to od zabrudzenia. - Owinęła jego dłoń i zawiązała końce chustki na luźny węzeł.

- Nie za ciasno?

- Nie. Doskonale. Ale nie powinnaś robić sobie kłopotu.

Przepełniło go uczucie wdzięczności, niewspółmierne z rodzajem przysługi, jaką mu oddała. Od tak dawna trzymał wszelkie emocje zamknięte w jakimś zakątku serca, że teraz nie potrafił uporać się nawet z najprostszymi. Dla niego każde uczucie wobec kobiety stanowiło niewierność, wzbudzało poczucie winy. Niezręcznie odsunął rękę i powiedział:

- Nie będzie nam łatwo oddalić się od Moskwy.

- Chciałabym, żebyśmy już ruszyli. Boję się.

- Lepiej poczekać do rana. Teraz, podczas godziny milicyjnej, jest jeszcze bardziej niebezpiecznie.

- Tak, chyba masz rację - zgodziła się.

Potem siedzieli w milczeniu. Natasza oparła się o ścianę i patrzyła w wyrwę w suficie.

- Gwiazdy - szepnęła po jakimś czasie. - Od tak dawna ich nie widziałam.

Jej twarz i ręce odznaczały się w ciemnościach jasnymi plamami. Ryder zdjął płaszcz i zwinął. Gdy podkładał go pod głowę Nataszy, ich palce musnęły się i zdenerwowanie, które w niej wyczuł, sprawiło, że znów pomyślał o tym, co zapewne wydarzyło się w Kuncewie.

- Nataszo Iwanowna, prześpij się trochę. Jutro czeka nas długi dzień.

Rano obudził się pierwszy. Uniósł się na łokciu i spojrzał na Nataszę. Jej usta miały kolor nie rozwiniętego pąku róży. Cicho wstał i wspiął się na stertę gruzu leżącą pod ścianą z oknem.

Kawałki szyby odbijały pierwsze promienie słońca. Drganie powietrza na wschodzie zapowiadało upał. Tu, w zbombardowanej fabryce, czuło się jeszcze chłód. Zobaczył linię kolejową; szyny i zwrotnice były wyrwane z ziemi. Wgłębienia, jakie po sobie zostawiły, wyglądały jak ślad po przejściu ogromnego potwora.

Przy końcu toru, za rzędem ogromnych magazynów, widniały dachy domów przedmieścia, ciągnące się aż po horyzont. Ludzie uwijali się przy rampach załadowniczych najbliższego składu. Niektórzy nieśli narzędzia. Ich głosy rozbijały poranną ciszę.

Ryder zsunął się na podłogę i obudził Nataszę. Razem znów wdrapali się na stertę gruzów, do okna.

- To brygada drwali - powiedziała. - Albo jadą za miasto kopać rowy przeciwczołgowe.

- Jesteś pewna?

- Tak. Widzisz ciężarówki? Zaraz będą je załadowywać.

- To ochotnicy?

- W większości tak.

- Czy sprawdza się im dokumenty?

- Mnie nie sprawdzali.
- Więc może mamy trochę szczęścia.

Ciężarówka z warkotem sunęła po drodze, plandeka powiewała na wietrze. Rozmowy dotyczyły głównie Woroneża nad Donem. „Prawda” informowała o ciężkich walkach. Na ogół oznaczało to bliską klęskę. Może nawet Woroneż już padł. Nikt w ciężarówce nie wypowiadał tej myśli głośno, ale wszyscy o tym wiedzieli.

- A Moskwa? - spytał ktoś.
- Moskwa to co innego!
- Żuków ich przeżuje i wypluje!

Ciężarówka zatrzymywała się na kolejnych wojskowych punktach kontrolnych, ale za każdym razem strażnicy machali, żeby jechała dalej. Przejechali jakiś most, a potem droga prowadziła wzdłuż rzeki. Czuli zapach lasu. Ryder spojrzął na Nataszę. Spod podniesionej plandeki przyglądała się widokom. Może to właśnie tu jej ojciec brał matkę na przejażdżki dorożką. Ryder widział całe to wspomnienie, wpisane w ciemne spojrzenie Nataszy.

Droga opadała ku rzece. Zatrzymali się przy pomoście. Kierowca podszedł otworzyć zaczepy klapy i pasażerowie wyskoczyli na ziemię. Przy moło stała pusta barka na drewno. Wieczorem płaski pokład zostanie zapełniony wysokimi stertami pni.

Na polankę wjechało jeszcze kilka ciężarówek. Nadzorca z ramienia partii podzielił ludzi na brygady. Ryder patrzył bezradnie, jak Nataszę kierowano do innej brygady niż jego samego.

- Towarzyszu, to moja żona - odezwał się do nadzorcy. - Chcieliśmy pracować razem.
- Nie przejmuj się. - Mężczyzna potraktował to jak dobry dowcip. - Połączycie się znów przed wieczorem. - I dodał mrugając: - Gdy będziesz już żonaty tak długo jak ja, ucieszy cię każda okazja, by stracić swoją damę z oczu.

- Ale...

- Koniec rozmów - nakazał nadzorca. - Przyjechałeś tu na piknik czy do pracy?

Natasza odeszła ze swoją brygadą. Potrząsnęła szybko głową, ostrzegając go, by się więcej nie odzywał.

Ryder miał pracować przy pile, w parze z mężczyzną, który wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat. Między obwisłymi policzkami miał usta wypukłe, jak u lalki. Oczy pod daszkiem czapki były wytrzeszczone jak u chorych na tarczycę, co jeszcze podkreślało wyraz zaciekawienia, jaki się w nich malował.

- Dlaczego taki młody człowiek jak ty nie walczy na froncie?
- Jestem na urlopie zdrowotnym.



- Byłeś ranny?
- Dostałem trochę niemieckiej stali pod Chołmem.
- Powinieneś chodzić w mundurze.
- Musiałem go oddać do naprawy i prania.

Po kilku godzinach pracy Ryder był cały spocony, na rękach utworzyły mu się pęcherze, chociaż chustka Nataszy trochę je chroniła. Skaleczenia na dłoni znów się otworzyły i krew przeciekała przez materiał. Gdy przyszła pora na zmianę narzędzi i zamiast pracować we dwóch piłą ociosywali pnie siekierami, Ryder chciał oddalić się od swojego towarzysza, ale ten mu na to nie pozwolił.

Po jakimś czasie ogłoszono przerwę. Wszyscy zeszli się przy ciężarówkach, gdzie na trójnogach wisiały płócienne sakwy na wodę. Natasza wyjęła zatyczkę i napełniła kubek. Wypiła, napełniła kubek ponownie i podała go Ryderowi. Przez cały czas partner Rydera przyglądał się im. Czapkę miał ściągniętą na czoło, więc nie widzieli jego oczu, a jedynie wygięte w grymasie złości grube usta.

- Gdzie pracujesz? - spytał Ryder.
- Tam - Natasza pokazała ręką.
- Sama?
- Tak.
- Wysforuj się jak najdalej do przodu. Postaram się dojechać do ciebie.
- O co chodzi? - spytała.
- Ten mężczyzna w czapce, tam, koło ciężarówki, chyba coś podejrzewa.
- Myślisz, że jest z NKWD?
- Nie wiem. Może kapuś.
- Patrzy na nas - powiedziała Natasza.
- Lepiej wracaj do swojej brygady.

Rozległ się gwizdek na znak, że przerwa się skończyła. Wszyscy wrócili do pracy. Ryder miał pistolet przymocowany do łydki i ukryty pod cholewką buta, ale wiedział, że nie może go tu użyć. Będzie musiał poradzić sobie podstępem. Wziął płaszcz i powiedział do swojego partnera:

- Zaczekaj chwilę. Zaraz wracam.
- Gdzie idziesz? - Mężczyzna zmarszczył czoło.
- Za potrzebą.
- To od pracy - pokiwał głową tamten. - Mnie też zawsze potem pędzi.

Ryder zatoczył szeroki łuk. Nad głową szumiały mu liście brzoź. Nie widział nigdzie Nataszy. Okrążył łąkę ze strumieniem płynącym wśród rozkołysanych traw. Teren podnosił się ku sosnowemu laskowi. W oddali zobaczył kilka osób. I wtedy spostrzegł Nataszę, znajdującą się dalej niż pozostali. Schylała się, zbierając suche gałęzie. Wyprostowała się i spojrzała w las. Ryder wyszedł na otwartą przestrzeń i podniósł rękę. Rzuciła spojrzenie za siebie, a potem pobiegła do niego. Wziął ją za rękę, pochylili się i popędzili do lasu. Wkrótce przestali słyszeć siekiery i piły. Gdy wreszcie zatrzymali się w cieniu skalistego wzgórza, oboje ciężko dyszeli.

- Myślisz, że ktoś nas widział? - spytała Natasza.

- Nie, ale lepiej się oddalić jeszcze bardziej.

- Gdzie pójdziemy?

- Musimy przejść na drugi brzeg rzeki. Ale ponieważ na mostach stoją strażę, może będziemy musieli ją przepłynąć.

- A co potem?

- Archangielsk - oznajmił. - Musimy się dostać nad Morze Białe. Tam mamy szansę spotkać brytyjskie okręty.

- Archangielsk - powtórzyła z rozpaczą. - Ależ to wiele dni podróży, nawet gdybyśmy jechali pociągiem.

- Pomyśl o Łubiance - poradził jej. - Wtedy droga nie będzie ci się wydawała aż tak daleka.

Bałow wiedział, że to jedynie kwestia czasu, zanim i jego aresztują. Rozmowa z przełożonym, pułkownikiem Postyszewem, tylko wzmocniła to przekonanie.

Postyszew, niziutki mężczyzna o stalowoszarych włosach, był nerwowym perfekcjonistą i partyjnym doktrynerem. Całymi godzinami zastanawiał się nad nieważnymi szczegółami, a potem unikał podejmowania decyzji, bojąc się popełnić błąd.

Niedawno Bałow wyobraził sobie, że zajmie miejsce Postyszewa, gdy zostanie on zdymisjonowany i wysłany na front. Teraz jednak nadzieje rozwiały się. Ta sama chorobliwa ostrożność, w przeszłości osłaniająca Postyszewa przed wszelkimi konfrontacjami, teraz ochroni go przed skutkami obecnego kryzysu.

Ściany gabinetu zdobiły standardowe fotografie komunistycznych przywódców, żywych i zmarłych. Postyszew traktował je jak symbole wiary. Bałow uśmiechnął się cierpko do wizerunku Lenina. Włodzimierz Ilicz, z wyciągniętymi jak u mesjanistycznego zbawcy ramionami, wysiadał z pociągu po powrocie do Rosji. Za nim w drzwiach wagonu stał Stalin. Oczywiście Stalina tam wówczas nie było, ale historia wybaczy tę artystyczną dowolność.

Sztuka usprawiedliwia i gloryfikuje ludzi odnoszących sukcesy, ale przemilcza klęski, takie jakie ponieśli Własow i Szewczenko.

Postyszew od razu wezwał stenotypistkę, młodą kobietę o imieniu Anna, z którą Bałow kilka razy spędził noc. Gdy krzyżowała pulchne nogi i kładła na kolanach notes, światło zaślniło w szklach jej okularów. Czy wszystkie krótkowzroczne kobiety są tak namiętne? Dzięki Annie Bałow wiedział z góry, jaki będzie temat rozmowy. Postyszewowi chodziło o to, by w obecności świadka zrzucić z siebie odpowiedzialność za działania swojego podwładnego, który pozwolił uciec Kanadyjczykowi.

- Walerianie Wasiliewiczu - zaczął z emfazą. - Przez cały czas, kiedy trwało to szaleństwo, podejmowaliście decyzje bez mojej wiedzy i zgody. Dlaczego tak postąpiliście?

- Byliście zajęci innymi sprawami - odparł Bałow.

- Innymi sprawami? Proszę wyrażać się ściślej.

- Raporty - wyjaśnił Bałow. - Zebrania.

- A wy nie ośmieliliście się mi przeszkadzać - zakpił Postyszew. - Nie pomyśleliście o konsekwencjach decyzji, które tak samodzielnie podejmowaliście?

Co na to można odpowiedzieć? Postyszew podkreślał, że sam w nic nie jest zamieszany. Piłat umywający ręce wobec Żydów albo, w tym wypadku, wobec partii.

Bałow spojrzał na grube nogi Anny. Gdyby ustawiła je prosto na podłodze, na przyciśniętym teraz kolanie pozostałby różowy ślad. Mógł sobie wyobrazić ciepło i pot między nimi, a także ciężar piersi ściśniętych pod bluzą. Anna bardzo się pocila, co wzmagało zapach tanich perfum, które jej kupił na czarnym rynku. Teraz uświadomił sobie, że je czuje. W tej chwili Anna zachowywała wobec niego całkowitą obojętność, ale Bałow był pewny, że dostanie później kopię stenogramu, tak samo jak wiedział, że poczuje ciężar jej nóg na swoich. Właśnie taka erotyczna pozycja sprawiała jej największą przyjemność, a mógł mierzyć intensywność doznań Anny według tego, jak odrzucała głowę do tyłu i jęczała ze szczelnie zamkniętymi oczami, podczas gdy on ścisnął jej piersi i twardniał w jej wnętrzu.

- Bałow, nie rozumiesz? - Postyszew wziął nóż do listów, by zająć czymś ręce. - Dałoby się tego uniknąć, gdybyś od razu do mnie przyszedł. Cały ten plan był wariacki i lekkomyślny. Okropnie ryzykowałeś, pozwalając im uciec. Okropnie. Nigdy bym na to nie pozwolił.

- Czasami ryzyko jest konieczne - odpowiedział Bałow. - A już zwłaszcza wtedy, gdy element kontrewolucyjny przebywa na wolności. Jak w takiej sytuacji zapobiec następnym atakom na towarzysza Stalina? A właśnie temu usiłowałem przeciwdziałać. Czy towarzysz Stalin nie jest wart takiego ryzyka?

Postyszew uderzał nożem do listów we wnętrze dłoni. Rozmowa przybrała niewygodny dla niego obrót. Odchrząknął.

- Ale wy niczemu nie zapobiegliście ani nikogo nie aresztowaliście. Natomiast straciliście ważnego więźnia, który był naszym jedynym kontaktem z wywiadem brytyjskim.

- Chwilowo - odparł Bałow. - Odzyskam go, kobietę także. Nie mogą podróżować po Związku Radzieckim bez pomocy. - Przerwał, czekając, aż ołówek stenotypistki zatrzyma się.  
- Oczywiście, towarzyszu - dodał - rozumiem wasze zaniepokojenie. Jakikolwiek błąd lub porażka z mojej strony odbije się na opinii całego wydziału, którym wy kierujecie.

Postyszew odesłał stenotypistkę. Najwidoczniej zmienił zdanie co do zapisu rozmowy. Gdy Anna zdjęła nogę z nogi, Bałow zobaczył odcisnięty ślad na jej kolanie tam, gdzie przedtem widział go w wyobraźni.

Odwrócił się w porę, by spostrzec iskierkę okrutnej radości w oczach Postyszewa. Bez względu na zagrożenie, jakie cała ta sytuacja stanowiła dla jego własnej pozycji, Postyszew cieszył się, że Bałow wypadnie z łask. Okazało się, że nie docenił rozmiarów ambicji kryjącej się u jego szefa za patologicznym strachem przed podjęciem błędnej decyzji.

- Powiem wam jedno, Walerianie Wasiliewiczu - odezwał się Postyszew. - Lepiej będzie, jeśli ich znajdziecie. Stalin jeszcze nie wie o ucieczce, ale gdy się dowie, winni drogo za to zapłacić.

- Niezwiastno kagda wiernioszsia damoj - Bałow powtórzył znany żart, stanowiący grę słów opartą na akronimie NKWD. Znaczyło to: „Nigdy nie wiesz, kiedy wrócisz do domu”.

Nóż do listów przestał się poruszać. Bałow prawie spodziewał się, że wyfrunie z palców rozszluszczanego Postyszewa, przeleci nad stołem mocą telekinezy, i wbije się w jego serce. Jednak zamiast uśmiechu, żart wywołał na pobladłej twarzy jego przełożonego jedynie wyraz strachu.

Po rozmowie z szefem Bałow wyszedł na dwór, żeby zaczerpnąć powietrza. Przespacerował się na stare miasto, gdzie wąskie budynki pięły się ku niebu, pozostawiając ulice w cieniu. Spacer po tej dzielnicy na ogół oczyszczał mu umysł, ale tym razem czar nie zadziałał.

Antonie Stiepanowiczu, pomyślał, jednak jesteś sprytnym diabłem. Więc dokąd teraz się udasz?

Nie znajdował odpowiedzi na to pytanie. Zaalarmował służby bezpieczeństwa w Astrachaniu i w Baku nad Morzem Kaspijskim, a w Stalingradzie wszyscy dawni znajomi Rydera znaleźli się pod obserwacją.

Całą sprawę komplikowały najnowsze wydarzenia. Mimo przewidywań Niemcy nie przeprowadzili ofensywy na Moskwę. Zamiast tego Druga i Czwarta Armia feldmarszałka von Bocka wycofała się na wschód od Kurska i zajęła Woroneż nad Donem. Na południu Szósta Armia Paulusa również zaatakowała. Najwyraźniej niemieckie dowództwo wyznaczyło jako cel ofensywy letniej Stalingrad i Kaukaz, a nie Moskwę.

To niemożliwe, myślał, by Ryder chciał uciekać na południe, w sam środek walk. Z drugiej strony, kto mógł przewidzieć taki niespodziewany zwrot w niemieckiej taktyce? „Prawda”, zawsze mocno oceniana dla podniesienia morale narodu, i tak nie podawała najnowszych wiadomości. Uciekający brytyjski szpieg mógł nawet skorzystać na tym, że wojska się przesuwają i że koło Stalingradu nastąpiło zamieszanie.

Te bezpieczne domy, cholerne bezpieczne domy - czy istnieją naprawdę? Informacja uzyskana przez sierżanta Wawiłowa jeszcze w więzieniu wydawała się wszystkim zbyt naciągana. Nikt w to nie uwierzył. Tylko Bałow potrafił docenić jej subtelny urok. Czy jest lepszy sposób na ukrycie prawdy niż przekazanie jej tak, by wyglądała na oczywiste kłamstwo?

Gdy wrócił do biura, Sierowa już na niego czekała. O jej niecierpliwości świadczyła liczba niedopałków w popielniczce.

- Bałow! - skoczyła na równe nogi. - Gdzie byłeś? Szukano cię. Szybka robota, pomyślał z uśmiechem. Zaraz mnie zaaresztują i rozstrzelają. Piękny dzień na śmierć.

- Kanadyjczyk i Kozłowa - gorączkowała się Sierowa. - Widziano ich.

- Gdzie? - wykrzyknął Bałow, szczerze zdziwiony obrotem wydarzeń.

- Na północy - odparła. - Przy głównej linii kolejowej koło Wołogdy. Jechali pociągiem zaopatrzeniowym. Ktoś z załogi ich zobaczył, ale uciekli.

- Więc to nie była jednoznaczna identyfikacja?

- Nie, tyle że nie mogło chodzić o nikogo innego. Mężczyzna i kobieta podróżujący razem, rysopisy pasują.

Bałow podszedł do mapy wiszącej na ścianie. Palcem rysował trasę, aż zatrzymał się na zielonym pasie lasów przecinającym cały kontynent.

- Wołogda - mruknął. - To jakieś czterysta kilometrów.

- Daleko od Moskwy - przyznała Sierowa.

- I od Stalingradu. Wraca tą samą drogą, jaką tu przybył.

- Zmierza do Murmańska? - zgadywała Sierowa.

- Nie. - Bałow zmarszczył czoło. - Raczej do Archangielska. Jest bliżej, a poza tym tam właśnie aż do zimy będzie wpływało najwięcej brytyjskich konwojów.

- Więc co teraz zrobimy? - Sierowa spojrzała na niego pytająco.

- Jadę za nim - odpowiedział Bałow z uśmiechem.

Pociąg zaopatrzeniowy wjechał na stację rozrządową w Wołogdzie o piątej po południu. Na platformie, na której ukryli się Ryder i Natasza, znajdowały się dwie duże armaty. Spod plandeki, przykrytej dla kamuflażu siatką, wystawały tylko dwie długie lufy.

Pod nieprzemakalnym płótnem było im okropnie gorąco. Nagle przez jakąś nieszczelność przedostała się smuzka światła i oświetliła Nataszę. Usiadła, zasłaniając twarz rękami. Ryder wstał, przeszedł nadziej wyprostowanymi nogami. Przytrzymał się pancernej płyty działa i wyjrzał spod plandeki. Zobaczył przejeżdżające obok ciężarówki. Ich własna lokomotywa pędziła wzdłuż zakrętu, puszczając kłęby dymu. Za zakrętem ciągnęły się dziesiątki torów, mijały semafony i niknęły w oddali. W gorącym powietrzu popołudnia lokomotywa wyglądała jak falujący miraż. Chwilę potem, ostro szarpiąc i rżąc, zatrzymała się.

Pociąg jeszcze chwilę sunął do przodu, aż wreszcie stanął. Ryder zeskoczył z działa na podłogę.

- Gdzie jesteśmy? - spytała Natasza.

- Na stacji rozrządowej. Wydaje się bardzo rozległa. To najprawdopodobniej Wołogda.

Nagle zastygli. Na dworze usłyszeli nawołujących się ludzi. Ryder położył palec na ustach, wziął Nataszę za rękę i pociągnął ją w najciemniejszy kąt, za działą. Skulili się w ciasnej kryjówce. W półmroku lekko zaśniła lufa automatycznego pistoletu Rydera.

Na zwirze rozległ się szelest butów. Słyszeli rozmowę dwóch mężczyzn. Po chwili dołączył trzeci głos, robotnicy żartowali i śmiali się. Natasza zacisnęła obie ręce na ramieniu Rydera. Czuł, jak cała drży. Gdy się do niej odwrócił, zobaczył tylko wbite w siebie spojrzenie i napięty wyraz twarzy. Oboje byli spoceni. Natasza rozchyliła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale w końcu nie odważyła się wydać najcichszego nawet dźwięku. Tylko jej palce zaciskały się coraz mocniej na ramieniu Rydera.

Do platformy podeszło jeszcze kilku ludzi. Pociąg zaskrzypiał i zadrżał, gdy zdejmowano sprzęgi z haków. Potem platforma znów się potoczyła. Ryder poczuł, że palce Nataszy już nie wbijają się tak kurczowo w jego ramię.

Położyli się na podłodze i słuchali, jak koła stukają na złączach torów. Po chwili blade lśnienie płyt pancernych na działach nad ich głowami zaćmiło się i znad plandeki zaświeciło słońce. Już zachodziło, ale było tak gorące, że oszołomiło Rydera. Przysnął.

Natasza szarpnęła go za nogę. Od razu udzielił mu się jej niepokój. Obudził się gwałtownie i instynktownie sięgnął po pistolet.

- Zwalniamy - ostrzegła.

Nie poczuł tego przez sen. Stukot kół o szyny był coraz łagodniejszy.

Ktoś odsunął plandekę. Słabe światło padło na twarz Nataszy.

- Wsiadajcie - rozkazał jakiś głos.

Ryder zobaczył owłosioną pięść, przytrzymującą klapę plandeki, i pochyloną głowę. Był to robotnik kolejowy, a nie uzbrojony strażnik. Sprawdzał umocowanie dział. Jednak, pomyślał Ryder, strażnik musi stać w pobliżu, bo inaczej robotnik nie zachowywałby się tak pewnie.

- Idź - powiedział do Nataszy. - Rób, co każe.

Wygramoliła się na czworakach. Ryder sunął za nią. Robotnik zbyt późno zauważył pistolet. Z jego twarzy zniknął wyraz buty. Otworzył usta, żeby krzyknąć, ale Ryder zamachnął się pistoletem i poczuł, że czaszka mężczyzny pęka. Robotnik padł na ziemię jak łachman. W tym momencie lokomotywa zagwizdała.

Ryder gestem nakazał Nataszy iść za sobą. Spojrzał w niebo. Siatka kamuflażowa rozciągała się na palach, niebo wyglądało jak zakratowane. Kucając rozejrzał się na wszystkie strony, ale w pobliżu nie było nikogo.

Nagle w zasięgu wzroku pojawił się strażnik. Szedł od strony lokomotywy. Ryder widział tylko jego furazerkę i czubek lufy karabinu. Znów się pochylił i pociągnął Nataszę na drugą stronę dział. Nad głową mignął mu jeden filar, potem drugi.

Okazało się, że pociąg zwolnił, by przejechać przez most, zniszczony podczas bombardowania. Osłabione filary zostały wzmocnione drewnianymi palami. Most drżał pod ciężarem pociągu, stalowe złącza stukwały, gdy przeładowane wagony prześlizgiwały się po nich. W szczelinach plandeki Ryder widział rzekę. Pod mostem stały działa przeciwlotnicze, mierzące w czerwone, wieczorne niebo. Widać tam było też kilka małych ludzkich figurek.

- Tutaj wsiadamy - powiedział, popychając Nataszę do krawędzi platformy.

- Na moście?

- Gdy pociąg przyspieszy, nie będziemy już mieli żadnej szansy.

Podczołgali się do brzegu i, trzymając się żelaznej drabinki, zeskoczyli na most. Ryder spojrzał na pociąg. Strażnik zauważył ich. Coś krzyczał, ale jego głos ginął w zgrzycie kół na szynach. Szybko zdjął karabin z ramienia i strzelił, jednak w jadącym pociągu nie mógł dobrze wycelować i kula trafiła w poręcz, kilka centymetrów od głowy Rydera.

Ryder podniósł Nataszę, rzucił przez balustradę, a potem sam skoczył. Zobaczył bryzgi wody, gdy się zanurzyła. Po chwili ciężkie ubranie i buty wciągnęły go na głębinię. Wy pływał do góry, walcząc o powietrze. Na powierzchni ujrzał ławicę bąbelków i Nataszę, wypływającą wodę. Prąd pchnął ich pod most. Przyłgnęli do filarów. Most ciągle jeszcze drżał pod ciężarem przejeżdżającego pociągu. W końcu minął ich wagon służbowy.

Pociąg nie zatrzymał się. Zresztą Ryder wcale się tego nie spodziewał. Zanim strażnik znajdzie nieprzytomnego robotnika i dowie się o wszystkim, będzie już za późno. Mógł jedynie powiadomić o wydarzeniu swoje władze.

- Słuchaj! - szepnęła Natasza.

Na moście rozległ się głuchy stukot butów i głosy. Ryder przyciągnął Nataszę bliżej do siebie. Objęła go za szyję, ich ciała dotykały się w ocienionej wodzie. Głosy zbliżały się. Ryder spojrzął w górę i przez szczeliny mostu zobaczył biegnących żołnierzy.

- Zaalarmował ich strzał strażnika - powiedział, marszcząc czoło.

- Myślisz, że wysiadł z pociągu?

- Pewnie doniósł o nas, gdy przejeżdżali koło pozycji artylerii przeciwlotniczej. Mógł jeszcze zdążyć wskoczyć z powrotem do wagonu.

W górze przebiegło kolejnych dwóch ludzi. Razem było ich pięciu. Tylko trzech wróciło. Szli wolno, przyglądając się szynom i przepatrując rzekę między złączeniami mostu. Najprawdopodobniej dwóch żołnierzy postawiono na straży na początku i na końcu mostu, żeby pilnowali, czy ktoś nie wychodzi na brzeg.

W dole rzeki znajdował się szeroki zakręt. W oddali widać było niskie pagórki. Wzdłuż brzegu ciągnął się ciemny las. Promienie zachodzącego słońca malowały wodę purpurowymi refleksami.

Nurtem płynęły suche gałęzie. Między filarami zablokowało się wyrwane z korzeniami drzewo, które spłynęło tu podczas wiosennej odwilży.

- Gdybym mógł je uwolnić - mruknął Ryder - posłużyłoby nam za kryjówkę.

- A jeżeli widzą nas z mostu?

- Jest już prawie ciemno. Trudno byłoby im celować z karabinów. Poza tym na pewno wezwali pomoc, może nawet jakieś łódzie.

Zanurkował i zaczął huścić korzeniami drzewa. W końcu z głuchym łoskotem oderwało się od filara. Popłynęli, trzymając się gałęzi. Most powoli się oddalał. Nikt nie strzelał. Drzewo bezszelestnie spływało w dół rzeki.



Rzeka zakręciła i nie widzieli już mostu. Następne zakole zbliżyło ich do brzegu. Ryder zawołał do Nataszy, żeby puściła drzewo. Popłynęli, a potem już szli piaszczystym dnem na brzeg.

Nocne powietrze chłodziło ich mokre ciała, ubranie oblepiało Nataszę jak druga skóra. Wdrapali się do lasu.

- Lepiej wszystko wyżyć - poradził Ryder - bo inaczej przez całą noc nie wyschnie.

Odszedł trochę dalej, wylał wodę z butów, zdjął skarpetki, wykręcił je, potem zajął się płaszczem, spodniami i koszulą. Pistolet zgubił skacząc z mostu, ale nadal miał dokumenty Ilii i pieniądze. Starannie je wygładził i rozłożył, żeby wyschły.

Potem ubrał się w wilgotne rzeczy i wrócił do Nataszy. Siedziała na brzegu, oplatała rękami kolana, na których ukryła twarz. Pamiętał, że taką samą pozę przybrała w pociągu.

- O świcie wyślą patrol - stwierdził. - Nie możemy tu zostać.

Powoli podniosła głowę i zobaczył na jej policzkach ślady łez. Wspomnienie Kuncewa, jak zgadywał. Poczł nagły przypływ wściekłości, odezwał się w nim instynkt zabójcy. Gdyby w tej chwili Własiak tu był, chyba by go zamordował. Uklęknął na jedno kolano, położył jej rękę na ramieniu i powiedział:

- Nataszo Inwanowna, to tylko zmęczenie.

Popatrzyła na niego i poważnie skinęła głową. Ryder uśmiechnął się do niej i palcami wytarł łzy z jej policzków. Potem delikatnie podniósł ją na nogi.

- Jesteśmy o jakieś dwa albo trzy kilometry od torów - zaczął wyjaśniać swój plan. - Jeżeli pójdziemy wzdłuż nich, na pewno trafimy na jakąś osadę czy gospodarstwo.

Ruszyli na północ, ku długiej linii wzgórz rysujących się na niebie w świetle gwiazd. Gdy do nich dotarli, odpoczęli w lasku na szczycie. Popatrzyli za siebie, na drogę, którą przebyli. Wydawało im się, że białe chmury burzowe kłębiące się na horyzoncie są tak nisko, jakby płynęły nad samą ziemią. Rzeka lśniła w promieniach księżyca. Woda wirowała wokół skałek, pióropusze piany wyglądały jak dym.

W oddali zauważyli przerwę między wzgórzami. W dolinie mrugało kilka światełek.

- Chyba mieszkają tam ludzie - powiedział Ryder.

- Może rano dostaniemy coś do jedzenia - wyraziła nadzieję Natasza.

Schodząc w dół, usłyszeli echo grzmotu, dochodzące z innej doliny. Nim minęła godzina, chmury zasłoniły księżyc. Były szare i kotłowały się na niebie, rozdierane burzą.

Deszcz zaczął padać przed północą. Pierwsze nabrzmiałe krople uderzyły w las. Potem otworzyło się niebo, z drzew spadały szyszki i gałązki.

Znajdowali się już niedaleko gospodarstwa. Przez strugi deszczu widzieli oświetlone okienko. Obok chaty stała stajnia.

Pobiegli do niej. W środku było ciemno i sucho. Ze stryszka dochodził zapach świeżo zebranego siana. W boksie nerwowo grzebał nogą koń.

- Muszę zajrzeć do chaty - powiedział Ryder. - Trzeba się upewnić, kto tam jest.

Między stajnią a domem znajdowała się wiata, pod którą zgromadzono drewno na opał. Ryder popędził pod daszek, ale chata była jeszcze za daleko, by mógł coś zobaczyć. Kuląc się dobiegł do niej i rozpląszczył na ścianie z okienkiem.

W świetle łożowego kaganka zobaczył prawie pustą izbę. Na podłodze stała mała trumienka, z jednej jej strony siedziała kobieta koło trzydziestki, z drugiej sękaty stary mężczyzna. Kobieta ubrana była po chłopsku, nogi miała opalone i brudne, a włosy, przedzielone w środku, gładko zaczesane do tyłu.

W trumience leżała dziewczynka, najwyżej dwuletnia. Jej jasne włosy zdobił wianek z różowych pączków.

Naokoło trumny stały zapalone świece. Mężczyzna i kobieta siedzieli w ich blasku, czuwając nad zmarłym dzieckiem.

Ryder pobiegł z powrotem do stajni.

- Będziemy tu bezpieczni do rana - oświadczył.

- Jesteś przemoczony - zauważyła Natasza.

- Ty też.

Wspięli się po drabince na stryszek. Sterty siana z ostatnich sianokosów sięgały belek sufitu. Ułożyli się między nimi. Nataszę przebiegł dreszcz.

- Zdejmij to mokre ubranie - nakazał Ryder. - Ja pójde spać na drugą stronę.

Przeczołgał się na drugi brzeg stryszku i rozebrał się. Przez sekundę widział, jak Natasza zdejmuje sukienkę przez głowę. W ciemnościach jej nagie ramiona były białe. Odwrócił się.

Burza przesunęła się na zachód, pioruny były coraz rzadziej. Ryder leżał na plecach i słuchał deszczu walącego w dach, prawie nad jego głową. Te dźwięki przywołały wspomnienie innej nocy, zgrzytu zawiasów stajennych drzwi w wietrznej ciemności, tętentu podków konia, który brzmiał jak pożegnanie we śnie śnionym przez chłopca. Czyż nie śnił o defiladzie? Proporce i chorągwie powiewały w jego imaginacji, żołnierze nadal maszerowali, ale melodia... nie mógł przypomnieć sobie melodii...

W nocy obudził się. Deszcz ustał. Pod okapem jęczał wiatr. Belki stajni trzeszczały. Pomyślał, że w jego życiu zawsze panowała tylko cisza i milczenie. Zagrzebał się głębiej w siano i znów zasnął.

Śnił o żonie. Wrócił ten sam koszmar, w którym biegł za nią przez ogień. Ale przeszkody, uniemożliwiające mu dogonienie jej, za każdym razem były inne: a to nagle wybuchała bomba, a to na chodnik waliła się płonąca ściana, a to zatrzymywała go ręka strażnika... Za którymś razem w jego śnie kobieta odwróciła się, ale zobaczył, że to Natasza, a nie jego żona została złapana w pułapkę ognia. Na głowie miała wianek z różowych kwiatków, jak to zmarłe dziecko w trumience.

Potem zobaczył inną trumnę, głęboko w ziemi, i włosy Nataszy, wilgotne i lśniące, z wiankiem z różowych kwiatów. Ale twarz na atlasowej poduszce była spalona, opatrunki na poparzonych rękach miały brunatny kolor, jak bandaże na rękach mumii. Jednak wiedział, że to jego żona.

Obudził się z krzykiem zamierającym w krtani. Natasza siedziała obok i przyciskała mu usta palcami. Pierwsze, szare światło dnia przedostawało się przez szczeliny w ścianach. Natasza skuliła się koło niego, jedną ręką przyciskając sukienkę do nagiego ciała.

Niepokój malujący się na jej twarzy wzbudził w nim nowe uczucia. Czułość? Troska? Nie wiedział. W jego śnie obie kobiety zlewały się w jedną. Jednak to wrażenie już znikало, pozostawiając zwykłą pustkę.

Jej zimne palce na jego ustach leciutko drżały. Już nie nakazywały milczenia, lecz pieściły. W ciemnych oczach malował się wyraz zrozumienia, a zarazem zdumienia. Wie wszystko, pomyślał Ryder sekundę wcześniej, nim wykonał ruch.

Wcisnął palce w jej włosy i pociągnął w dół. Jej usta pod jego ustami wydały mu się nieprawdopodobnie miękkie. Po chwili rozchyliły się i ciepłe wargi zaczęły go całować. Sukienka poleciała na bok. Nagie piersi były ciężkie i twarde. Włożył rękę między jej uda. Natychmiast jej nogi zeszywniały, a gęsta kępka włosów łonowych już wilgotniała pod jego pieszczącymi palcami.

Na posłaniu z miękkiego siana usłyszał cichutkie kwilenie. Potem z jej gardła wydarł się długi jęk, a później jeszcze jeden, gdy wślizgiwał się w otwarte dla niego, wilgotne miejsce.

Przez szpary w dachu wpadały promienie porannego słońca. Natasza leżała przytulona do Rydera, z głową na jego ramieniu. Jedna biała pierś, przyciśnięta do jego ciała, ukazywała nabrzmiały, różowy koniuszek.

Patrzyli na siebie, zachowując spokojne milczenie. Jej oczy zdawały się pytać: „Czy tak rzeczywiście się stało? Czy to możliwe?” Ale jak mogła nie wątpić? On sam z trudem w to wierzył.

Pod okapem przefrunęła jaskółka.

Ciężkie drzwi stajni otworzyły się ze zgrzytem zardzewiałych zawiasów. Ryder sięgnął po pistolet, ale przypomniał sobie, że go zgubił. Oparł się na łokciu i przez krawędź stryszka spojrzął w dół.

To był stary mężczyzna z chaty. Gdy sięgał po uzdę zawieszoną na kołku, w polu widzenia ukazała się jego głowa i ramiona. Potem znów zniknął Ryderowi z oczu. Rozległ się trzask otwieranych drzwiczek boksu. Ryder usłyszał, jak koń przestępuje z nogi na nogę na ściółce. Stary podprowadził zwierzę do wozu na siano i zaczął nakładać mu uprząż.

Potem obserwowali przez okienko stryszka, jak mężczyzna i kobieta wynoszą na wóz sosnową trumienkę z zamkniętym już wiekiem. Kobieta powoziła, mężczyzna szedł obok konia, trzymając uzdę przy jego pysku.

- Dziecko im umarło - wyjaśnił smutno Ryder. - Dziewczynka. Widziałem ją w nocy.

Natasza przeżegnała się.

- Zakłócamy powagę śmierci - powiedziała.

Zanim odeszli, Ryder przeszukał chatę i znalazł haczyki z wędką, mały myśliwski nóż oraz oselkę, mydło, czarny chleb i gomółkę sera. Zawinął to wszystko w płócienną ścierkę, zawiązał oba końce i wpakował pod pachę.

Wędrowali lasem przez większą część dnia. Od czasu do czasu trafiali na przesieki, słońce świeciło jasno. Niekiedy w oddali, na tle błękitnego nieba, rysowały się dachy zabudowań gospodarczych, na łąkach pasło się trochę krów.

W pewnej chwili, w odległości niecałego kilometra, zobaczyli szereg konnych wozów, załadowanych płóciennymi workami z ziarnem i tytoniem, koszami owoców i jarzyn, a także workami mąki. Natasza wyjaśniła, że to kołchozowe zbiory, odwożone do punktu skupu. Obok wozów pylistą drogą szły boso kobiety i dzieci.

Jeszcze później z niewielkiego wzniesienia terenu widzieli oddział kawalerii sunący długą doliną w stronę torów kolejowych. Żołnierze mieli karabiny przewieszane przez ramię, peleryny powiewały za nimi na wietrze. Łomot podków słychać było bardzo wyraźnie. Ten patrol, pomyślał Ryder, może poszukuje właśnie nas.

W połowie upalnego popołudnia doszli do strumienia i ruszyli brzegiem, aż znaleźli sadzawkę dość głęboką, by się wykapać. Nad ławicą piachu wirowała zimna, zielona woda, a liście drzew otaczających polankę pstrzyły cieniami jej powierzchnię.

- Nikogo tu nie ma - powiedział Ryder. - Możemy popływać. Potem coś zjemy.

- Dobrze.

Oczy Nataszy spotkały się na chwilę z jego wzrokiem i na jej twarz wypłynęły rumieńce, ale uśmiechnęła się. Rozebrali się, stojąc tyłem do siebie. Ryder usłyszał plusk wody, odwrócił się i zobaczył jeszcze, jak Natasza wskakuje do sadzawki. Wietrzyk poruszył listkami nad jego głową i na gładkiej powierzchni zatańczyły cienie. Wbiegł do wody, piasek poruszony nogami podniósł się do góry jak chmura.

Dogonił Nataszę na mieliźnie i złapał ją za kostkę u nogi. Odwróciła się do niego, woda spływała jej między piersiami. Objęła go za szyję i mokre, roześmiane usta na jego wargach wzbudziły w nim uczucie, że dzielą jakiś wspólny, bardzo prywatny sekret i prawdziwą czułość, aż po chwili ogarnęły ich całkiem inne namiętności.

Natasza zamknęła oczy, gdy w nią wchodził. Jej nogi powoli zaplotły się na jego plecach. Dziwnie było kochać się z ramionami wystającymi nad wodę, a prąd sprawiał, że czuli się nieważcy. Skurcze jej pochwy trwały długo, podczas gdy z niego tryskało gorące nasienie. Poczul się tak, jakby przeszłość została splukana do strumienia, a razem z nią odszedł ból i żaloba.

Potem leżeli, trochę w wodzie, trochę na nadbrzeżnej trawie, w słońcu i cieniach rzucanych przez liście drzew, i rozmawiali szeptem. Zaczęli mówić sobie po imieniu, tak jakby nigdy inaczej się do siebie nie zwracali.

- Tosza - powiedziała, splatając palce z jego palcami. - Nigdy jeszcze nikogo nie kochałam. A teraz boję się, że zdarzy nam się coś złego. Przedtem mnie to nie obchodziło.

- Ja też tak czuję - odparł z uśmiechem. Czubek jej piersi przylgnał do jego ramienia.

- Co się z nami stanie? Ta głupia wojna! Gdyby nas złapano, już nigdy więcej byśmy się nie zobaczyli. Nie zniósłabym tego. A ty?

- Jeszcze nas nie złapano - odpowiedział.

Dużo później ubrali się, Natasza pokroiła ser i chleb. Po posiłku zostali jeszcze na polance, żeby zastanowić się, w którą stronę powinni teraz ruszyć. Natasza powiedziała, że jej wujek mieszka niedaleko Kotłasu.

- Kotłas nad Dwiną? - upewnił się Ryder.

- Tak. Wujek jest brygadzystą w tartaku. Ryder podparł się na łokciu i myślał na głos:

- Dwiną wpływa do Morza Białego pod Archangielskiem.

- Co za różnica - obruszyła się Natasza. - Kotłas leży prawie tak samo daleko stąd na wschód, jak Archangielsk na północ. Tosza, szaleństwem byłoby porzucać prostą drogę.

- Pamiętasz ten konny patrol, który widzieliśmy rano? Będą nas szukać właśnie na północy. Ale jeżeli pójdziemy w kierunku Welska, moglibyśmy ominąć główną linię kolejową na wschodzie. Rzeka to nasza największa szansa. Teraz, w lecie, pływa po niej mnóstwo barek, prawda?

- Tak.

Ryder zmarszczył brwi.

- Czy temu twojemu wujkowi w Kotłasiu można ufać? - spytał.

Spędzili dwie noce w lasach nad rzeką koło Kotłasu. Wcześniej rano pierwszego dnia Natasza poszła do miasta, by skontaktować się z wujkiem. Gdy po południu jeszcze nie wróciła, Ryder zaczął się niepokoić. A co, jeżeli służba bezpieczeństwa pilnuje jej krewnych? Bał się pomyśleć o takich środkach.

Ale wróciła o zmroku. Gdy ostatnie promienie słońca już zamierały, zawołała go z nadbrzeża. Ryder pobiegł do niej.

W niebieskim zmierzchu ich ciała przywarły do siebie. Natasza odrzuciła głowę do tyłu, jej usta rozchyliły się pod jego wargami i przez chwilę słychać było tylko szum rzeki.

- Bałem się, że cię aresztowali - zdołał w końcu powiedzieć.

- Nie. Wszystko w porządku. Poczekaj, aż usłyszysz.

- Rozmawiałaś z nim?

- Przed świtem będzie na nas czekała mała łódka. Popłyniemy jakieś sześć kilometrów stąd w dół rzeki, gdzie stoi barka. Wiezie ciężarówkę i ziarno aż do samego Archangielska. Kapitan jest winien wujkowi przysługę. Mówię ci, mamy szczęście.

- To wydaje się trochę za łatwe - zauważył Ryder.

- Tosza, słuchaj, przyniosłam trochę jedzenia. - Pokazała pakunek zawinięty w gazetę.

- Solona ryba i ogórki. Nie jesteś głodny?

Gdy skończyli jeść, było już ciemno. Położyli się na dywanie z sosnowych igieł i patrzyli w niebo nad drzewami. Ryder splótł palce z jej palcami.

- Jesteś pewna, że kapitan barki nie zawiadomi o nas władz? - spytał.

- Gdyby wujek się tego obawiał, na pewno by się z nim nie umawiał. Zresztą sam też bardzo ryzykuje, pomagając nam.

- Wujek nie należy do partii?

- Gdyby należał, byłby komisarzem, a nie brygadystą w tartaku.

- Co mu powiedziałaś?

- Tylko tyle, że oficerowie próbowali przejąć władzę, a my zostaliśmy w to zamieszani.

- Wie o zamachu na Stalina?

- Ta wiadomość nie przedostała się na zewnątrz. - Natasza pokiwała głową. - Zupełnie tak, jakby nic się nie zdarzyło. Czasami sama już w to wątpię. Wydaje się to takie odległe i nieprawdopodobne.

- Dla Szewczenki i Czernowa nie ma żadnej przeszłości. Jakby nigdy nie żyli.

- Dla twojego przyjaciela Kryłowa też.

- Od samego początku to była brudna sprawa - powiedział Ryder. - Myślę, że Maksym Nikołajewicz okazał się jedyną osobą, która zachowała w tym wszystkim odrobinę godności.

- Spójrz! - Natasza pokazała coś na niebie, między gałęziami sosny. - Spadająca gwiazda.

Ryder zobaczył świetlisty punkt mknący w dół, do horyzontu. Czy mitologiczni bogowie nie zabierali swoich ulubieńców z ziemi, by żyli między konstelacjami? Może ta samotna gwiazda, ta iskra umykającego światła, to gwiazda Maksyma Nikołajewicza?

Przed świtem poszli nadbrzeżną ścieżką w górę rzeki. Wkrótce dotarli do pomostu wybiegającego nad wodę. Przywiązana była do niego łódka wiosłowa. Z zagajnika wyszedł do nich tęgi mężczyzna.

- To mój wujek - powiedziała Natasza. - Paweł Nikołajewicz. W ciemnościach Ryder widział tylko okrągłą twarz i gęste wąsy.

- Pospieszcie się. - Wujek Nataszy niespokojnie rozglądał się wokół. - Wsiadajcie do łodzi.

Odwiązał linę i wszyscy wsiedli. Chwilę potem stracili już pomost z oczu. Gdy znaleźli się nad głębią, nurt stawał się coraz bystrzejszy. Paweł Nikołajewicz sterował wiosłami, ale pozwolił, by nioś ich prąd. Było chłodno, wiatr całkowicie ustał.

- Jak przyprowadzi pan łódkę z powrotem do Kotłasu? - spytał Ryder.

- Na holu.

- A pan? Nikt nie będzie się dziwił, że nie było pana w pracy?

- Nie. Załatwiłem sobie delegację służbową.

Odpowiadał niemal monosylabami, był zdenerwowany. Na pewno obawiał się, że ryzykuje własnym bezpieczeństwem i bezpieczeństwem rodziny. Ryder nie próbował już więcej wciągać go do rozmowy.

Po jakimś czasie wujek Nataszy znów zaczął wiosłować. Kilkaset metrów dalej zobaczyli światła, a potem kryte blachą baraki ustawione wokół przystani i ciemny stalowy dźwig. Lampy naftowe oświetlały barkę zacumowaną do nabrzeża.

- Czy to właśnie ta barka? - spytał Ryder. Wujek Nataszy skinął głową i odparł:

- Czekaj na ziarno z państwowego punktu skupu. Reszta ładunku jest już na pokładzie.

- Co pan powiedział kapitanowi?

- Nic. Lepiej, żeby nie wiedział o niczym. Sam też nie chcę nic wiedzieć.

- Więc jak może pan mu ufać?

- Jak? Ufam mu, bo spędził pięć lat w obozie za zbrodnie polityczne. Pomagałem wtedy jego rodzinie. Teraz ma okazję, by mi się odwdzińczyć.

Ryder obserwował zbliżający się brzeg. Wreszcie dobili z cichym stukiem.

- Pójdę się rozejrzeć - oznajmił Paweł Nikołajewicz. - Poczekajcie tu na mnie.

Gdy wrócił, niebo na wschodzie zaczynało przybierać kolor szkarłatu.

- Kapitan czeka na pokładzie. Musicie się pospieszyć. Niedługo będzie jasno i ktoś mógłby was zobaczyć.

Natasza objęła wujka na pożegnanie. Potem cofnęła się, w oczach miała łzy.

- Pawle Nikołajewiczu, jesteśmy panu bardzo wdzięczni - powiedział Ryder.

Na twarzy Pawła Nikołajewicza błyszczał pot, rękę miał wilgotną ze zdenerwowania. Najwyraźniej poczucie rodzinnej lojalności kłóciło się w nim ze zdrowym instynktem samozachowawczym. Chciał jak najprędzej uwolnić się od kłopotu....

- Życzę wam szczęścia. Niech was Bóg prowadzi. Ale proszę, idźcie już, szybko!

Barka sunęła w dół rzeki. Ryder i Natasza, zamknięci w ładowni pod pokładem, wsłuchiwali się w łoskot silników. Ładownia była wilgotna i duszna. Ryder wdrapał się na stos worków z ziarnem i otworzył bulaj nad linią wodną. Do środka wpłynęło ciepłe powietrze. Wyglądając na zewnątrz, zobaczył w oddali konwój holowanych barek. W górę rzeki spieszył parowiec, z jego kominów wydobywały się kłęby dymu. Wiózł żołnierzy, którzy teraz wylegiwali się na pokładzie.

Po długim czasie klapa w suficie otworzyła się i do ładowni zszedł kapitan. Nazywał się Radek. Miał siwe, kręcone włosy, opadające na chustkę zawiązaną na szyi. Osadzone blisko, przekrwione oczy spoglądały bystro spod daszka czapki. Uśmiechnął się i powiedział:

- Tu jest jak w piecu, prawda?

- Jak długo będziemy płynąć? - spytała Natasza.

- Cztery dni, może pięć - odparł wzruszając ramionami.

- Będzie się pan zatrzymywał na noc? - spytał Ryder.

- O tej porze roku nie jest zbyt ciemno, może tylko przez godzinę czy dwie, więc mógłbym płynąć, ale jednak gdzieś zacumuję. Mam za mało ludzi. Sześć osób, a cztery z nich to kobiety. Muszą odpocząć.

- Czy ktoś wie, że tu jesteśmy?



- Nie - odpowiedział Radek. - Ale już przewoziliśmy pasażerów. O tym, kogo się bierze na pokład, decyduje wyłącznie kapitan. W każdym razie ufam załodze, prócz jednej osoby, kobiety o nazwisku Strepnikowa...

- Co to za jedna?

- Zna pan te typy z Komsomołu. Zawsze mówią o polityce. Może umieszczono ją tutaj, żeby mnie pilnowała.

- Konfidentka? - upewniła się Natasza.

- Po prostu trzymajcie się od niej z daleka. Powiem wam, jak wygląda: ma krótkie włosy jak chłopak i pełną twarz. Nie jest wcale taka brzydka, jeżeli ktoś lubi taką urodę.

Na pokładzie obok zejściówki znajdowała się ubikacja. Kapitan powiedział, że jeżeli chcą z niej skorzystać, popilnuje, by nikt tędy nie przechodził.

- Załoga śpi na pokładzie - dodał jeszcze - Gdy wszyscy zasną, przyniosę wam coś do jedzenia.

Około dziesiątej maszyny stanęły. Małe fale uderzały w kadłub. Słyszeli głosy i stukot butów, gdy załoga przygotowywała barkę na noc, ale wkrótce wszystko ucichło. Najprawdopodobniej załoga jadła kolację.

Potem ktoś zaczął grać na akordeonie. Jednak i to trwało krótko. Gdy na barce zapanowała cisza, Ryder znów wspiął się do okienka. Słońce już zaszło, ale nie było ciemno. Mimo nocy zapadającej nad krajem, na niebie trwał słaby blask.

Minęła jeszcze godzina, zanim przyszedł kapitan. W mroku widzieli jego nie ogoloną, brudną od smarów twarz.

- Przyniosłem wędzoną rybę - oznajmił ochrypłym szeptem - I trochę wódki.

- Kiedy znów ruszymy? - spytał Ryder.

- Za kilka godzin. - Oczy kapitana znalazły się w cieniu, widać było tylko wystający nos i grube żyły na szyi. - A więc uciekacie, tak?

- Albo uda nam się uciec, albo zamkną nas w obozie - odparł Ryder. - Może nawet spotka nas coś jeszcze gorszego.

- Wiem coś o tym. Zesłali mnie na pięć lat za krytykowanie rządu. A przecież nie krytkowałem nikogo, tyle że ktoś zadenuncjował mnie, by uratować własną skórę. Zostałem aresztowany. Nadal by mnie przesłuchiowano, gdybym się nie przyznał. „Zrób wszystko, żeby tylko zachować zdrowie” - radzili mi bardziej doświadczeni więźniowie. W ten sposób dostałem piątkę i co z tego wynikło? To prawdziwa ironia losu. Miałem tyle czasu, że umocniłem się w swoich antyradzieckich poglądach i teraz rzeczywiście jestem winny zbrodni politycznej.

- Odsiedział pan cały wyrok? - spytała Natasza.

- Cztery lata, dziewięć miesięcy i dwa dni. Resztę mi darowano! Możecie w to uwierzyć? Wypuścili mnie, bo gdy wybuchła wojna potrzebowali na te barki pilotów, ludzi znających rzekę. Jest tu mnóstwo wysepek i łańcuchów piaskowych. Nie każdy może po niej pływać. Tak więc oświadczyli, że jestem zrehabilitowany i odesłali do domu.

- Mamy szczęście - zauważył Ryder.

- Wy? - Radek zachichotał ochryple. - Przynajmniej tyle mogę zrobić dla ojczyzny, towarzysz, by udowodnić, jaki jestem wdzięczny za jej łaskawą dobroć.

Gdy kapitan wyszedł, zjedli posiłek. Ryba miała ostry słony smak i była przesuszona, więc popili ją wódką, od której łzawiły im oczy.

- Do końca życia mogę już nie jeść ryby - powiedział Ryder.

- Ani pić wódki - dodała Natasza. - Smakuje jak nafta.

- Spróbujmy pospać, póki słońce nie rozgrzewa pokładu.

- Już zapomniałam, jak to jest, kiedy się śpi w łóżku. A ty?

- Jeżeli nadal będzie nam sprzyjało szczęście, może to sobie przypomnisz.

Wdrapali się na płaski stos worków z ziarnem. Gdy Natasza już się ułożyła, Ryder wyciągnął się obok niej. Drobne fale uderzały w kadłub barki, każdy dźwięk rozbrzmiewał głucho w ciszy ładowni. Gdy Ryder objął ją, odwróciła się do niego i przytuliła. Okienko wpuszczało dość nocnego światła, by zdołał zobaczyć jej wargi rozchylone w niecierpliwym oczekiwaniu. Szepnęła:

- Nie chcę stracić ani jednej nocy, nie czując cię w sobie. Może to nasza ostatnia noc?

Ryder pogłaskał ją po policzku. Natychmiast przytuliła się do niego, przywierając ustami do jego ust.

Następnego dnia barka zatrzymała się w Górnej Tojmie, by wyładować stalowe rury i zabrać opony. Słyszeli, jak Radek wykrzykuje rozkazy przez megafon. Do ładowni przyszedł dopiero wieczorem. Przyniósł herbatę i dzban miodu.

Trzeciego dnia nie cumowali w żadnej przystani. Brzegi porośnięte były brzoźowymi lasami i świerkami, na rzece co chwilę widzieli wysepki. Kapitan pozostał w sterówce, musiał ostrożnie prowadzić barkę między płycznami i wąskimi przejściami wśród wysepek.

Rano czwartego dnia pokrywa luku odskoczyła z hukiem. Spojrzeli do góry, ale to nie był kapitan. Zobaczyli przyglądającą się im kobietę. Miała krótkie włosy, a jasne, drapieżne oczy podkreślały zwierzęcy wyraz jej szerokiej twarzy. Nie okazali strachu ani zdziwienia. Cała wymiana spojrzeń odbyła się w milczeniu, słychać było tylko dudnienie silników w maszynowni. Potem kobieta cofnęła się i zamknęła luk.

- Widziała nas - szepnęła Natasza, ściskając ramię Rydera.

- Tak.

- Co teraz zrobimy?

- Pójdę na pokład.

Ryder wszedł po drabinie i otworzył kłapę. Idąc do kabiny usłyszał, jak kobieta i Radek kłócą się. Gdy stanął w drzwiach, zamilkli.

- Kapitana powiadomiono, że mamy płynąć jego barką - powiedział Ryder. - Gdyby sądził, że też powinniście o tym wiedzieć, powiedziałby wam. Jak się nazywacie?

- Strepnikowa - odparł kapitan zamiast niej. - Anna Pawłowna.

- Kapitan wykonuje moje rozkazy - dodał jeszcze Ryder.

Strepnikowa była niska, ale mocno zbudowana. Grube nogi i silne ręce wydawały się specjalnie stworzone do ciężkiej pracy. Miała gładką, opaloną skórę. Cała kipiała żywotnością. Wyglądała tak, jakby zeszła z plakatu przedstawiającego nowoczesną radziecką kobietę.

- Wasze rozkazy? - zwróciła się do Rydera. - A kim jesteście, żeby wydawać rozkazy?

Ryder sięgnął po dokumenty Ilii Pawłowicza. Pokazał legitymację NKWD. Potem podał list nakazujący udzielać mu pomocy podczas wykonywania misji.

- Nie mam wam za złe waszych pytań - powiedział. - W takich czasach wszyscy musimy zachowywać czujność. Ale wykonujemy specjalną operację, która miała pozostać tajna. Teraz, z powodu waszego wścibstwa, rzecz wyszła na jaw. Dlaczego zaglądaliście do ładowni?

- Widziałam, jak prowadzi was na dół. - Spojrzała na Radka. - Myślałam, że może przewozi nielegalnych pasażerów.

- Ale nie mieliście w ładowni nic do roboty. Co się z wami dzieje? Czy w Komsomole nie nauczyli was dyscypliny?

Arogancja, malująca się dotychczas na jej twarzy, zaczęła ustępować miejsca niepewności.

- Teraz, towarzyszeko Strepnikowa, muszę postanowić, co z wami zrobić. Mógłbym kazać wysadzić was na brzeg i zaaresztować. Ale kapitanowi brakuje ludzi i nikt nie wykona za was waszej pracy. Poza tym nie mamy czasu, żeby wracać do przystani. - Ryder zamilkł, pozwalając, by cisza jeszcze bardziej ją przestraszyła. - Nie wolno wam wspominać o nas załodze ani nikomu innemu. Jeżeli z waszej winy nasza misja się nie powiedzie, pożałujecie tego. Obiecuję to wam. Zrozumieliście?

Strepnikowa skinęła głową, na policzkach miała ciemne rumieńce.

- Wracajcie do pracy i pamiętajcie, co wam powiedziałem.

Szybko wyszła z kabiny, nie zaszczycając ich ani jednym spojrzeniem.

- Spociłem się przez tę komsomolską sukę - poźalił się Radek. Jego pomarszczona twarz była brudna od smarów. Obtarł ją rękawem.

- W razie konieczności niech pan powtarza to, co jej powiedziałem - poradził Ryder. - Okazałem panu dokumenty podróżne i dokument wystawiony przez NKWD. Dlatego zabrał pan nas, nie stawiając żadnych pytań.

- Tak, rozumiem.

- Czy jeszcze będziemy się zatrzymywać?

- W Chołmogorach, niedaleko Archangielska. Tam mamy wyładować dwie ciężarówki.

- Kiedy?

- Za godzinę.

- Może pan zatrzymać Strepnikową na barce?

- Bez trudu. Mocno ją pan wystraszył.

- Nie jestem pewien, czy rzeczywiście tak łatwo ją wystraszyć. Ryder wrócił do ładowni. Natasza czekała na niego z niepokojem. Opowiedział jej, co się wydarzyło.

- Myślisz, że będzie nam sprawiała kłopoty?

- Zobaczymy - odparł.

Strepnikowa była wytrącona z równowagi. Bałow obserwował ją uważnie. Dla niego kobiety liczyły się jedynie w sensie fizycznym. Doszedł do wniosku, że dla Strepnikowej seks jest po prostu proletariackim obowiązkiem. Na pewno zna wszystkie podręcznikowe pozycje, a mimo to potrzebuje maści nawilżającej.

- Opowiadałam już o tym dwa razy tamtym oficerom - protestowała.

- Wiem. Ale teraz proszę to opowiedzieć mnie.

Oprócz Bałowa w pokoju znajdowała się jeszcze Sierowa i Borys Grigorienko, oficer odpowiedzialny za operacje NKWD w obwodzie archangielskim. Grigorienko był mocno zbudowanym mężczyzną, na twarzy miał brodawki w kolorze surowego mięsa.

Gdy Strepnikowa zaczęła mówić, Bałow przerwał jej w połowie opowieści.

- Dajcie sobie spokój z opisami. Gdzie poszli po opuszczeniu barki?

- Zacumowaliśmy w północnym doku. W odległości jakichś dwustu metrów od ostatniego magazynu stoi zbombardowany tartak. Tam właśnie się chowają.

- Skąd wiecie? - spytał Bałow.

- Kapitan kazał mi pilnować zaopatrzenia dla barki. Nie jestem głupia i obserwowałam ich. Poszli do biura tartaku, a przynajmniej tego, co z niego zostało.

- Znam to miejsce - wtrącił się Grigorienko. - Niemcy bombardują je za każdym nalotem. Sądzymy, że piloci musieli się założyć, któremu uda się zniszczyć spalarnię. Z góry wygląda dość zwyczajnie, po prostu jak duży, stalowy stożek. Praca w tartaku została przerwana wiele tygodni temu.

- Teren jest opuszczony? - upewnił się Bałow.

- Porzucono tam tylko jedno niesprawne działo. To dobra kryjówka.

- Czy kapitan został na barce? - Bałow ponownie zwrócił się do Strepnikowej.

- Nie. Poszedł gdzieś i dlatego mogłam tu przyjść. Wiem, że dzieje się coś złego. Nigdy mu nie ufałam.

- Chcecie przeszukać tartak? - spytał Grigorienko Bałowa. - Mogę wysłać kilku ludzi z doków.

- Będą usiłowali dostać się na brytyjski okręt - rozmyślał głośno Bałow. - Nie zabierajcie nikogo z doków. Postawcie tylko strażników przy każdym nabrzeżu. Musicie kazać brytyjskim załogom, by pozostały na okrętach. Mogą schodzić jedynie w wypadku alarmu albo dla załatwienia spraw służbowych.

- Jaki powód mam podać?

- Musicie coś wymyślić.

- A co z tartakiem? - spytała Sierowa.

- Sami tam pójdziemy - odparł Bałow.

- Bez obstawy?

Bałow zwrócił się do Grigorienki:

- Dajcie mi jednego uzbrojonego żołnierza. Ale ma nie strzelać, rozumiecie? Chcę Kanadyjczyka żywego.

Z pagórka za tartakiem Bałow i Sierowa patrzyli w dół, na plac. Z całego zakładu zostały tylko kamienne fundamenty. Pnie drzew leżały na wodzie, poruszane prądem rzeki. Powiązane sznurami, wyglądały jak wielkie zapałki.

Po lewej stronie długie nabrzeże ciągnęło się aż po horyzont. Wzdłuż niego stały magazyny. Przed tartakiem biegła linia kolejowa, rozgałęziająca się wśród magazynów.

Za kozłem oporowym toru wyrastał falliczny kształt spalarni. Właśnie tam zajął pozycję uzbrojony żołnierz, którego przysłał Grigorienko. Mógł zobaczyć każdego, kto chciałby uciec do doków.

Leje po bombach pstrzyły plac między spalarnią a biurem. Dwupiętrowa budowla jeszcze stała, chociaż podczas któregoś z nalotów została trafiona. Brakowało jednej z zewnętrznych ścian, szyby wyleciały, a dach z blachy skręcił się od podmuchu.

- Idziemy. - Bałow skinął na Sierową.

Wokół całego budynku stały znaki ostrzegawcze: „UWAGA! NIEWYPAŁY!”. W środku wszędzie walało się szkło i fragmenty wyposażenia. Bałow wziął do ręki pistolet.

- Zaczekaj tutaj - szepnął. - Ja zobaczę, co jest na górze.

Schody chwiały się pod jego ciężarem. Podłoga na piętrze trzeszczała przy każdym kroku. Przez stopioną blachę dachu zobaczył niebo. Musiał przeskoczyć szeroką szczelinę w podłodze.

W następnym pomieszczeniu spostrzegł na ścianie jakiś cień. Uniósł pistolet. W drzwiach pojawiła się Natasza. W jednej chwili z jej twarzy zniknął wyraz nadziei, ustępując miejsca przerażeniu. Bałow zorientował się, że Kanadyjczyka nie ma, a Natasza czeka właśnie na niego.

- Natalio Iwanowna, gdzie on jest? - spytał.

Nad parkiem wznosiło się zalesione wzgórze. Na skwerku dzieci jeździły na prymitywnej karuzeli, wykonanej z okorowanych pni, do których przyczepiono cztery krzeselka.

Wokół klombu otaczającego popiersie Lenina stały ławki. W tej chwili nikt na nich nie siedział. Oficer marynarki brytyjskiej nerwowo przechadzał się w tę i z powrotem. Na chwilę przystanął, by zapalić papierosa, potem znów podjął wędrówkę. Od czasu do czasu patrzył na zegarek.

Ryder, ukryty na wzgórzu, obserwował oficera. W końcu, usatysfakcjonowany, prześliznął się między drzewami w dół. Oficer, wysoki i o różowych policzkach, nosił na rękawie paski oznaczające porucznika.

- Prosiłem o spotkanie z dowódcą bazy - powiedział Ryder.

- Nazywam się Evans, sir - przedstawił się oficer. - Jestem asystentem dowódcy. On sam nie mógł przyjść, bo załatwia sprawy z kapitanatem portu. Rosjanie zdziwiliby się, gdyby przerwał rozmowę.

- Otrzymał wiadomość ode mnie?

- Kapitan rosyjskiej barki przekazał ją do przedstawicielstwa norweskiego. Boże...

- Co panu powiedziano o operacji „Szary Wilk”?

- Nic oprócz tego, że otrzymała najwyższy priorytet. - Porucznik zmarszczył czoło. -

Ale ta wiadomość przyszła wiele miesięcy temu. Prawie o tym zapomnieliśmy.

- Musimy się dostać na okręt brytyjski. Może pan to załatwić?

- Nie jest pan sam? - Bruzdy na czole porucznika pogłębiły się.

- Jest ze mną Rosjanka.

- Obywatelka radziecka? Do diabła, sir. Admiralicja nic o tym nie wspominała. To znaczy, chcę powiedzieć, że nasze instrukcje nie przewidują...

- Musi pan się obejść bez instrukcji.

- Jakoś sobie poradzę. - Evans pokiwał głową. - I tak ma pan szczęście. Jeszcze dwa tygodnie i nie moglibyśmy panu pomóc.

- Dlaczego?

- Odwołano konwoje.

- Z czyjego rozkazu? - zdziwił się Ryder.

- Samego premiera. Ostatni konwój, PQ. 17, to była prawdziwa jatka. Trzydzieści siedem statków storpedowanych przez wilcze stado. Szkopom udało się zatopić wiele z nich. Tylko jedenaście ocalało. Bóg wie, ile setek tysięcy ton poszło na dno. Ciągłe jeszcze to obliczamy...

- Widziałem w porcie brytyjski niszczyciel - przerwał mu Ryder.

- Admiralicja wysłała cztery z amunicją i zaopatrzeniem. Rosjanie nie dają nam nic. Ciągłe tylko słyszymy niet i niet. Musiało się coś stać, bo ich stosunek do nas bardzo się zmienił.

Na ustach Rydera pojawił się pełen znużenia uśmiech, zawaliliśmy sprawę, pomyślał. Wiedzą, że wywiad brytyjski był w to zamieszany, i dlatego robią kłopoty naszej marynarce.

- Czy trudno będzie nam się dostać na jeden z tych niszczycieli? - spytał Evansa.

- Rosjanie wszędzie rozstawili strażę. Rewidują każdego, kto schodzi i wchodzi na okręty. - Spojrzał Ryderowi w oczy. - Chyba zaczynam rozumieć, dlaczego.

- Ile czasu potrzebuje pan, żeby coś dla nas załatwić? Młody oficer popatrzył na rysujące się w oddali nabrzeże. Wiatr przynosił głosy dzieci bawiących się na karuzeli.

- Niech pan mi da trzy godziny - powiedział wreszcie. - Przynajmniej tyle. Spotkamy się w tym samym miejscu.

Zanim Evans wrócił, minęło trochę więcej niż trzy godziny. Szedł długimi, sprężystymi krokami. Ryder znów przemknął z lasku na wzgórze do parku.

- Mam dla pana adres - powiedział Evans. - To stolarz, wykonuje również trumny.

Ryder uśmiechnął się.

- Przydadzą się, jeżeli coś pójdzie źle.

- Czterech rannych z konwoju PQ. 17 zmarło w szpitalu. Rosjanie pozwolili, by ich ciała zostały przeniesione na jeden z niszczycieli. W dwóch trumnach umieścimy pana i tę Rosjankę.

- Można zaufać stolarzowi?

- To prawdziwy kapitalista, więc łatwo go przekupić - wyjaśnił Evans.

- Dzięki Bogu za prywatną inicjatywę.

Evans spytał jeszcze, czy kobieta jest gdzieś w pobliżu, i Ryder opisał położenie tartaku.

- No to ma pan szczęście - odparł Evans. - Warsztat stolarza znajduje się nieopodal tego miejsca. Naskicuję to panu na mapie. Tędy prowadzi dróżka, na tyłach cerkwi. Nie może pan jej nie zauważyć.

- Kiedy mamy tam iść? - upewniał się Ryder.

Evans spostrzegł, że jego rozmówca jest teraz bardziej zdenerwowany niż przy pierwszym spotkaniu. Presja czasu oraz ewentualność, że coś się nie uda, pomyślał.

- Koło północy przez mniej więcej godzinę będzie ciemno. To najlepsza pora.

- Miejmy nadzieję, że nie przerodzi się to w prawdziwy pogrzeb - zażartował ponuro Ryder.

- Niech się pan nie niepokoi - uspokajał Evans rozmyślnie obojętnym tonem. - W szkole robiłem magiczne sztuczki. Wyciągałem króliki z cylindrów, powodowałem, że znikają szale, znam cały ten cholerny cyrk...

- I dobrze to panu szło?

Evans odparł pół żartem, pół serio:

- Gdy teraz to wspominam, to wydaje mi się, że nie za bardzo.

Słońce schodziło już prawie nad horyzont, gdy Ryder wrócił do tartaku. Panował tu niezakłócony spokój.

- Natasza! - zawołał.

Nie odpowiedziała i jego nerwy napięły się.

W górze, na schodach, pojawił się jakiś cień. Ryder spojrzał w tamtym kierunku i zobaczył Bałowa z wycelowanym pistoletem.

- Witam w Archangielsku - pozdrowił Antony' ego. Poręcz pod ręką Rydera zastygła w bezruchu. Pistolet celował prosto w jego pierś. Gdyby wystrzelił, rozerwałby mu serce na strzępy.

- Walerianie Wasiliewiczu, odbyłeś długą podróż z Moskwy - odparł. - Czyżbyś się zagubił?



- Przez jakiś czas rzeczywiście czułem się zagubiony - rzekł Bałow. - Ale nie martw się. Wrócimy razem, zanim jeszcze spadnie śnieg.

- Doprawdy? - Ryder już myślał, jak wydobyć z buta nóż. Skórzana pochwa przylegała ściśle do łydki. Był tak skoncentrowany, że widział to dokładnie. Gdyby mógł podejść do Bałowa na wystarczającą odległość... Ale Bałow miał zbyt wiele doświadczenia, żeby na to pozwolić.

- Wejdz na górę, Antonie Stiepanowiczu, ale trzymaj ręce przed sobą.

Natasza znajdowała się w pomieszczeniu, w którym ją zostawił. Siedziała na podłodze, usta miała zakneblowane, oczy przewiązane szalikiem. Za nią stała Sierowa, celując z małego pistoletu w tył jej głowy.

- Zaraz cię obszukam - powiedział Bałow do Rydera - ale najpierw musisz się o czymś dowiedzieć. Jeżeli wykonasz choć jeden nieprzemyślany ruch, Sierowa strzeli. A widzisz, gdzie celuje.

Ryder spojrzał na Sierową. Chłodny wyraz jej twarzy potwierdzał, że się nie zawaha przed zabójstwem. Ryder napiął mięśnie, ale z powodu pistoletu, znajdującego się o kilka centymetrów od głowy Nataszy, był bezradny. Możliwości obrony stawały się coraz mniejsze w miarę, jak ręce Bałowa ze znanstwem przesuwają się po jego rękawach, kołnierzu, wokół talii, a potem w dół po jednej nodze, po drugiej. Palce zawahały się przy butach, a potem wyjęły nóż razem z pochwą.

- Odwróć się - rozkazał Bałow, odступując krok do tyłu. Spojrzeli sobie w oczy.

- Mógłbyś zachować się jak prawdziwy socjalista i poczęstować mnie papierosem - powiedział Ryder.

Bałow rzucił mu paczkę. Był to ulubiony tytoń Stalina, z Hercegowiny.

- I marksistowską zapalną - zażądał jeszcze Ryder.

- Uważaj, żeby ten tytoń nie zmienił cię w komunistę. Ryder uśmiechnął się i zapalił papierosa.

- Będę udawał, że to najlepszy kanadyjski gatunek. Bałow też się uśmiechnął. Czuł radosne podniecenie. Wydawało mu się, że Kanadyjczyk jest o wiele bardziej niebezpieczny, gdy się uśmiecha i zachowuje spokojnie.

- Antonie Stiepanowiczu, sprawiłeś nam mnóstwo kłopotów - powiedział.

- Wydaje mi się, że obowiązkiem każdego obywatela jest pilnowanie, by w robotniczym raju nie załagał się marazm - odparł Ryder. - Po prostu spełniłem swoją część tego obowiązku.

- Zostaniesz za to wynagrodzony.

- Pochowają mnie u stóp kremlowskiego muru? - spytał Ryder z uśmiechem.

- Trochę bardziej na wschód od niego. Powiedziałbym, że nawet setki kilometrów dalej.

- Dopilnuj, żeby na nagrobku nie wryli jakiegoś marnego proletariackiego wierszydła, dobrze? - zażartował Ryder, a jednocześnie bacznie się przyglądał schodom i jednemu oknu.

Bałow znów się uśmiechnął. Wiedział, o czym myśli Kanadyjczyk.

- Zastanawiasz się - powiedział - czy uda ci się uciec. I czy cię zabiję. No więc na oba pytania odpowiedź brzmi „nie”. Ale kula cię zatrzyma. Strzelę w oba kolana, jeśli okaże się to konieczne.

- Potrafisz zniszczyć radość podróży.

- Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym ci to zademonstrował w praktyce.

- Nie obawiaj się - odparł Ryder z cichym śmiechem. - Nigdy nie lubiłem widoku krwi. A już zwłaszcza wtedy, gdy jest to moja krew.

- To dobrze - powiedział Bałow. - Zatem rozumiemy się.

- Walerianie Wasiliewiczu, przecież zawsze się rozumieliśmy.

- Pod koniec może nawet za dobrze - mruknął Bałow. Ryder zaciągnął się papierosem. Spojrzał na Nataszę, która siedziała bez ruchu, z wyprostowanymi plecami. Oczy nadal miała zasłonięte.

- Na Łubiance - podjął rozmowę - przedstawiłeś mi pewną propozycję.

- Powinieneś ją wtedy przyjąć.

- Może się jeszcze nad tym zastanowię.

- Już za późno - powiedział Bałow. - Czas ucieka. Ostrzegałem cię. - Pokiwał ze smutkiem głową. - Pamiętasz te kamienne lwy? Antonie Stiepanowiczu, miałeś wtedy rację. Między człowiekiem i lwem nigdy nie będzie przymierza. Tak samo jak teraz między mną a tobą.

- Zawsze tak się to kończy - zgodził się Ryder.

- Gdybyś zdołał dostać się na okręt, ja byłbym już w drodze do Stalingradu - kontynuował Bałow z uśmiechem. - A tam nie jest teraz zbyt przyjemnie.

- Nie ma już parków ani ładnych dziewcząt?

- Nie. Są tylko atakujące niemieckie wojska.

- Szkoda - uzalił się Ryder. - Po londyńskich parkach dziewczęta nadal spacerują. To ładne dziewczęta. Angielki by ci się spodobaly. Cieszyły nawet oczy Marksa.

Bałow roześmiał się.

- Czy wypróbujesz moją nieprzekupność?

- To zależy.

- Od czego?

- Od wartości, jaką ma dla ciebie.

- Wartości mierzonej lojalnością?

- Wartości mierzonej w funtach szterlingach - wyjaśnił Ryder. - Cnót nie można złożyć w depozycie szwajcarskiego banku. Tam przyjmują tylko twardą walutę.

- Czy wtedy nie stałbym się ofiarą kapitalistycznego wyzysku?

- To brzmi jak partyjne hasło. Pomyśl o tym. Już nigdy nie musiałbyś znosić tej retoryki prostaków.

- Tylko że jest tu także biedna Katia - zwrócił mu uwagę Bałow. - Przyjmując nawet, że za dobrą cenę zgodziłbym się odrzucić wszystkie moje zasady, co zrobilibyśmy z nią?

Ryder popatrzył na Sierową. Jego usta uśmiechały się, ale w twardym spojrzeniu nie było ani odrobiny litości.

- Zastrzelimy ją.

Bałow odrzucił głowę do tyłu i głośno się roześmiał.

- Dlaczego się śmiejesz? - spytała Sierowa ze złością.

- On tylko żartuje - odpowiedział.

- Naprawdę?

- Pomyśl o Walerianie Wasiliewiczu - zwrócił się do niej Ryder. - Nie chcesz pomóc w szlachetnym dziele zapewnienia mu wygodnej starości? Uważam, że powinnaś się dla niego poświęcić.

Uśmiech Rydera pogłębił się. Z nich czworga tylko Sierowa była prawdziwą morderczynią. Naciśnięcie spustu pistoletu, opartego lufą o kark Nataszy, ani nie sprawiłoby jej radości, ani nie wywołałoby żalu. Pamiętał, że twarz miała tak samo pozbawioną wyrazu tej nocy, gdy wyciągała kierowcę z furgonetki. Otwór na jego policzku powstał od kuli wystrzelonej z pistoletu małego kalibru, takiego samego, jaki trzymała teraz.

- Widzisz? - Bałow wzruszył ramionami. - Nawet nie warto jej przekonywać. Poświęcenie nie leży w jej naturze. Antonie Stiepanowiczu, kończ już papierosa.

- Posłuchaj - powiedziała Sierowa, odwracając gwałtownie głowę. Usłyszeli samoloty. Była to formacja dwusilnikowych bombowców junkers 88, nadlatujących na niskim pułapie z zachodu, znad Morza Białego.

Nad portem rozjęczały się syreny, zaraz dołączyło do nich szczekanie dział przeciwlotniczych, ale warkot bombowców stawał się coraz głośniejszy. Kilka sekund później

bomby już spadały na najbliższe nabrzeża i magazyny. Ze świstem spływały z nieba, podłoga tartaku drżała od wstrząsów.

- Na dół... pod schody! - Bałow machnął pistoletem. - Zdejmij jej szalik z oczu - polecił jeszcze Sierowej.

Musiał krzyczeć, żeby go usłyszeli. Ściany drżały, odpadał od nich tynk. Na tory spadało coraz więcej bomb SC-250. Obaj mężczyźni zatrzymali się na schodach, usiłowali coś zobaczyć przez otwory w dachu. Wydawało im się, że świst następnej porcji zrzuconych bomb zawisł w powietrzu i trwa w nieskończoność.

Nastąpiła jedna eksplozja, potem druga, cały budynek się zakołysał. Oślepiający, pomarańczowy blask wyssał powietrze z płuc Rydera, a wybuch poniósł w dal kobiecy krzyk.

Wybuch...

Ryder rozpląszczył się na podłodze. W uszach mu tak dzwoniło, że nie słyszał już samolotów. Otoczył go pył i dym, w powietrzu rozszedł się zapach kordytu.

Kilka metrów dalej Bałow toczył się po podłodze. W jakiś sposób zdołał utrzymać w ręce pistolet. Rękawem przetarł oczy. Dryfujący dym zasłonił jego twarz.

Czy Sierowa też zachowała broń? Trudno powiedzieć. Ryder nie mógł ryzykować życiem Nataszy. Skulony, popęzł do poręczy.

Koło spalarni leżało ciało żołnierza Grigorienki. Jedną rękę miał oderwaną, ale pistolet nadal znajdował się w podramiennej kaburze, pod kikutem.

Prześlizgując się między lejami po bombach, Ryder minął ciało w pewnej odległości. Nikogo więcej tu nie było.

- Antoni Stiepanowiczu! - zawołał Bałow.

Bez ostrzeżenia, w ciasnym szyku nadleciała druga fala bombowców. Ryder obejrzał się. Bałow klęczał na jednym kolanie, pistolet trzymał w obu rękach. W łoskocie silników samolotowych Antony nie usłyszał strzału, ale zobaczył odrzut. Koło jego stóp uniosła się chmura pyłu. Pobiegł schować się za zrujnowaną suszarnią drewna.

Stamtąd miał już niedaleko do wagonów stojących na stacji rozrządowej. Biegł tak szybko, że ziemia dudniła mu pod nogami. Zanurkował pod jeden z wagonów, przeczołgał się na drugą stronę i pobiegł dalej.

W jego stronę jechał powoli pociąg. Właśnie pokonywał zakręt koło semafora. Z tyłu, koło magazynów, palił się wagon z amunicją. Pociski rozpryskiwały się na wszystkie strony. Ryder zasłonił oczy rękami. Odłamki leciały w niebo, na chwilę zawisały i spadały z powrotem na ziemię.

Z tyłu, na nasypie, zobaczył Bałowa. Od zachodu nadlatywały nisko trzy samoloty. Bałow skoczył pod wagon. Ryder rozplaszczyl się na ziemi. Samoloty przeleciały prawie nad dachami wagonów, ich karabiny maszynowe zostawiały na ziemi ślad jak po szyciu.

Ryder spojrzal na tory. Lokomotywa była już o wiele bliżej i jechała prosto na niego. Odepchnął się rękami, przeskoczył przez tory, słysząc prawie nad głową turkot kół, i biegiem oddalił się od trzeszczących wagonów.

Nalot się skończył. Samoloty zakręcały na północny zachód, czarne na tle nieba o kolorze macicy perłowej. Z nabrzeży unosił się w górę ciemny dym, na torach płonęło wiele małych ognisk. Pociąg zwalniał.

Ryder wpadł za ogrodzenie kończące tory. Wydawało mu się, że jego krew zastygła i nie dociera do serca, płuca nie dostawały tlenu, twarz miał mokrą od potu. Po drugiej stronie uliczki ocalałe dachy tworzyły równą linię na tle nieba. Kilka przejść między magazynami i platformami załadowczymi prowadziło donikąd. Wiedział, że Bałow musi biec tuż za nim. Spróbował otworzyć drzwi sklepu z sieciami. Zamknięte od środka. Zdjął płaszcz, owinął wokół ramienia i wybił szybę.

W sklepie panowała ciemność. Wokół pomieszczenia górą biegł stryszek. Wahadłowe tylne drzwi były zamknięte na łańcuch. Pomyślał, że wyżej też musi być jakieś wyjście, i po drabinie wszedł na stryszek.

Na linach zwisających z belek rozpięte były ciężkie sieci, przeznaczone do trałowania na głębokich wodach; liny uginały się pod nimi.

Od frontowych drzwi dobiegł zgrzyt tłuczonego szkła. Ryder zastygł bez ruchu. Jego oczy szaleńczo przepatrywały ciemność w poszukiwaniu jakiejś broni. Znalazł tylko mały nożyk do przynęty, wbity do połowy w belkę. Jeżeli w ogóle do czegoś się nada, to jedynie z bliska. Jednak wyrwał go z belki i znów przylgnął do ściany.

Na parterze cień Bałowa znalazł się w zasięgu jego wzroku. Przez chwilę trwał nieruchomo, potem ruszył: jeden, dwa, trzy kroki, aż wreszcie głowa i ramiona wynurzyły się ponad krawędzią stryszka. Pistolet lśnił mdłym blaskiem.

Ryder sięgnął nad głowę po linę podtrzymującą ciężką sieć. Zaczął uderzać nożykiem w gruby splot. Czuł, jak nitki konopi pękają jedna po drugiej.

Nagle Bałow się cofnął. Nóż zastygł w ręku Rydera. Drabina zadrzała. Bałow wchodził na górę.

Ryder odciął korek z najbliższej sieci i rzucił go przed siebie. Delikatny odgłos upadku spowodował, że drabina przestała drżeć.

- Zejdź - powiedział Bałow.

Ryder spojrzał w dół na szerokie plecy i przypomniał sobie łatwość, z jaką Bałow kiedyś w Stalingradzie podniósł pięćdziesięciogalonowy bęben do połowy wypełniony cementem. Nie mogę ryzykować, pomyślał.

- Antonie Stiepanowiczu! - wołał Bałow z cienia. - Nie ma czasu na zabawy.

Nie ma czasu, powtórzył w myślach Ryder i wbił ostrze noża w ostatnie włókna liny. Kątem oka zauważył, że Bałow obraca się i podnosi rękę, ale sieć już spadała, przygniatając go do podłogi.

Ryder skoczył na stos splątanych lin. Sekundę później jedną ręką trzymał Bałowa za kark, a drugą przystawił mu nóż do szyi. Ale nie musiał go wbić. Bałow uderzył mocno głową w cementową podłogę i był nieprzytomny. Po włosach ściekała mu krew. Oddychał płytko, lecz równo, puls nadal bił na tętnicy szyjnej, tam gdzie Ryder celował nożem.

Powoli zaczęło go opuszczać napięcie. Poluznił chwyt na karku Bałowa. Nie chciał go zabijać, bo Walery Wasiliewicz i tak już nie mógł mu zaszkodzić.

Nad Archangielskiem wisiał zmrok. Na stacji rozrządowej robotnicy naprawiali tory. Ciszę wieczoru mącił głuchy stukot łopat na żużlu. Pośród tej gorączkowej pracy Ryder bez trudu prześliznął się z powrotem do tartaku.

Wybuch oderwał górne piętro. Pozostała tylko jedna zewnętrzna ściana. Wdrapał się na stos gruzów i wszedł w cień.

Najpierw zobaczył Sierową. Leżała przyciśnięta belką. Chciał ją wolnie, ale zorientował się, że jest za późno. Miała rozbity kark, z płuc przez otwarte usta wyciekła krew. Jej puste oczy wpatrywały się w szarą dań; widział w nich ten bezkres już przy pierwszym spotkaniu. Nikt tam za nią nie mógł podążyć.

Gdzieś w rumowisku rozległ się cichy jęk.

- Natasza! - zawołał i przedarł się przez gruzy. Z dachu zwisał kawał blachy. Ryder odepchnął go i w powstałej niszy zobaczył białe ramię i twarz.

Podpełzł do niej. Ta sama belka, która zgmiotła Sierową, uratowała życie Nataszy. Rozpaczliwie starał się ją wolnie.

- Wytrzymaj jeszcze trochę - powiedział. - Zaraz cię stąd wyciągnę. Odrzucił na bok gruz, aż ją oswobodził. Ale gdy podłożył rękę pod jej ciało, krzyknęła.

- Tosza, to na nic. Nie mogę się ruszać.

- Musisz!

Spróbowała się podnieść, jednak zaraz opadła z grymasem bólu, zaciskając oczy. Delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Zostaw mnie - błagała - i uciekaj, zanim ktoś tu przyjdzie.

Jej wilgotna i zimna skóra świadczyła o doznanym szoku. Nagła świadomość, że po tym wszystkim może ją stracić, była dla Rydera jak ciężka, czarna zasłona, owijająca jego serce. Ale nie. Tak się nie stanie. To przekraczało jego możliwość pojmowania.

- Zarzuć mi ręce na szyję. Wyciągnę cię stąd.

- Nie mogę ruszać lewą ręką.

- Więc przytrzymaj się mnie prawą.

- Jest cała zdrętwiała. Czuję w niej tylko palący ból.

- To pewnie skurcz - powiedział. W jego głosie brzmiała nutka rozpaczliwego nalegania, tak jakby włączył się w nim jakiś wewnętrzny alarm, coraz bardziej przeraźliwy, którego nie można w żaden sposób wyłączyć.

- Tosza - szepnęła - słuchaj...

- Nie idziemy daleko. Wytrzymasz. Nie ma innego wyjścia.

- Ale jeżeli zobaczą, że mnie niesiesz...

- Pomyślą, że zostałeś ranna podczas nalotu. Panuje takie zamieszanie, że przejdziemy.

Natasza cicho płakała z bólu. Twarz miała skapaną w zimnym pocie.

- Tosza, proszę, zostaw mnie tu.

Jego wewnętrzny alarm wyłączył się, a może zagłuszyła go rozpacz. Jeżeli znów go złapią... ale nie należy o tym myśleć. Miał pistolet Bałowa. Gdyby nie zdołał wynieść stąd Nataszy, jedna kula we własną skroń wystarczy, by raz na zawsze zamknąć akta zatytułowane „Szary Wilk”.

Ryder dotknął policzka Nataszy. Mimo myśli o śmierci przebiegających mu przez głowę, jego palce delikatnie musnęły jej skórę. Uśmiechnął się i powiedział:

- Pamiętasz dziewczynkę, o której mi opowiadałaś? Tę, która śmiała się, gdy wypadła z sanek na śnieg? A więc powiem ci, że zakochałem się w niej i nie mogę bez niej odejść.

Drugą rękę wsunął pod płaszcz. Palce zacisnęły się na pistolecie, jakby zawierały milczącą umowę.

Bałow odzyskiwał przytomność stopniowo, jak pacjent wychodzący z narkozy. Najpierw ocknął się jego zmysł słuchu i dotyku. Nie mógł poruszać rękami, bo były związane na plecach, usta miał zakneblowane. Otworzył oczy i zorientował się, że kołysze się nad podłogą w rybackiej sieci. Po głowie rozchodził mu się mdlący ból, docierający aż do oczu.

Pierwszą myślą, która przedarła się przez ból, było to, że Kanadyjczyk na pewno właśnie próbuje dostać się na brytyjski okręt.

Zaczął napinać mięśnie ramion, aż lina otarła mu skórę na nadgarstkach. W końcu poddał się. Tylko niepotrzebnie tracił siły, a od wysiłku głowa bolała jeszcze bardziej.

Lina, która podtrzymywała jego sieć, ginęła w ciemnościach pod sufitem. Była mocno przywiązana do pala na stryszku, zapętlala się przy krokwiach i opadała pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Noc powoli rozjaśniała okienko, straszliwie powoli jak dla człowieka w sieci. Wydawało mu się, że minęła cała wieczność, zanim do sklepu przedostało się szare światło. Przedmioty nabrały kształtu. Na tyłach z cieni wynurzyła się łódź stojąca na kołkach. Kadłub był zdruzgotany, katastrofa wydarzyła się chyba już jakiś czas temu. Sieci też wyglądały na stare. Może to miejsce dawno już opuszczono.

Potem do sklepu wpadła smuga dziennego światła i oczom Bałowa ukazały się dwa harpuny na wieloryby. Stały pod ścianą, żelaznymi ostrzami do góry. Gdyby mógł się do nich dostać...

Wykorzystał ciężar własnego ciała, by rozhuścić sieć. Podłoga płynęła pod nim w tę i z powrotem; za każdym razem, gdy wychylał się rozkołysany, ściana była odrobinę bliżej. Bliżej, dalej, znów bliżej...

Harpuny znajdowały się za jego plecami. Wykręcając szyję, mógł zobaczyć ostrza. Brakowało mu już tylko niecałego metra, więc energicznie wiosłował stopami, by zmienić kurs sieci.

Dwa razy prawie ich dotknął. W końcu zdołał chwycić jeden, ale sieć dołem zawadziła o stół i przeniosła go na drugą stronę. Harpun znów znajdował się poza jego zasięgiem.

Bałow zaklął. Sieć zwalniała. Mięśnie ramion bolały go od wykrzywiania szyi.

Musi zachować jasność umysłu i rozwiązać proste zadanie fizyczne. Ciężar i masa harpuna... kierunek kołysania się... przeszkody...

Jeszcze raz sieć zaskrzypiała na krokwiach. Rozkołysał ją. Kilkanaście razy przybliżał się do harpuna na odległość centymetrów. Harpun kusił jego wyciągnięte palce, ale Bałow celowo rzucał się do tyłu. Nie mógł ryzykować, że chybi. Dopiero gdy mięśnie karku zaczęły go palić żywym ogniem, rzucił się i chwycił ostrze. Tym razem nie wymknęło mu się z rąk, sieć nie zawadziła o żadną przeszkodę. Zaczekał, aż lina przestanie się kołysać.

Harpun był naostrzony. Ciągnął go, aż znalazł się w sieci. Gdy rozluźnił palce, z jego twarzy spływał pot. Minęło kilka minut, zanim mógł przystąpić do przecinania liny krepującej mu rękę.



Wóz ciągniony przez renifery jechał wolno z przedstawicielstwa Norwegii na nabrzeże, gdzie cumował brytyjski niszczyciel „Jaguar”. Wiózł cztery trumny. Za wozem szedł porucznik Evans, którego dowódca brytyjskiej bazy upoważnił do załatwienia sprawy.

Kilku marynarzy wyszło na trap, by wnieść trumny na pokład. Ale radziecki wartownik gestem kazał im się cofnąć. Ubrany w koszulkę w czerwone paski, czarny beret, z karabinem w gotowości, z determinacją wykonywał rozkazy.

Evans wyjął z kieszeni zezwolenie.

- To zmarli marynarze z „Hartlebury” i „Empire Byron” - oznajmił z okropnym akcentem w języku rosyjskim. - Ten dokument zezwala na wniesienie ciał na okręt. Jest podpisany przez władze portu.

- Niet. - Radziecki marynarz pokiwał odmownie głową. Niech to szlag, zaklął w duchu Evans. Przez tego głupiego syberyjskiego chłopca wszystko się opóźni. A najprawdopodobniej nawet nie umie czytać.

- Posłuchajcie, Ten okręt jest przygotowany do wyjścia w morze. Czekaliśmy tylko na trumny. Nic na to nie poradzę, że was o tym nie poinformowano. Mnie wasze władze portowe poleciły wnieść ciała na pokład. I zamierzam dopilnować, żeby tak się stało.

Evans miał nadzieję, że blef okaże się skuteczny. Ale wartownik niewzruszenie stał na swoim miejscu. Na jego twarzy pojawił się grymas uporu. Zerwał z ramienia karabin.

- Niet!

Wylot lufy znalazł się o pół metra od brzucha Evansa. Nawet mimo bariery językowej wymowa tego gestu była oczywista. Jeżeli brytyjscy marynarze spróbują ruszyć trumny, wartownik zastrzeli oficera.

Evans oczami duszy zobaczył przerażający obraz: swoje własne zakrwawione wnętrzności wypadające na bruk nabrzeża. Dźwięk odwodzonego spustu przyprawił go o mdłości. W gardle został mu gorzki posmak.

- Zatrzymujecie niszczyciel Królewskiej Marynarki, który dostał rozkazy bojowe. Jeżeli ten dokument wam nie wystarczy, wezwijcie swojego przełożonego.

Mimo porannego chłodu Evans się pocił. Lufa ciągle była wymierzona w jego brzuch. Odwrócił się z wystudiowaną nonszalancją, właściwą tylko Brytyjczykom, i spojrzał na mostek „Jaguara”. Kapitan i pierwszy oficer stali przy relingu. Przynajmniej mieli tyle rozumu, by się nie wtrącać, bo wiedzieli, że gdyby interweniowali, wzbudziłoby to jeszcze większe podejrzenia.

Jednak im dłużej to wszystko potrwa, pomyślał Evans, tym większe ryzyko, że w końcu Rosjanie coś odkryją. Ze zdenerwowania miał mokre ręce.

Dwadzieścia minut później pojawił się Borys Grigorienko ze służb bezpieczeństwa. Wdali się w gorącą dyskusję, tym razem po angielsku.

- Proszę. - Evans podał mu zezwolenie. Grigorienko wziął je z niechęcią. - Mam tu pisemny rozkaz. Ciała zostały odebrane ze szpitala w nocy. Przewieziono je do przedstawicielstwa Norwegii, gdzie czekały na trumny.

- W tym czasie coś się zdarzyło. - Grigorienko złożył dokument i oddał go Evansowi.  
- W tej chwili zajmujemy się czymś innym. A rozkazy czasami są zmieniane.

- Ale okręt musi wypłynąć. Nie możemy czekać na nowe pozwolenie. Jak pan zapewne wie, trwa wojna.

- Wiemy o tym bardzo dobrze - odparł Grigorienko. - Naród radziecki wie o tym może nawet lepiej niż Brytyjczycy. A na pewno lepiej niż wasz Churchill.

- Nie rozumie pan, że marynarze, którzy teraz spoczywają w tych trumnach, służyli również Związkowi Radzieckiemu? I w końcu oddali za niego życie. Wydawałoby się, że zapłacili za swój powrót do domu. A może ich śmierć nic dla was nie znaczy?

Na białych policzkach Grigorienki pojawiły się czerwone plamy. W kąciu ust zaczął mu drgać mięsień.

- Chcę sprawdzić trumny - powiedział. - Potem możecie je wnieść na pokład.

- Chce pan powiedzieć, że nie wierzy słowu brytyjskiego oficera? - obruszył się Evans.

- Dajcie mi swój bagnet - rozkazał Grigorienko wartownikowi.

- Nie. Sam otworzę - sprzeciwił się Evans, kładąc rękę na trumnie, w której znajdował się Ryder.

- Ja otworzę - upierał się Grigorienko. - To radzieckie trumny.

Przeszedł kilka kroków i wybrał inną trumnę, nie tę, której dotknął Evans.

Evansowi ze strachu zbierało się na mdłości. Ogarnęła go tak wszechpotężna panika, że nie mógł sobie przypomnieć, w jakim porządku trumny są ustawione.

Calloway, pomyślał. Gdzie jest Calloway?

Grigorienko wsadził czubek bagnetu pod wieko i naciskał tak długo, aż gwoździe puściły. Podniósł pokrywę i rozpiął worek. Zobaczyli twarz poległego marynarza, pokrytą warstwą czegoś, co wyglądało jak rybi śluz. Oczy były zamknięte, wykrzywione usta mocno zaciśnięte.

Evans usiłował odzyskać spokój. Do tej pory miał szansę pół na pół, teraz już tylko dwie na trzy.

- Na pewno zrozumie pan, gdy rząd Jego Królewskiej Mości ostro zaprotestuje przeciw temu, co pan tu robi - powiedział z emfazą. - Czy własnych poległych też tak bezczęście? A może rezerwujecie takie traktowanie tylko dla sprzymierzeńców? Towarzyszu Grigorienko, dla waszego własnego dobra mam nadzieję., że jesteście przygotowani na przyjęcie pełnej odpowiedzialności za swoje czyny. Będziecie musieli się tłumaczyć w Moskwie. Przysięgam wam, że zostanie przeprowadzone formalne dochodzenie w tej sprawie.

Bagnet zatrzymał się nad drugą trumną. Evansowi wydawało się, że to trumna dziewczyny, ale nie był pewny.

- Wydaje mi się - dodał jeszcze - że nawet Niemcy traktowałiby zmarłych z większym szacunkiem.

Calloway! Gdzie jest ten cholerny Calloway?

Grigorienko zawahał się, kark pokrył mu się ciemną czerwienią. Mięsień w kąciu ust drgał coraz mocniej. Wsadził czubek bagnetu pod wieko trumny.

Nagle z drugiej strony nabrzeża rozległ się krzyk. Ktoś biegł w ich stronę. Miał na sobie oficerską bluzę, przy boku pistolet. Jego buty głucho dudniły po bruku, kabura waliła go w biodro, chociaż przytrzymywał ją ręką.

Z bliska okazało się, że to porucznik, jeden z ludzi Grigorienki. Wyrzucił z siebie po rosyjsku jakiś meldunek tak szybko, że Evans niewiele zrozumiał. Milkł tylko wtedy, gdy Grigorienko zadawał mu krótkie pytania. „Brytyjczyk... pasuje do rysopisu człowieka, którego szukają... złapany, gdy próbował dostać się na inny brytyjski niszczyciel... mówi, że jest brytyjskim marynarzem... bez munduru... nie ma dokumentów...”.

- Jakie nazwisko podał? - warknął Grigorienko.

Porucznik wręczył przełożonemu strzęp papieru z zapisanym nazwiskiem. ‘Wściekłość na twarzy Grigorienki ustąpiła miejsca szalonej radości.

- Okazuje się - powiedział z trudem po angielsku - że człowiek, którego szukaliśmy, jest już aresztowany. Został zatrzymany, gdy próbował dostać się na inny niszczyciel brytyjski. Mówi, że należy do załogi.

- Nie miał przy sobie dokumentów identyfikacyjnych? - zdziwił się Evans.

- Twierdzi, że je zgubił. - Grigorienko uśmiechnął się i podał Evansowi świstek papieru. - Mówi, że nazywa się Michael Manion.

- I, do cholery, na pewno tak jest.

- Wszystkie załogi miały pozostać na okrętach. Dlaczego więc ten marynarz wyszedł na brzeg? - spytał Grigorienko.

- Najprawdopodobniej szukał kobiety. Nie widzę innego powodu - wyjaśnił Evans.

- Bez munduru?

- Ośmieliłbym się powiedzieć, że w mundurze nie zaszedłby daleko.

Truchtem zbliżał się do nich jeszcze ktoś, tym razem w mundurze brytyjskiej marynarki. Był to podporucznik Niles Calloway, brytyjski łącznik w przedstawicielstwie Norwegii. Dał wspaniały pokaz irytacji, nie całkiem zresztą udawanej, bo z trudem dostał się na nabrzeże. Pociągnął Evansa na stronę, poza zasięg słuchu Rosjan, i z podnieceniem zaczął mu szeptać coś do ucha, osłaniając usta ręką.

Grigorienko przyglądał się temu ze zmarszczonym czołem, ale nie zdołał niczego podsłuchać.

- Calloway, ty cholerny głupcze, miałeś wszystkiego dopilnować. Czy znów wpadłeś w swój zwykły stan otępienia?

- Trzy razy zatrzymywali mnie i rewidowali.

- Otworzył jedną trumnę. A mogliśmy już mieć to wszystko za sobą, gdyby ten radziecki oficer tu nie przyszedł, żeby zrobić to, co należało do ciebie.

- Stawiam gwineę przeciw twojemu funtowi, że zanim to się skończy, wszyscy znajdziemy się w trumnach.

- Niles, zamknij się i pokaż, jak bardzo czujesz się winny. Evans podszedł z powrotem do Grigorienki, podczas gdy Calloway został na miejscu, demonstrując zgodnie z rozkazem prawdziwą skruchę.

- Na pewno szybko pan się zorientuje - powiedział Grigorienko - że człowiek przedstawiający się jako Michael Manion nie jest zwykłym marynarzem, który urwał się z okrętu.

- Bzdura - rozzłościł się Evans. - A kim innym mógłby być? Głupi marynarz wymknął się z okrętu w cywilnych łachach i zgubił dowód tożsamości, a wy od razu myślicie, że to szpieg?

- Właśnie tak myślę - przytaknął Grigorienko.

- Po prostu zachciało mu się kobiety - tłumaczył Evans. - Jeżeli wierzycie, że to szpieg, to równie dobrze możecie wierzyć w Świętego Mikołaja. No dobrze, dajmy temu spokój. Muszę umieścić te trumny na okręcie. Byłbym wdzięczny, gdybyście już skończyli z rewizją.

Czubek bagnetu nadal znajdował się pod wiekiem trumny. Grigorienko rzucił spojrzenie na swojego porucznika. Na twarzy tamtego ciągle malowało się podniecenie. Grigorienko miał już tego dosyć. Westchnął i wyciągnął ostrze spod wieka.

- Wnieście ich na pokład - zezwolił. Potem ze sztywnym uśmiechem, świadczącym, że to tylko gra, dodał: - Rozumiem, że mam pana słowo... słowo honoru.

- Jak mogę dać słowo? - spytał Evans cierpko. - W trumnach leżą szpiedzy. A może marynarze, którzy cichaczem wymknęli się z okrętu, by poszukać dziewczyn?

Patrzył za Grigorienką, gdy ten szybko oddalał się razem z porucznikiem. Z ulgi zaczęły mu drżeć nogi. Dziękuję Ci, Boże, szepnął z wdzięcznością.

Aresztowany marynarz rzeczywiście nazywał się Michael Manion. Był to główny sygnalista z jednego z niszczycieli. Evans wybrał go ze względu na pewne podobieństwo do Kanadyjczyka: czarne włosy, jasnoniebieskie oczy i metr osiemdziesiąt wzrostu. Obraz psuł tylko irlandzki akcent.

- Nie mogę tego zmienić, sir - zarzekął się Manion.

- Jeżeli od początku nie zorientują się, że nie jesteś Ryderem, może podstęp się uda. Przy odrobinie szczęścia pomyślą, że to on.

O wiele trudniej było wydostać Maniona po zmroku z okrętu. Cały czas obawiali się, że ich gumowy ponton zostanie ostrzelany. Drugą trudność stanowiłby powrót na okręt po tym, jak już KGB sprawdziłoby tożsamość marynarza. Chociaż mogli nawet uwierzyć w jego historyjkę. Irlandczycy to urodzeni łgarze. Evans razem z Grigorienką poszukałby zgubionych dokumentów. Wiedzieliby, gdzie szukać, bo wcześniej umówił się z Manionem, gdzie je zostawi. Grigorienko zapewne nabralby się na to wszystko. Jednak czy naprawdę by się nabral? Tak czy owak, dziękuję Ci Boże za tych łotrów Irlandczyków, westchnął pobożnie Evans.

HMS „Jaguar” był już na morzu od dwudziestu minut, gdy Bałow dotarł do biura Grigorienki. Popatrzył na Irlandczyka, który siedział ponuro na ławce między dwoma wartownikami.

- To nie ten.

- Ależ, towarzyszu pułkowniku... - zaczął tłumaczyć przerażony Grigorienko.

- Czy jakiś okręt wyszedł dziś z portu?

- Niszczyciel - odparł Grigorienko. - Otrzymał rozkazy bojowe z brytyjskiej Admiralicji.

- Wzięli coś na pokład?

- Cztery trumny ze zmarłymi od ran podczas ostatniego konwoju. Wiedzieliśmy o tym. Wydaliśmy okrętowi oficjalne zezwolenie na zabranie ciał. Bałow pobrał.

- Byłem tam - mówił dalej Grigorienko. - I sprawdziłem zezwolenie.

- Otwierałeś trumny?

- Jedną - wyjął Grigorienko. - Był w niej zm...zmarły marynarz.

- A pozostałe trzy?

Mięsień w kąciu ust Grigorienki znów zaczął żyć własnym życiem.

- Brytyjski attache dał mi słowo honoru... Poza tym sam zamierzał otworzyć te trumny. Myślałem...

Bałow wolałby nie wierzyć w to, co słyszy, ale wiedział, że to prawda.

- Co za głupiec z ciebie - warknął.

W infirmerii pod pokładem lekarz okrętowy badał Nataszę. Ryder wystąpił jako tłumacz. W końcu doktor zrobił dziewczynie zastrzyk z dwudziestu miligramów morfiny. Po twarzy Nataszy znów popłynęły łzy, ale tym razem były to łzy ulgi.

- Pęknięta miednica, obojczyk zresztą też. Obrzęk w lewym śródstopiu, może także złamanie. Mnóstwo urazów, od rozległych do lekkich. - Doktor przerwał na chwilę swoją wyliczankę i spojrzał na Rydera. - Niósł ją pan?

- Tak.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego nie krzyczała z bólu.

- Dwa razy zemdląca. Doktor pokiwał głową.

- O mój Boże, ci Rosjanie to twarde sztuki.

Ryder podszedł do Nataszy, leżącej na stole do badań. Całą twarz miała w kroplach potu. Wytarł ją wilgotną szmatką. Pod wpływem morfiny powieki dziewczyny stawały się coraz cięższe.

- Nie zostawiaj mnie. - Jej głowa poruszyła się lekko na poduszce.

- Będę z tobą cały czas. - Wziął ją za rękę i uśmiechnął się do niej.

Wkrótce już spała. Palce ściskające jego rękę rozluźniły się, ale nie odsunęły. Zapach środków dezynfekcyjnych przywiódł mu na myśl inny szpital, twarz pod opatrunkami z gazy.

Ale tamto odchodziło w przeszłość, a palce Nataszy trzymały go mocno w teraźniejszości. Teraz należał do niej.

- Powinien pan się przespać - powiedział lekarz. - Mogę panu dać środek nasenny.

- Nie, dziękuję. Ale chciałbym się umyć i dostać czyste ubranie.

Gdy się wykapał i ogolił w szatni oficerów, poczuł się tak, jakby zmartwychwstał. Nagle ktoś ostro zastukał w drzwi grodzi i do szatni wszedł jakiś podporucznik.

- Kapitan przesyła pozdrowienia, sir, i prosi, by pan przyszedł na mostek.

- Proszę mu powiedzieć, że zaraz tam będę.

- Zaprowadzę pana. Za pierwszym pobytym na okręcie trudno jest znaleźć drogę.

Ryder, ubrany w roboczy kombinezon, gruby sweter i marynarskie buty, szedł za oficerem. HMS „Jaguar” płynął z szybkością dwudziestu czterech węzłów na północ, okrążając półwysep Kola. Był to jeden z nowych jednokominowych niszczycieli klasy „J”, wysmukłych i szybkich, a na jego uzbrojenie składało się sześć armat, jedno automatyczne działo przeciwlotnicze, dwa stanowiska poczwórnie sprzężonych karabinów maszynowych i dziesięć wyrzutni torpedowych.

Kapitan Avery, krępy mężczyzna pochodzący z Yorskshire, opierał się łokciami o reling i patrzył przez lornetkę.

- Pomyślałem, że powinien się pan o tym dowiedzieć - powiedział. - Mamy niezapowiedzianych gości.

- Przybywają na herbatkę? - zażartował Ryder.

Kapitan popatrzył na niego i Ryder zorientował się, że jego żart wcale go nie rozbawił.

- Niech pan sam spojrzy. - Podał Ryderowi lornetkę. Dwie radzieckie kanonierki podchodziły do „Jaguara” od rufy, ciągnąc za sobą długi kilwater.

- Czy możemy uciec? - spytał Ryder.

- Raczej nie - odparł kapitan. - A już na pewno nie możemy umknąć przed tym facetem w górze.

Nad ich głowami bombowiec stormowik zataczał szerokie kręgi.

- Pierwszy - rozkazał kapitan. - Proszę ogłosić alarm. Wątpię, by tak się spieszyli na kieliszek rumu. - Spojrzał z niechęcią na Rydera. - Albo na herbatkę.

Pierwszy oficer przekazał rozkaz tubą głosową i zaraz rozdzwoniły się dzwonki. Na zejściówkach pojawili się marynarze, a chwilę potem nadeszły meldunki o gotowości bojowej.

Obie kanonierki, „Pskow” i „Riazin”, podeszły do „Jaguara” na odległość ośmiuset metrów. „Pskow” pozostał na pozycji, podczas gdy „Riazin” ustawił się obok „Jaguara” po prawej burcie i zaczął sygnalizować lampą.

- Evans, czego chcą? - spytał kapitan głównego sygnalistę.

Kolejny Evans, pomyślał Ryder uśmiechając się. Dwóch tego samego dnia. Pierwszemu Evansowi, magikowi - amatorowi na nabrzeżu, dałby najwyższą ocenę gdyby nie to, że pozwolił, by tłusty tyłek Grigorienki spoczął na otworach wywierconych dla wentylacji na wieku trumny, gdy przysiadł na niej, by podważyć wieko sąsiedniej. Gdyby został tam choć trochę dłużej, Rydera spotkałaby mało chwalebna śmierć przez uduszenie, podczas gdy tyłek Grigorienki odgrywałby rolę deus ex machina historii.

- Sir, żądają, by „Jaguar” zatrzymał maszyny - powiedział sygnalista. - Proszę o pozwolenie na wejście na pokład.

- Nie może pan się na to zgodzić - ostrzegł Ryder.

Kapitan rzucił mu niechętnie spojrzenie. Najwyraźniej perspektywa konfrontacji go nie zachwycała.

- Bardzo dobrze - odezwał się do sygnalisty. - Proszę przekazać: „Przykro mi. Nie mogę spełnić waszej prośby. Moje rozkazy bojowe nakazują iść całą naprzód”.

Sygnalista przekazał wiadomość lampą. Nie otrzymał odpowiedzi, ale kanonierka zbliżała się do nich z zatrważającą prędkością. Jej załoga już szykowała działa pokładowe. Ryder znów podniósł lornetkę do oczu. Zobaczył wyraźnie twarze na pokładzie radzieckiej jednostki. Jednym z ludzi był Bałow. I to właśnie Bałow wziął do ręki megafon i zawołał po angielsku z twardym akcentem:

- Zawracajcie do portu! Wody przed wami są zaminowane. Na waszych mapach nie znajdziecie nowych pól minowych. Damy wam eskortę. Musicie zawrócić do Archangielska!

- Blefuje - powiedział Ryder.

- Z jakiego powodu jest pan tego tak cholernie pewny? - spytał kapitan. Po morzu znów rozszedł się głos z megafonu z „Riazina”:

- Jesteście na radzieckich wodach terytorialnych. Tutaj my sprawujemy władzę. Rozkazuję wam zawrócić do portu.

- Co mam odpowiedzieć? - spytał Rydera kapitan.

- Niech pan mu powie, żeby się odpieprzył. Tak chyba brzmi uprzejma marynarska odpowiedź.

- A jeżeli zaczną strzelać?

- Wtedy będzie pan musiał ich zatopić - odparł Ryder. - Zgodnie z najlepszą tradycją ustanowioną przez Nelsona.

- Mam nadzieję, że pan wie, co mówi.

- Czyżby nie było tego po mnie widać?

- Jeżeli pan myśli, że nie odważą się strzelać, już jest pan martwy. Znam rosyjską mentalność.

- Doprawdy, kapitanie? - zakpił Ryder. - Cieszę się.

- Proszę posłuchać. Muszę polegać na tym, co pan mówi. Cała sprawa sprowadza się do tego, że nie wiem, o co chodziło w pana misji. I teraz powinienem zdecydować, czy chronienie pana warte jest śmierci mojej załogi i utraty okrętu.

- Nie tylko tego okrętu, lecz również pięciu takich jak on - powiedział twardo Ryder.



- No dobrze. - Kapitan skinął głową. - Lepiej, żeby miał pan rację. Włączył megafon.

- Bardzo wam dziękuję za ostrzeżenie! - zawołał. - Postaramy się uważać na miny. Moje rozkazy mogą być odwołane jedynie przez brytyjską Admiralicję. Jeżeli rzeczywiście istnieje nagląca potrzeba, by „Jaguar” zmienił kurs i wrócił do Archangielska, proszę porozumieć się z dowódcą bazy brytyjskiej w Polarnym. Jedynie od niego mogę przyjąć zmianę rozkazów.

Ryder usłyszał metaliczny szczęk ciężkiego karabinu maszynowego na rufowym pokładzie „Riazina”. Ciszę rozdarły trzy salwy.

Kapitan Avery rzucił kilka rozkazów. Działa niszczyciela nakierowały się na cel. Wieżyczka na rufie obróciła się i wymierzyła w drugą kanonierkę, „Pskow”, która chwilę wcześniej znajdowała się w odległości jakichś ośmiuset metrów, ale już podpływała bliżej. Na pokładach „Jaguara” i „Riazina” panowała napięta cisza. Bombowiec stormowik leniwie zataczał koła po niebie.

Kapitan Avery odznaczał się spokojem typowym dla ludzi z Yorkshire. Nie lubił, by go do czegoś zmuszano. Jeszcze raz włączył megafon.

- Mamy wojnę - oznajmił lakonicznie. - A ja wolałbym topić Niemców.

Nikt nie miał wątpliwości, że na mostku „Riazina” dowodzi Bałow. Przyglądał się brytyjskiemu okrętowi, obliczając swoje szanse. Chłodno szacował, jak w szachach, czy na przykład warto poświęcić wieżę, by ocalić króla. A może chciał doprowadzić do pata? Wreszcie podjął decyzję.

Megafon znów uniósł się do góry. Wydawało się, że minął długi czas, zanim przez wąską połąć morza dobiegł jego głos, zagłuszany częściowo warkotem silnika samolotu i szumem wody.

- Kapitanie! - zawołał. - Proszę powiedzieć swojemu pasażerowi... że poszukam tej dziewczyny, którą kiedyś obaj spotkaliśmy... w Stalingradzie. Kapitan rzucił spojrzenie na Rydera.

- Zna go pan?

- Znałem - odparł Ryder.

- Miejmy nadzieję, że między nami a Morzem Barentsa nie ma nic większego niż kanonierka. - Kapitan pochylił się do rury głosowej i warknął rozkaz dla sternika: - Ster na lewo, dziesięć stopni.

Kanonierki zaczęły się oddalać, pozostając jednak w kilwaterze niszczyciela. Ryder podniósł do oczu lornetkę. Widział wtedy Bałowa po raz ostatni. Jego jasne włosy falowały

na wietrze, a uśmiech na ustach wyrażał coś, czego chyba lepiej było nie rozszyfrowywać. Może myślał o lwach?

Za półwyspem Kanin ołowiane morze zaczęło się burzyć. Maszt „Jaguara” zataczał delikatne kręgi. Ryder stał samotnie na końcu pokładu rufowego i patrzył na oddalający się brzeg Rosji. Potarł zapalką o draskę i, osłaniając ją rękami, zapalił papierosa.

Prawdziwy Rosjanin zawsze wróci do Rosji, by umrzeć w swoim kraju...

Pamiętał smutny uśmiech Kryłowa tego dnia w lesie niedaleko torów kolejowych, gdy Maksym Nikołajewicz patrzył w słońce wznoszące się nad zamrzniętymi moczarami nad Morzem Białym.

Czy udało im się coś zmienić? Choćby cokolwiek? Mimo całej próżności, jaką odznaczają się władcy, tylko nos Kleopatry potrafi wpłynąć na bieg historii. Ale może honorowe postępowanie jest jakąś rekompensatą dla złudzeń... Zawsze też będzie rozbrzmiewać wojskowa muzyka gdzieś, na jakiejś innej ulicy, w jakimś innym czasie.

Rozmyślenia Rydera przerwał kapitan Avery. Z jego oczu zniknęła uprzednia wrogość. Teraz malowała się w nich ciekawość i jakiś dziwny szacunek. Podał Ryderowi różowy formularz telegramu.

- Z Admiralicji - powiedział. - Bardzo pilne. Ma pan egzaltowanych przyjaciół.

Ryder rozłożył papier i przeczytał:

„Radziecki premier nalega na spotkanie z premierem Zjednoczonego Królestwa w sierpniu, w Moskwie; podróż przez Teheran. W sprawie operacji «Szary Wilk»: czy ZSRR - pana zdaniem - dysponuje dowodami, które mogłyby wprawić w zakłopotanie albo posłużyć do szantażowania Rządu J.K. Mości, gdyby spotkanie w sierpniu doszło do skutku?”

Przed oczami Rydera litery na pogniecionym różowym papierze zaczęły się zmieniać w obraz zamrzniętego jeziora na wsi pod Lenigradem, krwawiącego na śniegu, niezręcznie postrzelonego wilka i płaczącego chłopca.

- Z Downing Street - poinformował kapitan. - Chcą natychmiast otrzymać odpowiedź.

- Proszę im oznajmić, że szary wilk nic nie powiedział.